

**KAREN THOMPSON  
WALKER**

**WIEK CUDÓW**

*Dla moich rodziców  
i dla Casey'a*

*„Oto w ostatnich minutach, tuż przed końcem świata,  
ktoś dokręca śrubkę cieńszą niż rzęsa,  
ktoś o szczupłych nadgarstkach prostuje kwiaty...”*

*James Richardson, Another End of the World*

## I

Nie od razu zauważyliśmy, co się stało. Nie mogliśmy tego poczuć. Na początku nie wiedzieliśmy o tym dodatkowym czasie, który wybrzuszał gładką krawędź każdego dnia niczym kwitnący pod skórą guz.

Byliśmy wtedy skupieni na pogodzie i wojnie. Nie interesowaliśmy się ruchem obrotowym Ziemi. Na ulicach dalekich krajów nadal wybuchały bomby. Huragany przychodziły i odchodziły. Lato się skończyło. Rozpoczął się nowy rok szkolny. Zegary tykały jak zwykle. Sekundy skraplały się w minuty. Minuty urastały do godzin. I nic nie wskazywało na to, że owe godziny nie zlewają się potem w dni, z których każdy jest taki sam, ma określoną długość znaną każdej istocie ludzkiej.

Znaleźli się jednak tacy, którzy później twierdzili, że dostrzegli katastrofę wcześniej niż reszta z nas. Ludzie pracujący na nocną zmianę, na wieczorną zmianę, wykładający towar na półki, zajmujący się załadunkiem statków, kierowcy wielkich ciężarówek lub ci taszczący inne ciężary: cierpiący na bezsenność,

niepokój albo na jakąś chorobę. Byli przyzwyczajeni do przeczekiwania nocy. Mimo przekrwionych oczu niektórzy z nich zauważyli nietypową uporczywość nocy o poranku będącą wstępem do zmian, ale każdy brał ją za skutek prywatnego błędu w ocenie dokonanej przez samotny, skołatany umysł.

6 października eksperci ogłosili to publicznie. Oczywiście wszyscy pamiętamy ten dzień. Powiedzieli, że nastąpiła zmiana, spowolnienie. I od tamtej pory właśnie tak to nazywaliśmy: spowolnieniem.

- Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, czy ten trend się utrzyma - powiedział nieśmiały brodaty naukowiec na pospiesznie zorganizowanej, okrytej złą sławą konferencji naukowej.

Odchrząknął i przełknął ślinę. Flesze błysnęły mu w oczy. I wtedy nastąpiła chwila, którą powtarzano tak często, że charakterystyczna intonacja głosu tego naukowca - spadki i pauzy oraz ten lekki akcent ze Środkowego Zachodu - na zawsze połączyła się z samą nowiną.

- Ale podejrzewamy, że się utrzyma - dodał.

Nasze dni wydłużyły się nocą o pięćdziesiąt sześć minut.

Z początku ludzie stali na skrzyżowaniach i krzyczeli o końcu świata. Do szkoły przyszli psycholodzy, żeby z nami porozmawiać. Pamiętam, jak patrzyłam na naszego sąsiada, pana Valencię, który wypełniał garaż stosami konserw i butelkowanej wody, jakby się przygotowywał - teraz tak myślę - na znacznie mniejszą katastrofę.

Wkrótce opustoszały sklepy spożywcze, półki zostały ogołococone jak kości kurczaka.

Autostrady natychmiast się zakorkowały. Ludzie usłyszeli wiadomość i chcieli uciec. Rodziny zapakowały się do furgonetek i przekraczały granice stanów. Pędziły we wszystkich kierunkach jak zwierzątka złapane nagle w światła reflektorów.

Tylko że oczywiście nie było dokąd uciec.

Wiadomość gruchnęła w sobotę.

Zmiana przyszła niepostrzeżenie, przynajmniej u nas w domu. O wschodzie słońca jeszcze spaliśmy, więc nie wyczuliśmy niczego niezwykłego. Kilka ostatnich godzin poprzedzających chwilę, w której dowiedzieliśmy się o spowolnieniu, na trwałe zapisało się w mojej pamięci - pamiętam je mimo upływu tych wszystkich lat - jakby zostały uwięzione za szkłem.

Nocowała u mnie moja przyjaciółka Hanna i biwakowałyśmy w śpiworach na podłodze w salonie, gdzie ramię przy ramieniu przespałyśmy ze sto innych nocy. Obudził nas warkot kosiarek do trawy i szczekanie psów oraz ciche skrzypienie trampoliny, na której skakały bliźniaki z domu obok. Godzinę później obie miałyśmy już stać w niebieskich strojach do piłki nożnej - z włosami ściągniętymi gumką, nasmarowane kremem z filtrem, w korkach stukających o kafelki.

- Miałam strasznie dziwny sen - powiedziała Hanna.

Leżała na brzuchu, opierając głowę na łokciu, jej długie jasne włosy wisiały splecione za uszami. Emanowała pewnym kościstym pięknem, którego jej zazdrościłam.

- Ty zawsze masz dziwne sny - stwierdziłam.

Rozpięła śpiwór i usiadła, przyciskając kolana do piersi. Na jej szczupłym nadgarstku pobrzękiwała bransoletka ze stłoczonymi obok siebie charmsami. Była wśród nich połowa mosiężnego serduszka. Druga połowa należała do mnie.

- Śniło mi się, że jestem u siebie w domu, ale to nie był mój dom - ciągnęła. - Byłam z mamą, ale to nie była moja mama. Moje siostry nie były moimi siostrami.

- Ja prawie nigdy nie pamiętam snów - powiedziałam, a potem wstałam, żeby wypuścić koty z garażu.

Moi rodzice spędzali ten ranek tak jak wszystkie ranki, które pamiętam: czytali gazetę przy stole w jadalni. Nadal widzę, jak tam siedzą: matka w zielonym szlafroku, z mokrymi włosami, przebiegająca wzrokiem po kolejnych stronach, a ojciec milczący, już ubrany, czytający po kolei każdy artykuł, który odbijał się w grubych szklach jego okularów.

Później ojciec długo przechowywał tamtą gazetę, jak jakąś pamiątkę, starannie złożoną obok gazety z dnia, w którym się urodziłam. Sobotnie artykuły, wydrukowane jeszcze przed nadejściem najnowszej wieści, donoszą o wzroście cen nieruchomości w mieście, o dalszej erozji kilku okolicznych plaż oraz o planie budowy nowej estakady. W tamtym tygodniu wielki biały rekin zaatakował miejscowego surfera, funkcjonariusze straży granicznej odkryli pięciokilometrowy tunel do przemytu narkotyków, który biegł niespełna dwa metry pod granicą z Meksykiem, i znaleziono ciało dawno zaginionej młodej dziewczyny zakopane pod stertą białych kamieni na szerokiej bezludnej pustyni na wschodzie. Na ostatniej stronie widnieją godziny wschodu

i zachodu słońca dla tamtego dnia - prognozy, które oczywiście się nie sprawdziły.

Pół godziny przed chwilą, w której usłyszeliśmy wiadomość, moja matka wyszła po obwarzanki.

Myślę, że koty wyczuły zmianę wcześniej niż my. Obydwa były kotami syjamskimi, ale różnych odmian. Chloe - senna, puchata i słodka. Tony uosabiał jej przeciwieństwo: starą, zalęknioną istotę, prawdopodobnie chorą psychicznie, która wyrywała sobie kępki sierści i zostawiała je na kupkach w całym domu niczym zagubione na dywanie miniaturowe wersje suchych roślin toczonych przez wiatr po prerii.

W tych kilku ostatnich minutach niewiedzy, kiedy wsypywałam suchą karmę do ich misek, oba koty gwałtownie nastawiły uszu, odwracając się w stronę podwórka przed domem. Może w jakiś sposób wyczuły zmianę w powietrzu. Poznały warkot volvo matki zatrzymującego się na podjeździe. Później zastanawiałam się jednak, czy nie rozpoznały także nietypowo szybkiego obrotu kół, gdy pospiesznie parkowała samochód, albo paniki pobrzmiewającej w ostrym zgrzycie zaciąganego hamulca ręcznego.

Nawet ja szybko wyczułam nastrój matki, słysząc stukot jej stóp na werandzie i nerwowe pobrzękiwanie kluczy o drzwi. Pierwsze doniesienia, teraz tak spowszedniałe, usłyszała w radiu, jadąc z piekarni do domu.

-Włączcie telewizor, szybko - powiedziała. Brakowało jej tchu i była spocona. Zostawiła klucze w zamku, gdzie potem dyndały cały dzień. - Stało się coś przeokropnego.

Byliśmy przyzwyczajeni do retoryki matki. Zawsze przesadzała. Wyolbrzymiała. Zawyżała i przesadzała. „Coś przeokropnego” mogło oznaczać wszystko. Przypominało szeroką sieć obejmującą



tysiąc możliwości, przeważnie tylko umiarkowanie złych: upały i korki, ciekące rury i długie kolejki. Nawet dym z papierosa, jeśli unosił się zbyt blisko, mógł być „czymś naprawdę, autentycznie przeokropnym”.

Nie spieszyliśmy się z reakcją. Ojciec, ubrany w wyszczuplającą żółtą koszulkę Padres, pozostał przy stole z jedną dłonią na kubku kawy, a drugą opartą na karku, i kończył czytać jeden z artykułów o biznesie. Podeszłam i otworzyłam torbę z obwarzankami, mnąc papier w palcach. Nawet Hanna знаła moją matkę na tyle dobrze, by nie przerywać tego, co akurat robiła - polowania na serek śmietankowy na dolnej półce lodówki.

- Widzieliście to? - zapytała matka. Nie widzieliśmy.

Moja matka była kiedyś aktorką. Jej dawne reklamy - przeważnie produktów do pielęgnacji włosów i akcesoriów kuchennych - leżały pogrzebane w niskiej stercie zakurzonych czarnych kaset wideo za telewizorem. Ludzie ciągle mi powtarzali, jaka była piękna w młodości, a ja zauważałam to piękno w jej jasnej cerze i wysokiej strukturze kości policzkowych, choć w wieku średnim matka przybrała na wadze. Teraz przez godzinę w tygodniu prowadziła w liceum kółko teatralne, a przez cztery godziny uczyła historii. Mieszkaliśmy sto pięćdziesiąt kilometrów od Hollywood.

Matka stała na naszych śpiworach, pół metra od ekranu telewizora. Kiedy teraz o tym myślę, wyobrażam sobie, że zakryła usta dłonią, jak zawsze, gdy coś ją martwiło, ale wtedy byłam zwyczajnie zakłopotana, bo czarna falista podeszwa jej adidasów deptała śpiwór Hanny: delikatny, bawełniany, różowy i w groszki, zaprojektowany nie na niebezpieczeństwa pól biwakowych, lecz wyłącznie na pluszowe dywany ogrzewanych domów.

- Słyszeliście, co powiedziałam? - zapytała matka, odwracając się do nas.

Miałam usta wypchane obwarzankiem i serkiem. Między siekaczami utknęło mi ziarenko sezamu.

- Joel! - krzyknęła matka do ojca. - Mówię poważnie. To potworne.

Ojciec oderwał wzrok od gazety, ale nadal mocno przyciskał palec wskazujący w miejscu, w którym przerwał lekturę. Skąd mogliśmy wiedzieć, że uczynki wszechświata w końcu zasłużyły na płomiennosc słów mojej matki?

Mieszkaliśmy w Kalifornii, więc byliśmy przyzwyczajeni do ruchów ziemi. Wiedzieliśmy, że grunt potrafi się przesuwac i drzeć. Trzymaliśmy w latarkach świeże baterie, a w szafach baniaki z wodą. Godziliśmy się z tym, że na naszych chodnikach mogą się pojawiać pęknięcia. Woda z basenów wylewała się czasami jak z misek. Mieliśmy duże doświadczenie we wczolgiwaniu się pod stoły i wiedzieliśmy, że należy się wystrzegać latającego szkła. Na początku każdego roku szkolnego zabieraliśmy ze sobą wielką torebkę strunową z trwałymi produktami, na wypadek gdyby wielki wstrząs uwięził nas w szkole. Jednak na tę konkretną plagę my, Kalifornijczycy, byliśmy przygotowani równie słabo jak ci, którzy budują domy na stabilniejszym gruncie.

Tamtego ranka, kiedy w końcu zrozumieliśmy, co się dzieje, wybiegłyśmy z Hanną z domu, żeby poszukać jakichś oznak na niebie. Ale niebo było tylko niebem - zwyczajnym, bezchmurnym, błękitnym. Słońce świeciło jak zwykle. Od strony oceanu wiała znajoma bryza, a powietrze pachniało tak samo jak zawsze

w tamtych dniach: skoszoną trawą, wiciokrzewem i chlorem. Eukaliptusy nadal falowały na wietrze jak ukwiały, a naciągająca w niskiej temperaturze herbata mojej matki była już prawie odpowiednio ciemna i gotowa do picia. Daleko za płotem z tyłu naszego domu nadal niosły się echa i powarkiwania autostrady. Linie energetyczne wciąż cicho skwierczały. Gdybyśmy podrzuciły piłkę, mogłybyśmy nawet nie zauważyć, że spada na ziemię trochę szybciej, że uderza o nią trochę mocniej niż zwykle. Miałam jedenaście lat i mieszkałam na przedmieściach. Moja najlepsza przyjaciółka stała obok mnie. Nie widziałam niczego, co nie pasowałoby do tego obrazka.

W kuchni moja matka już przeglądała półki z najbardziej potrzebnymi artykułami, kołysząc drzwiczkami szafek i oceniając zawartość szuflad.

- Po prostu chcę sprawdzić, gdzie są wszystkie zapasy niezbędne w nagłych wypadkach - powiedziała. - Nie wiadomo, co się może wydarzyć.

- Chyba powinnam iść do domu - odezwała się Hanna, nadał w fioletowej piżamie, obejmująca się w wąziutkiej talii rękami.

Nie wyszczotkowała włosów, a one wymagały uwagi, bo nie były obcinane od drugiej klasy. Z jakiegoś powodu wszystkie znane mi młode mormonki miały długie włosy. Włosy Hanny kołysały się w okolicy pasa i zwęzały ku końcowi jak płomień.

- Moja mama pewnie też panikuje - dodała.

W domu Hanny roilo się od siostr, ale mój był domem jednego dziecka i bez Hanny w pokojach zawsze robiło się zbyt cicho. Nigdy nie lubiłam, jak wychodziła.

Pomogłam jej zwinąć śpiwór. Spakowała plecak.

Gdybym wiedziała, ile minie czasu, zanim znowu się zobaczymy, pożegnałabym się inaczej. Ale wtedy tylko do siebie pomachałyśmy, a potem mój ojciec odwiózł ją do domu, trzy ulice od naszego.

W telewizji nic nie mówili, nie pokazywali płonących budynków ani zawalonych mostów, nie było żadnego pogiętego metalu ani spalonej ziemi, niczyje domy nie ześlizgiwały się z fundamentów. Nikt nie został ranny. Nikt nie zginął. Na początku katastrofa była w zasadzie niewidzialna.

Chyba właśnie dlatego nie byłam wtedy wystraszona, ale raczej przejęta. To wszystko wydawało się dość ekscytujące - nagła iskra pośród zwyczajności, blask czegoś niespodziewanego.

Za to matka była przerażona.

- Jak to się mogło stać? - pytała.

Ciągle upinała włosy, a potem je rozpuszczała i upinała od nowa. Były ciemne i śliczne, co po części zawdzięczały farbie w kolorze głębokiego brązu.

- Może to meteor? - podesunęłam. W szkole uczyliśmy się o kosmosie, zapamiętałam kolejność planet. Znałam nazwy wszystkiego, co unosi się w przestrzeni. Były tam komety, czarne dziury i skupiska olbrzymich skał. - Albo bomba jądrowa?

- To nie żadna bomba jądrowa - powiedział ojciec. Widziałam jego napinające się mięśnie, kiedy zaciskał zęby,

patrząc w ekran telewizora. Splótł ręce na piersi, szeroko rozstawił stopy. Nie zamierzał siadać.

- Do pewnego stopnia możemy się dostosować — mówił naukowiec w telewizji. Do kołnierzyka przypięto mu małe mikrofony i prezydent wypytywał go o czarne scenariusze. - Jeśli jednak ruch obrotowy Ziemi nadal będzie coraz wolniejszy, co na

razie jest tylko spekulacją, to moim zdaniem możemy się spodziewać radykalnych zmian pogodowych. Będziemy świadkami trzęsień ziemi i tsunami. Może nastąpić masowe wymieranie roślin i zwierząt. Oceany mogą zacząć się przesuwać w stronę biegunów.

Za naszymi plecami wertykale zaszeleściły na lekkim wietrzyku, a w oddali zawarczał helikopter. Młócenie jego śmigła dostało się do domu przez siatkę w oknach i drzwiach.

- Ale dlaczego to się stało? - nie mogła zrozumieć matka.

- Helen - zwrócił się do niej ojciec - wiem tyle samo co ty.

Wszyscy zapomnieliśmy o zaplanowanym na ten dzień meczu. Mój strój przeleżał złożony w szufladzie. Ochraniacze na golenie spoczywały nietknięte na dnie szafy.

Później się dowiedziałam, że na boisku zjawiała się tylko Michaela, jak zwykle spóźniona, z korkami w rękę, z rozczochranymi długimi włosami. Rude loki co chwila wpadały jej do ust, kiedy biegła w getrach na boisko na wzgórzu - tylko po to, aby zobaczyć, że żadna z nas nie robi rozgrzewki, że ani jedna koszulka z niebieskiego dżerseju nie łopocze na wietrze, że nie podskakuje żaden dobierany warkocz, że na murawie nie ma ani jednego rodzica, nawet trenera. Żadnych mam popijających mrożoną herbatę w daszkach na głowach, żadnych ojców spacerujących w japonkach wzdłuż linii bocznej. Żadnych przenośnych zamrażarek z lodem, leżaków i pokrojonych na ćwiartki pomarańczy. Wtedy już pewnie zauważyła, że na parkingu na wzgórzu nie ma samochodów. Zostały tylko bramki, wybrzuszone się cicho podczas golów, i to właśnie one były jedynym dowodem, że na tym boisku rozgrywano kiedyś mecze piłki nożnej.

- Wiesz, jaka jest moja mama — powiedziała mi Michaela kilka dni później podczas lunchu, niedbale oparta o ścianę, imitująca bardziej seksowne siódmoklasistki. - Zanim zdążyłam zejść ze wzgórza, już odjechała z parkingu.

Matka Michaeli była najmłodsza ze wszystkich mam. Nawet najbardziej efektowne z pozostałych miały wtedy co najmniej trzydzieści pięć lat, a moja przekroczyła już czterdziestkę. Matka Michaeli miała zaledwie dwadzieścia osiem, czemu jej córka zaprzeczała, choć wszyscy wiedzieliśmy, że to prawda. Jej matka zawsze stała u boku innego chłopaka. Jej gładka skóra, jędrne ciało, sterczące piersi i szczupłe uda razem wzięte były źródłem czegoś karygodnego, z czego tylko niejasno zdawaliśmy sobie sprawę, chociaż zdecydowanie to zauważaliśmy. Michaela była jedyną moją koleżanką mieszkającą w mieszkaniu i niemającą ojca.

Młoda matka Michaeli przespala wiadomości.

- Nie widziałaś, jak mówili o tym w telewizji? - zapytałam Michaelę kilka dni później.

- Nie mamy kabłówki, zapomniałaś? Nawet nie było szansy włączyć telewizora.

- A radio w samochodzie?

- Popsute.

Michaela czuła nieustanną potrzebę przejazdów. Tamtego pierwszego dnia spowolnienia, kiedy reszta z nas oglądała wiadomości w salonach swoich domów, uwięziona na boisku Michaela gmerała przez chwilę przy starym nieczynnym automacie telefonicznym na monety, dawno zapomnianym przez jego twórcę - reszta z nas miała komórki. W końcu przyjechał trener, żeby powiadomić wszystkich przybyłych o odwołaniu meczu, a przynajmniej o jego przełożeniu, po czym odwiózł Michaelę do domu.

W południe tamtego pierwszego dnia stacjom telewizyjnym skończyły się nowe informacje. Mimo braku świeższych faktów kontynuowały doniesienia, bez końca mieląc te same okruchy

wieści. Nie miało to jednak żadnego znaczenia - i tak słuchaliśmy ich jak zahipnotyzowani.

Cały dzień przesiedziałam z rodzicami na dywanie, zaledwie kilkadziesiąt metrów od telewizora. Nadal pamiętam uczucia, które towarzyszyły mi w ciągu tych dziwnych godzin: niemal fizyczną potrzebę dowiedzenia się wszystkiego, czego tylko można się dowiedzieć.

Co jakiś czas matka robiła obchód i odkręcała wszystkie krany w domu, jeden po drugim, sprawdzając czystość wody.

- Nic się nie stanie z wodą, kochanie - powiedział ojciec. - To nie trzęsienie ziemi.

Trzymał okulary w dłoni i wycierał szkła dolną częścią koszuli, jakby nasz problem miał jakiś związek ze wzrokiem. Bez okularów jego oczy zawsze wydawały mi się zezowate i zbyt małe.

- Zachowujesz się tak, jakby nic wielkiego się nie działo - odparła.

W tamtym czasie spory moich rodziców były jeszcze małe.

Ojciec uniósł okulary pod światło, a potem ostrożnie włożył je na nos.

- Powiedz mi, co mam zrobić, Helen - poprosił - a na pewno to zrobię.

Mój ojciec był lekarzem. Wierzył w problemy i rozwiązania, w diagnozę i leczenie. Dla niego zamartwianie się było stratą czasu.

- Ludzie zaczynają panikować - powiedziała matka. - Co z tymi, którzy zarządzają systemami zaopatrzenia w wodę i prąd? Co z zapasami jedzenia? Co będzie, jeśli oni wszyscy opuszczą swoje stanowiska?

- Jedyne, co możemy zrobić, to to przeczekać - stwierdził.

- O, dobry plan - zauważyła kąśliwie. - Naprawdę doskonały.



Patrzyłam, jak pędzi do kuchni, stąpając po kafelkach bosymi stopami. Usłyszałam chrobot i skrzypnięcie barku, brzdęk kostek lodu w szklance.

- Założę się, że wszystko będzie dobrze - wtrąciłam, ogarnięta nagłą potrzebą powiedzenia czegoś radosnego, co wezbrało mi w gardle jak kaszel. - Założę się, że nic nam się nie stanie.

Różne świry i geniusze nadciągały już z dziczy i występowały w telewizji, wymachując artykułami naukowymi, których opublikowania odmówiły znane czasopisma. Te samotne wilki twierdziły, że przewidziały nadejście katastrofy.

Matka wróciła na kanapę z drinkiem w dłoni.

Na dole ekranu grzmiało napisane czerwonymi drukowanymi literami pytanie: „Czy zbliża się koniec?”.

- Oj, daj spokój - powiedział ojciec. - To zwyczajne szukanie sensacji. Co mówią w telewizji publicznej?

Pytanie rozpuściło się w powietrzu. Nikt nie zmienił kanału. Po chwili ojciec spojrzał na mnie, a następnie powiedział do matki:

- Ona chyba nie powinna tego oglądać. Chcesz pokopać piłkę, Julio?

- Nie, dzięki - odparłam. Nie chciałam uronić ani odrobiny wiadomości.

Naciągnęłam bluzę na kolana. Tony leżał obok mnie na dywanie z wyciągniętymi łapami i chrapliwie oddychał. Miał tak kościste ciało, że widać było kręgi kręgosłupa. Chloe schowała się pod kanapą.

- No, chodź - namawiał ojciec. - Pokopiemy trochę.

Z szafy w korytarzu wygrzebał moją piłkę do nogi i ścisnął ją w rękach.

- Chyba ma trochę za mało powietrza - powiedział.

Patrzyłam, jak obchodzi się z pompką, jakby była jednym z jego narzędzi lekarskich: z chirurgiczną precyzją i dbałością włożył igłę w otwór, a potem miarowo pompował, jak respirator, zawsze czekając, aż ostatnie tchnienie powietrza dotrze do piłki, zanim wmusi w nią następne.

Niechętnie zawiązałam sznurówki i wyszłam z domu.

Przez jakiś czas w milczeniu kopaliśmy do siebie piłkę. Ciągłe słyszałam prezenterów telewizyjnych paplających w domu. Ich głosy mieszały się z głuchym dźwiękiem stopy odbijającej piłkę.

Sąsiednie podwórka opustoszały. Huśtawki stały nieruchomo jak ruiny. Trampolina bliźniaków przestała skrzypieć. Błądziłam myślami. Chciałam wrócić do domu.

- Ładnie - pochwalił mnie ojciec. - Duża precyzja.

Ale niewiele wiedział o piłce nożnej. Kopał niewłaściwą stroną stopy. Po chwili wzięłam za duży zamach i piłka zniknęła w wiciokrzewie w rogu podwórka. Przestaliśmy kopać.

- Wszystko w porządku, prawda? - zapytał.

Ogromne ptaki zataczały kręgi na niebie. To nie były ptaki z przedmieścia. Zobaczyłam jastrzębie, orły i kruki, których masywne skrzydła opowiadały o dzikich krajobrazach rozciągających się wciąż jeszcze na wschód od miasta. Ci nowi przybysze latali od drzewa do drzewa, zagłuszając swoimi nawoływaniem świergot naszych zwyczajnych podwórkowych ptaków.

Wiem, że zwierzęta często wyczuwają niebezpieczeństwo, którego ludzie nie zauważają, i że kilka minut lub godzin przed tsunami albo pożarem wiedzą, że trzeba uciekać. Słyszałam, że słonie czasami zrywają łańcuchy i kierują się na wyżej położone tereny. Węże potrafią pełznąć wiele kilometrów.

- Myślisz, że ptaki wiedzą? - zapytałam. Patrząc na nie, czułam rosnące napięcie w karku.

Ojciec obserwował ich sylwetki, ale nie odpowiedział. W koronie naszej sosny wylądował orzeł, zatrzepotał skrzydłami i znowu wzbił się w powietrze, kierując się dalej na zachód, ku wybrzeżu.

Matka zawołała do nas przez siatkowe drzwi:

- Teraz mówią, że to może jakoś wpłynąć na grawitację.

- Za chwilę wracamy - obiecał ojciec.

Mocno ścisnął mnie za ramię, a potem zadarł głowę do góry, jak farmer wypatrujący deszczu.

- Pomyśl o tym, jacy mądrzy są ludzie - powiedział. - Pomyśl o tym, co dotychczas wynaleźli. Statki kosmiczne, komputery, sztuczne serca. Rozwiązujemy wiele problemów, wiesz? Te duże rozwiązujemy zawsze. Naprawdę.

Potem weszliśmy do domu przez drzwi balkonowe i stanęliśmy na kafelkach. Ojciec nalegał, żeby wytrzeć buty o wycieraczkę, zanim wrócimy do matki w salonie - jakby pamiętanie

o rytuałach mogło być warunkiem bezpiecznego przejścia. Kiedy jednak mówił i kiedy szliśmy, czułam, że choć na razie świat pozostał nietknięty, niedługo wszystko wokół się rozpadnie.

W następnych godzinach martwiliśmy się i czekaliśmy. Snuliśmy domysły, zastanawialiśmy się i spekulowaliśmy. Uczyliśmy się nowych słów i nowych zachowań od naukowców i urzędników, którzy paradowali przez nasz salon na ekranie telewizora i monitorze komputera. Śledziliśmy ruch słońca po niebie jak nigdy wcześniej. Matka piła szkocką z lodem. Ojciec maszerował tam

1 z powrotem. Usiłowałam się dodzwonić do Hanny, ale nikt nie odbierał. W tamtą sobotę czas płynął inaczej. Już wtedy poranek przypominał wczorajszy dzień. Miałam wrażenie, że zanim usiedliśmy, by poczekać, aż słońce spłynie za wzgórze na

zachodzie, minęło kilka dni w skórze zaledwie jednego, jakby dzień rozdał się znacznie bardziej niż tylko o jedną małą godzinę.

Późnym popołudniem ojciec wspiał się po schodach do sypialni rodziców, a potem wyłonił się z niej odmieniony, w koszuli i ciemnych skarpetkach. Na jego dwóch palcach dyndała para wyjściowych butów.

- Wybierasz się dokądś? - zapytała matka.

- O szóstej zaczynam dyżur, zapomniałaś?

Mój ojciec przyjmował dzieci przychodzące na świat i specjalizował się w porodach wysokiego ryzyka. Często miał dyżury i czasami pracował w szpitalu na nocną zmianę. Nierzadko także w weekendy.

- Nie jedź - poprosiła matka. - Nie dzisiaj.

Pamiętam, że miałam nadzieję, że uda jej się go przekonać, ale ojciec nie przerwał zawiązywania sznurówek. Lubił, kiedy pętelki miały dokładnie taką samą wielkość.

- Zrozumieją, jeśli się nie pokażesz - przekonywała matka. - Na drogach jest chaos, wszędzie panika i w ogóle.

Niektóre pacjentki ojca spędzały w szpitalu miesiące, próbując utrzymać dziecko w macicy, póki nie stanie się wystarczająco silne, aby przetrwać na świecie.

- Daj spokój, Helen - powiedział. - Wiesz, że nie mogę zostać. Wyprostował się i poklepał się po kieszeni koszuli. Usłyszałam stłumiony brzęk kluczy.

- Potrzebujemy cię tutaj - nie ustępowała matka. Oparła policzek o pierś ojca. Był od niej ponad trzydzieści centymetrów wyższy. - Naprawdę nie chcemy, żebyś jechał, prawda, Julio?

Też chciałam, żeby został, ale z czasem stałam się ekspertką w dziedzinie dyplomacji, co jest możliwe wyłącznie u jedynaków.

- Wolalabym, żeby nie musiał jechać do pracy - powiedziałam ostrożnie. - Ale skoro naprawdę musi...

Wtedy matka odwróciła się ode mnie i powiedziała cichszym głosem:

- Proszę. Nawet nie wiemy, co się dzieje.

- Daj spokój, Helen - odparł, głaszcząc ją po włosach. - Nie dramatyzuj. Do jutrzejszego ranka nic się nie wydarzy. Założę się, że ta cała sprawa w końcu rozejdzie się po kościach.

- Jak to? - zapytała. - Myślisz, że to możliwe?

Pocałował ją w policzek i pomachał do mnie z korytarza. Potem wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Wkrótce usłyszałyśmy warkot jego silnika na podjeździe.

Matka opadła na kanapę obok mnie.

- Przynajmniej ty mnie nie opuszczasz - westchnęła. - Będziemy musiały dbać o siebie nawzajem.

Miałam ochotę wymknąć się do Hanny, ale wiedziałam, że jeśli wyjdę, matka będzie jeszcze bardziej przygnębiona.

Do salonu wpadły głosy dzieci z podwórka. Za roletami zobaczyłam idącą chodnikiem rodzinę Kapłanów. Sobota była dla nich dniem szabasu, co oznaczało całodzienny zakaz jazdy samochodem. Było ich sześcioro: pan i pani Kapłan, Jacob, Beth, Aaron i maluch w spacerówce. Dzieci chodziły do żydowskiej szkoły na północy i ubierały się przeważnie na czarno, przez co przypominały mi postacie ze starych filmów: łopoczące długie spódnice i czarne spodnie. Beth Kapłan była w moim wieku, ale nie znałam jej zbyt dobrze. Wydawała się zamknięta w sobie. Miała koszulę z długim rękawem i długą prostokątną czarną spódnicę, ale za to modne czerwone buty z lakierowanej skóry. Domyśliłam się, że obuwie jest jedyną sferą, w której może błyszczeć. Gdy sunęli obok naszego domu i maleństwo zrywało dmuchawce ze skraju naszego trawnika, zdałam sobie sprawę, że mogą jeszcze nie wiedzieć o spowolnieniu.

Znacznie później, podczas rozmowy z Jacobem, dowiedziałam się, że miałam rację: dopiero po zachodzie słońca - kiedy skończył

się szabas i religia ponownie pozwoliła im włączyć światło i oglądać telewizję - Kaplanowie odkryli, że świat jest już inny niż ten, w którym się urodzili. Jeśli nie słyszało się wiadomości, w otoczeniu nie zauważało się żadnej zmiany. Oczywiście później było już inaczej, ale na razie, pierwszego dnia, Ziemia nadal wydawała się sobą.

Mieszkaliśmy przy ślepej uliczce w dzielnicy domków ze sztukaterią oraz z azbestem w sufitach i ścianach, zbudowanych w latach siedemdziesiątych na ćwierćakrowych działkach. Przed każdym domem skręcało się drzewko oliwne, chyba że zostało wyrwane z ziemi i zastąpione jakimś modniejszym, bardziej spragnionym wody gatunkiem. Podwórka przy naszej uliczce były dobrze utrzymane, ale bez przesady. Na niezbyt wypielęgnowanych trawnikach rozsiewały się stokrotki i dmuchawce. Różowe krzewy bugenwilli przywierały do boków prawie wszystkich domów, drżąc i połyskując na wietrze.

Na mapie satelitarnej tego obszaru ślepe uliczki w naszej dzielnicy wyglądają schludnie i równolegle, każda rozszerza się na końcu, przez co przypominają dziesięć termometrów zwisających ze sznurka. Nasza mieściła się w sieci skromnych uliczek wyciętych w tańszym zboczu wzgórza na wybrzeżu Kalifornii. Droższe zbocze miało widok na ocean.

Wtedy poranki były jeszcze jasne. Okna naszych kuchni wychodziły na wschód. Kiedy bulgotały kawiarki i płynęła woda z pryszniców, kiedy myłam zęby albo wybierałam strój do szkoły, wlewało się przez nie słońce. Popołudnia były cieniste i chłodne, bo co wieczór słońce chowało się za ładniejszymi domami na szczycie wzgórza godzinę przed zsunieniem się do oceanu po drugiej stronie. Tego dnia czekaliśmy na zachód z nieznaną dotąd niepewnością.

- Chyba się trochę przesunęło - powiedziałam, mrużąc oczy. - To znaczy zdecydowanie idzie w dół.

Wzdłuż całej ulicy elektryczne systemy otwierały bramy garaży. Ze środka wyłaniały się kombi i SUV-y wyładowane dziećmi, ubraniami i psami. Niektórzy sąsiedzi stali w grupkach na trawnikach z rękami splecionymi na piersi. Wszyscy obserwowali niebo, jakby czekali na pokaz fajerwerków.

- Nie patrz prosto na słońce - ostrzegła mnie matka, która siedziała obok na werandzie. — Popsujesz sobie oczy.

Otwierała opakowanie baterii alkalicznych, które znalazła w szufladzie. Na cemencie obok niej leżały trzy latarki, mini arsenał światła. Słońce nadal wisiało wysoko na niebie, ale już teraz ogarnęła ją obsesja na punkcie ryzyka wydłużonej nocy.

Daleko na końcu ulicy zobaczyłam swoją starą przyjaciółkę Gabby, która siedziała sama na dachu. Nie widywałyśmy się zbyt często, odkąd rodzice przenieśli ją do prywatnej szkoły w sąsiednim mieście. Jak zwykle była ubrana na czarno. Jej ufarbowane na czarno włosy odznaczały się na tle nieba.

- Dlaczego je ufarbowała? - zapytała moja matka, zauważając Gabby.

- Nie wiem - odpowiedziałam. Z tej odległości nie było widać trzech rzędów kolczyków, które zwisały Gabby z obojga uszu. - Chyba po prostu miała na to ochotę.

Przenośne radio paplało i szumiało za naszymi plecami. Z każdą godziną przybywało nam minut. Już zaczęły się kłótnie o „punkt pszenicy” - nigdy nie wiedziałam, czy ten termin leżał pogrzebany przez dekady w słowniczkach na końcu podręczników, czy może został ukuty właśnie tamtego dnia, jako nowa odpowiedź na nowe pytanie: jak długo mogą przetrwać najważniejsze zboża bez światła słonecznego?

Matka włączała i wyłączała wszystkie latarki po kolei, sprawdzając ich działanie na dłoni. Wyrzuciła stare baterie i zastąpiła je nowymi, jak gdyby ładowała naboje do kolekcji pistoletów.

- Nie wiem, dlaczego tata do mnie nie oddzwania - powiedziała.

Wyniosła telefon bezprzewodowy na werandę, gdzie milczący leżał obok niej. Szybko i cicho upijała kolejne łyki drinka. Pamiętam, jak wtedy wyglądała, pamiętam pobrzękiwanie lodu w szklance, wodę ściekającą ze ścianek i tworzącą zachodzące na siebie kręgi na cemencie.

Oczywiście nie wszyscy wpadli w panikę. Sylvia, moja nauczycielka gry na fortepianie, która mieszkała po przeciwnej stronie ulicy, pracowała w ogrodzie, jakby zupełnie nic się nie stało. Patrzyłam, jak ze spokojem klęczy na ziemi z lśniącoymi nożycami w dłoni. Potem przespacerowała się wolnym krokiem po okolicy, jej drewniaki stukały o chodnik, a rude włosy wysuwały się z pospiesznie zaplecionego warkocza.

- Cześć, Julia - powiedziała, kiedy dotarła do naszego podwórka.

Uśmiechnęła się do mojej matki, ale nie przywitała się z nią. Były mniej więcej w tym samym wieku, lecz jakimś cudem Sylvia nadal wydawała się dziewczęcą, a moja matka nie.

- Nie wyglądasz na bardzo zmartwioną - powiedziała moja matka.

- *Que sera, sera* - odparła Sylvia. Jej słowa były jednym długim westchnieniem. - Zawsze to powtarzam. Co ma być, to będzie.

Lubiłam Sywzię, ale wiedziałam, że matka za nią nie przepada. Sylvia była wyluzowana, miała rozwichrzone włosy i pachniała balsamem. Jej nogi były tyczkowate jak eukaliptusy, a w kostkach często oplatała je masywna biżuteria z turkusów, zdejmowana na



początku każdej mojej lekcji, żeby Sylvia mogła bliżej obcować z instrumentem. Zawsze grała bosą.

- A może nie myślę racjonalnie? - zastanowiła się Sylvia. - Jestem w trakcie oczyszczania.

- Co to jest oczyszczanie? - zapytałam.

- To post — odpowiedziała.

Pochyliła się w moją stronę, żeby wyjaśnić to dokładniej, a ja usłyszałam, jak matka chowa latarki za plecami. Chyba nagle zawstydzila się swojego strachu.

- Zero jedzenia, zero alkoholu, tylko woda. Przez trzy dni. Jestem pewna, że twoja matka też to kiedyś robiła.

Matka przecząco pokręciła głową.

- Nie, ja nie - zapewniła.

Wiedziałam, że za matką stoi drink, po którym spływają krople wody. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Mniejsza o to - podjęła Sylvia, ruszając w swoją stronę. - Niech cię to nie odciąga od ćwiczeń, Julio. Do zobaczenia w środę.

Przez kilka następnych dni Sylvia w słomkowym kapeluszu na głowie miała przycinać róże i wyrwać chwasty, jakby nic się nie stało.

- Wiesz, kościstość jest niezdrowa - powiedziała matka, kiedy Sylvia wróciła do swojego ogródka (matka miała szafę pełną sukienek o jeden rozmiar za małych, czekających w foliowych opakowaniach na dzień, w którym zrzuci pięć kilogramów doskwierających jej od lat). - Widać jej kości - dodała.

I miała rację: Sylvii było widać kości.

- Patrz - powiedziałam. - Włączają się latarnie.

Latarnie wyposażono w timery, dzięki którym miały się zapalać o zmierzchu. Ale słońce świeciło dalej.

Wyobraziłam sobie ludzi po drugiej stronie świata, w Chinach i Indiach, którzy kulili się teraz w ciemności, czekając tak jak my - tyle że na świt.

Minęły kolejne minuty.

- Powinien przynajmniej dać znać, że bezpiecznie dotarł do pracy - powiedziała matka.

Znowu wystukała numer, zaczęła i odłożyła słuchawkę.

Raz pojechałam z ojcem do pracy. Kiedy tam byłam, niewiele się działo. Ciężarne kobiety oglądały telewizję i jadły w łóżku przekąski. Ojciec zadawał im pytania i przeglądał karty. Wokół kręcili się mężczyźni.

- Nie prosiłam, żeby zadzwonił? - zapytała matka.

- Pewnie po prostu jest zajęty - powiedziałam.

W oddali zobaczyłam, że Tom i Carlotta, starsza para mieszkająca przy końcu ulicy, też siedzą przed domem: on w spłowiałej koszulce ufarbowanej metodą tie-dye i w dżinsach, ona w birkenstockach, z długim siwym warkoczem ułożonym na ramieniu. Ale oni o tej porze dnia zawsze siedzieli przed domem, na plażowych krzeselkach na podjeździe, z margaritą i papierosem w dłoni. Brama garażowa za ich plecami była otwarta, a miniaturowy tor kolejowy Toma odsłonięty niczym jelita. Większość domów przy naszej ulicy została już przebudowana, a przynajmniej naprawiona, zaopatrzona w nowy fornir jak w drugie zęby, ale dom Toma i Carlotty pozostał nietknięty, a dzięki sprzedaży skautowskich ciasteczek wiedziałam, że na ich podłogach nadal leży pierwsza bordowa wykładzina.

Tom pomachał do mnie, ściskając w ręku drinka. Nie znałam go za dobrze, ale zawsze był dla mnie miły. Też mu pomachałam.

Był październik, ale miałam wrażenie, że jest lipiec: powietrze wydawało się letnie, niebo też, minęła siódma i nadal było widno.

- Mam nadzieję, że telefony działają - powiedziała matka. -Ale przecież muszą działać, prawda?

Później przejęłam wiele zwyczajów matki - skłonność do nieustannego wałkowania jednego tematu, niską tolerancję niepewności - ale podobnie jak jej szerokie biodra i wysokie kości policzkowe, te cechy były we mnie uśpione jeszcze przez kilka lat. Tamtego wieczoru nie potrafiłam jej zrozumieć.

- Mamo, uspokój się - poprosiłam. - Dobrze?

Telefon w końcu zadzwonił. Matka szybko odebrała. Widziałam, że jest zawiedziona głosem, który usłyszała. Podała mi telefon. Nie dzwonił ojciec. To była Hanna.

Wstałam z werandy i ze słuchawką przy uchu wyszłam na trawnik, patrząc na słońce spod przymrużonych powiek.

- W zasadzie nie mogę teraz rozmawiać - zaczęła Hanna. -Ale chciałam ci powiedzieć, że wyjeżdżamy.

Słyszałam głosy sióstr Hanny odbijające się echem w tle. Wyobraziłam ją sobie stojącą w ich wspólnym pokoju: żółte zasłonki w paski uszyte przez jej matkę, pluszaki stłoczone na jej łóżku, spinki do włosów rozrzucone na toaletce.

- Dokąd jedziecie? - zapytałam.

- Do Utah - powiedziała. Wydawała się wystraszona.

- Kiedy wracacie?

- Nie wracamy.

Poczułam falę paniki. W tamtym roku spędzałyśmy razem tyle czasu, że chwilami nauczyciele mylili nasze imiona.

Później się dowiedziałam, że gdy zaczęło się spowolnienie, tysiące mormonów zebrało się w Salt Lake City. Kiedyś Hanna powiedziała, że jej Kościół wyznaczył pewien teren wielkości mili kwadratowej w Utah jako miejsce ponownego przyjścia Jezusa na ziemię. Dodała, że mają tam olbrzymi silos zbożowy, żeby

wykarmić mormonów w czasach ostatecznych. „Nie powinnam ci o tym wspominać, bo nie należysz do naszego Kościoła - zaznaczyła. - Ale to prawda”.

Moja rodzina wyznawała bezkrwawą odmianę luteranizmu -nie skrywaliśmy żadnych sekretów i nie mieliśmy żadnej określonej wizji końca świata.

- Jesteś tam? - zapytała Hanna.

Trudno było rozmawiać. Przez chwilę stałam na trawniku, usiłując się nie rozplakać.

- Wyjeżdżacie na dobre? - odezwał się w końcu. W tle usłyszałam głos matki Hanny. Wołała ją.

- Muszę już iść - powiedziała Hanna. - Zadzwoń do ciebie później. Rozłączyła się.

- Co mówiła? — zawołała matka z werandy. W gardle formowała mi się twarda gruda.

- Nic - odparłam.

- Nic? - zdziwiła się matka.

Do oczu napłynęły mi łzy. Matka ich nie widziała.

- Chcę wiedzieć, dlaczego tatuś do nas nie dzwoni - narzekała matka.

- Myślisz, że wysiadł mu telefon?

- Boże, mam - powiedziałam. - Wszystko pogarszasz. Zamilkła i spojrzała na mnie.

- Nie wymądrzaj się - warknęła. - I nie mów „Boże”.

W głośnikach radia rozległy się ciche trzaski i matka zaczęła kręcić gałką, aż w końcu ucichły. Wypowiadał się ekspert z Harvardu.

- Jeśli to potrwa dłużej - mówił - może przynieść katastrofalne skutki dla wszelkiego rodzaju upraw, dla zapasów żywności na całym świecie.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu.

Potem w domu rozległ się nagły łoskot, mokre pacnięcie czegoś miękkiego uderzającego o szkło. Obie podskoczyłyśmy jak oparzone.

- Co to było? - zapytała matka.

To, co niewyobrażalne, zostało wyobrażone, a to, co nie do pomyślenia - pomyślane. Wydawało mi się, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo. Z każdej szczeliny wyłaziło zagrożenie.

- Nie brzmiało to dobrze - powiedziałam.

Wbiegłyśmy do domu. Nie posprzątałyśmy po jedzeniu i w kuchni panował potworny bałagan. Mój poranny obwarzanek leżał nadgryziony na talerzu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawiłam osiem godzin wcześniej, kremowy serek przy-sechł już na brzegach. Kubeczek jogurtu został przewrócony przez koty, a jego zawartość wylizana do czysta. Ktoś zapomniał schować mleko do lodówki. Zauważyłam też, że Hanna zostawiła na krześle swoją bluzę do gry w piłkę.

Okazało się, że sprawcą hałasu jest ptak. Sójka błękitna zderzyła się z naszym oknem w kuchni i spadła na taras za domem. Wszystko wskazywało na to, że złamała kręgosłup, jej skrzydła rozłożyły się asymetrycznie wokół ciała.

- Może jest po prostu ogłuszona - łudziła się matka. Stałyśmy pod oknem.

- Raczej nie - powiedziałam.

Wkrótce zrozumiłyśmy, że spowolnienie wpłynęło na grawitację. Ziemia trochę bardziej się chwiała. Prawdopodobieństwo, że ciała w ruchu pozostaną ciałami w ruchu, trochę zmalało. My wszyscy i wszystko wokół nas było trochę bardziej podatne na przyciąganie ziemskie. I być może właśnie ta zmiana warunków fizycznych skierowała tamtego ptaka prosto na płaską taflę szkła w naszym oknie.

- Chyba powinniśmy ją stąd wynieść - zauważyłam.

- Nie chcę, żebyś jej dotykała - powiedziała matka. - Tatuś się tym zajmie.

Tak więc zostawiłyśmy ptaka dokładnie tam, gdzie leżał. Przez resztę nocy koty były zamknięte w domu.

Po znalezieniu tamtej sójki wyszłyśmy z kuchni. Niedawno została wyremontowana i w powietrzu nadal wyczuwało się zapach farby, ale ta chemiczna woń mieszała się teraz z nutką skwaśniałego mleka. Matka naląła sobie nowego drinka: dwie nowe kostki lodu strzeliły i przesunęły się pod strumieniem szkockiej. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby matka wypila aż tyle w ciągu jednego dnia.

Ruszyła z powrotem na werandę.

- Chodź - powiedziała.

Ale miałam już dość jej towarzystwa.

Poszłam do swojego pokoju i przez chwilę leżałam bez ruchu na łóżku.

Dwadzieścia minut później słońce wreszcie zsunęło się za wzgórze, dowodząc w końcu, że Ziemia, choć powoli, to jednak nadal się obraca.

W nocy wiatr zmienił kierunek i nabrał siły, dmuchając od strony pustyni, a nie oceanu. Wył i świszczął. Na zewnątrz eukaliptusy siłowały się z nim i falowały, a migoczące gwiazdy pokazywały, że niebo jest bezchmurne, że to pusty, bezburzowy wiatr.

W pewnej chwili usłyszałam skrzypienie szafek w kuchni, cichy pisk zawiasów. Rozpoznałam szuranie maminych nóg w kapciach, odgłos otwierania fiolki z proszkami, a potem powolnego napełniania szklanki wodą z kranu.

Żałowałam, że ojca nie ma w domu. Próbowałam go sobie wyobrazić w szpitalu. Może właśnie w tej chwili w jego rękach

rodziło się dziecko. Zastanawiałam się, jak to jest przyjść na świat w taką noc jak ta.

Niedługo potem zgasły latarnie, wysysając słabą poświatę z mojego pokoju. Zwykle był to znak, że przyszedł poranek, ale tym razem dzielnicę nadal spowijał mrok. Dla mnie był to nowy rodzaj mroku, gęstego i czarnego jak na wsi, niespotykanego w miastach i na przedmieściach.

Wyszłam z pokoju i w ciemności ruszyłam do sypialni rodziców. Przez szparę pod drzwiami zobaczyłam niezdrowe niebieskie światło telewizora wyciekające na wykładzinę w korytarzu.

- Ty też nie śpisz? - zapytała matka, kiedy otworzyłam drzwi.

Wyglądała niedbale i staro w znoszonej białej koszuli nocnej. Wokół jej oczu rozchodziły się promieniście bukiety cienkich zmarszczek.

Weszłam na łóżko i usiadłam obok niej.

- O co chodzi z tym wiatrem? - zapytałam. Mówiliśmy cicho, jakby obok ktoś spał. Głos w telewizorze był wyłączony.

- To po prostu Santa Ana - powiedziała, głaszcząc mnie po plecach otwartą dłonią. - Sezon wiatrów. Jesienią zawsze tak wieje, zapomniałaś? Przynajmniej to jest normalne.

- Która godzina? - zainteresowałam się.

- Za piętnaście ósma.

- Powinno być rano - zauważyłam.

- Jest rano - powiedziała matka.

Ale niebo nadal było ciemne. Nic nie sugerowało poranka.

Koty niecierpliwiły się w garażu. Słyszałyśmy drapanie w drzwi i uporczywe, niepewne zawodzenie Tony'ego. Katarakta prawie go oślepiła, ale nawet on wiedział, że coś jest nie tak.

- Dzwonił tatuś? - zapytałam. Matka pokiwała głową.

- Zostanie na następnym dyżurze, bo nie wszyscy zjawili się w pracy. Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu, a wokół dmuchał wiatr. Światło z telewizora migotało na białych ścianach.

- Pozwól mu odpocząć, kiedy już wróci do domu, dobrze?  
-powiedziała matka. - Miał bardzo ciężką noc.

- Co się stało?

Przygryzła wargę, nie odrywając wzroku od telewizora.

- Zmarła kobieta.

- Zmarła?

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby na dyżurze ojca wydarzyło się coś takiego. Śmierć przy porodzie kojarzyła mi się z losem kobiet Dzikiego Zachodu, wydawała się równie niemożliwa jak polio czy trąd, wyginęła dzięki naszym genialnym monitorom i urządzeniom, czystym rękóm i mocnym mydłóm, dzięki naszym lekom i terapiom oraz przepastnym pokładóm wiedzy.

- A tatuś uważa, że nigdy by do tego nie doszło, gdyby pracowali w pełnym składzie. Byli przeciążeni.

- Co z dzieckiem? - zapytałam.

- Nie wiem - odpowiedziała. Miała łzy w oczach.

Z jakiegoś powodu zaczęłam się martwić właśnie wtedy, nie wcześniej. Przewróciłam się na drugi bok i nad prześcieradłem uniósł się zapach korzennej wody kolońskiej ojca. Chciałam, żeby był już w domu.

Na ekranie telewizora jakaś reporterka stała gdzieś na pustyni, a za nią różowiło się niebo. Obserwowała jego wschodnią stronę tak, jak zazwyczaj obserwuje się burze - słońce dosięgło już krańców Nevady, ale w Kalifornii nie było go jeszcze widać.

Później, wracając myślami do tych pierwszych dni, doszłam do wniosku, że jako gatunek uświadomiliśmy sobie wtedy, iż



przejmowaliśmy się nie tym, czym należało się przejmować: dziurą w warstwie ozonowej, topnieniem pokryw lodowych, zachodnim Nilem, świńską grypą i morderczymi pszczołami. Ale chyba nigdy nie jest tak, że następuje akurat to, czego się obawiamy. Prawdziwe katastrofy zawsze okazują się inne - niewyobrażalne, zaskakujące i nieznane.

W końcu noc ustąpiła niczym gorączka. Nastął niedzielny poranek: niebo jaśniało delikatnym błękitem.

Podwórko za naszym domem pokrywała warstwa sosnowych igieł po wichurze. Na werandzie leżały dwie przewrócone doniczki z nagietkami, wysypywała się z nich ziemia. Parasol i krzesła ogrodowe zmiotło na trawnik wokół werandy. Nasze eukaliptusy stały pochylone i potargane przez wiatr. Martwa sójka leżała tam, gdzie dzień wcześniej.

W oddali nad horyzontem unosiła się smuga dymu, odpływając szybko na zachód razem z wiatrem. Przypomniałam sobie, że rozpoczął się jeszcze inny sezon: sezon pożarów.

Helikopter kanału informacyjnego krążył wokół dymu jak mucha, a mnie pocrzepiała świadomość, że przynajmniej jedna ekipa została wyznaczona do zajęcia się tą najzwyklejszą z katastrof.

Po śniadaniu jeszcze raz próbowałam się dodzwonić do Hanny, ale jej telefon tylko dzwonił i dzwonił. Wiedziałam, że z jej perspektywy to wszystko wygląda inaczej: życie Hanny było pełne

gwaru i sióstr, jej dom przypominał labirynt z piętowymi łózkami i wspólnymi umywalkami, gdzie nieustannie pracowała pralka piorąca sukienki, które co wieczór piętrzyły się w koszu na brudną bieliznę. Trzeba było dwóch kombi, żeby wywieźć jej rodzinę z miasta.

W moim domu było słycać skrzypienie podłogi.

Późnym popołudniem, kiedy ojciec wrócił ze szpitala, wiatr się uspokoił i od strony wybrzeża toczyła się niska mgła, przysłaniając powolny ruch słońca po niebie.

- Przez całą drogę jechałem na światłach - powiedział ojciec. - W takiej mgle widoczność nie sięga nawet półtora metra.

Wyglądał na wyczerpanego, ale gdy zjawił się w kuchni, poczułam ulgę.

Zjadł pół kanapki, na stojąco. Potem pozdejmował z blatu naczynia, które zostawiliśmy tam dzień wcześniej, i wytarł wszystko ścierką. Podlał orchidee matki, a potem stał przy zlewie i długo mył ręce.

- Powinieneś się przespać - powiedziała matka.

Miała na sobie ten sam szary sweter, który nosiła poprzedniego dnia.

- Jestem za bardzo podminowany - odparł.

- Powinieneś się przynajmniej położyć.

Wyjrzał przez okno i zlustrował wzrokiem taras. Wskazał martwego ptaka.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem - wyjaśniłam.

Pokiwał głową, a potem otworzył szufladę, w której trzymał zapas rękawiczek chirurgicznych do użytku domowego. Razem wyszliśmy na zewnątrz.

- Szkoda - powiedział, kucając obok sójki.

Zgraja mrówek odkryła już ciało i nadciągała z krawędzi tarasu, aby wejść głęboko między pióra, a potem wynurzyć się stamtąd z maleńkimi kawałeczkami ptaka na plecach.

Ojciec strzepywał biały worek na śmieci, dopóki w końcu się nie otworzył i nie napompował powietrzem.

- Może to przez zmianę grawitacji - powiedziałam.

- Nie wiem - odparł. - Ptaki często zderzają się z naszymi oknami. Nie mają zbyt dobrego wzroku.

Naciągnął na dłonie rękawiczki chirurgiczne. Z krawędzi na nadgarstkach wzbijała się fala gumowego talku. Nawet z tej odległości, w której stałam, czułam zapach lateksu.

Zamknął jedną dłoń w rękawiczce na klatce piersiowej ptaka, a kiedy go podniósł, skrzydła obwisły jak gałęzie drzewa. Dwoje czarnych oczu wielkości ziarenek pieprzu pozostało nieruchomych. Kilka zdezorientowanych mrówek biegało po nadgarstku ojca, zataczając gorączkowe kręgi.

- Przykro mi z powodu tego, co stało się w pracy - powiedziałam.

- Co masz na myśli? - zapytał ojciec.

Wypuścił ptaka, pozwalając, by zsunął się do worka. W zetknięciu z folią ciało sójki wydało mokry dźwięk z pogłosem. Ojciec dmuchnął na nadgarstek, żeby pozbyć się mrówek.

- Zmarła kobieta, prawda? - uściśliłam.

- Co?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Zrozumiałam, że nie powinnam była o tym wspominać.

Ojciec przez chwilę milczał. Czułam, jak moje policzki robią się gorące i czerwone. Ułożył dwa palce jak cążki, żeby podnieść z tarasu ostatnie zbłąkane piórko, i wrzucił je do worka. Potem potarł czoło grzbietem zgiętego nadgarstka.

- Nie, kochanie - powiedział. - Nikt nie umarł.

To było pierwsze kłamstwo, jakie usłyszałam z ust ojca - albo pierwsze, na którym go przyłapałam. Ale nie ostatnie. I nie najbardziej zuchwałe.

Na tarasie, w miejscu, gdzie leżał ptak, sto mrówek biegało w kółko w poszukiwaniu zaginionej uczy.

Ojciec ściągnął taśmę worka i mocno go zawiązał.

- Ty i mama za bardzo się przejmujecie - powiedział. - Mówiłem wam, że w nocy nic się nie stanie, i widzisz? Nic się nie stało.

Zanieśliśmy worek do kubłów po drugiej stronie domu. Kiedy tam szliśmy, ciemna sylwetka ptaka przeszła przez białą folię, a jego ciało zwijało się, kołysane w takt szybkich kroków ojca.

Ojciec przyciągnął szlauch na taras, żeby splukać mrówki i krew, ale tłusta plama na oknie pozostała na długie tygodnie niczym ślady hamowania po wypadku drogowym.

W końcu ojciec poszedł na górę spać, a matka poszła razem z nim.

Długo siedziałam sama w salonie i oglądałam telewizję, podczas gdy rodzice szeptali za zamkniętymi drzwiami sypialni. Usłyszałam, jak matka zadaje jakieś pytanie. Ojciec się zdenerwował:

- O co ci chodzi? - warknął.

Ściszyłam telewizor i wyteżyłam słuch, żeby usłyszeć resztę.

- Oczywiście, że byłem w pracy - powiedział. - Gdzie indziej miałbym być, do cholery?

Żyliśmy z nową grawitacją, zbyt subtelnie zmienioną, żeby mogły to odnotować nasze umysły, ale ciała już poddawały się jej kołysaniu. W następnych tygodniach dni nadal się rozciągały,

rozgrywający odkrywali, że piłki nie lecą tak daleko jak kiedyś, najlepsi pałkarze tracili formę. Coraz trudniej było mi kopnąć piłkę tak, żeby przeleciała przez całe boisko. Piloci na nowo uczyli się latać. Każdy spadający przedmiot szybciej docierał na ziemię.

Teraz wydaje mi się, że spowolnienie zapoczątkowało także pewne inne zmiany, na początku mniej widoczne, ale głębsze. Że zakłóciło pewne subtelniejsze trajektorie: na przykład tory przyjaźni, ścieżki przybliżające do miłości i oddalające od niej. Ale czy mogę twierdzić, że kurs mojego dzieciństwa nie był wyznaczony na długo przed spowolnieniem? Może mój okres dojrzewania był całkowicie normalny, a to bolesne klucie zupełnie zwyczajne? Bo przecież istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności: połączenie co najmniej dwóch z pozoru niepowiązanych zdarzeń pomimo braku związku przyczynowo-skutkowego. Może to wszystko, co spotkało mnie i moją rodzinę, nie miało absolutnie nic wspólnego ze spowolnieniem? To chyba możliwe. Chociaż wątpię. Bardzo w to wątpię.

Minęły dwa dni. Z każdą kolejną godziną napływało więcej nowych minut. Teraz mieliśmy poniedziałek. Nie było żadnych nowych wiadomości.

Miałam nadzieję, że lekcje zostaną odwołane - wszystkie dzieci na to liczyły. Zamiast tego zajęcia rozpoczęły się z opóźnieniem. Pospiesznie stworzono plan w celu przesunięcia zwykłej godziny rozpoczęcia lekcji o dziewięćdziesiąt minut do tyłu, mniej więcej o tyle, ile wynosiło nasze opóźnienie.

Władze poprosiły, żebyśmy zachowywali się jak zwykle. Oczywiście później było już inaczej, ale na razie nasi przywódcy stali przed mikrofonami ubrani w ciemne garnitury i czerwone krawaty, ze znaczkami w barwach amerykańskiej flagi przypiętymi do granatowych klap marynarek. Mówili głównie o gospodarce: radzili chodzić do pracy, wydawać pieniądze, zostawić gotówkę w bankach.

- Na pewno nie mówią nam o wszystkim - powiedział tamtego poniedziałkowego ranka Trevor Watkins na przystanku autobusowym.

Ponad połowa dzieci, które zazwyczaj czekały na autobus, została w domu albo wyjechała z miasta razem z całą rodziną. Brak Hanny doskwierał mi jak ból fantomowy.

- Zupełnie jak ze Strefą 51 - dodał Trevor, żując postrzępione czarne paski swojego plecaka. - Nigdy nie mówią społeczeństwu prawdy.

Mieliśmy wtedy lekkie życie. Byliśmy dziewczynkami w sandałkach i sukienkach, chłopcami w szerokich szortach i surfingowych koszulkach. Dorastaliśmy w krainie marzeń emerytów -trzysta trzydzieści słonecznych dni w roku - więc świętowaliśmy każdy deszcz. Katastrofa także, podobnie jak zła pogoda, budziła w nas wszystkich niespokojne podniecenie i energię.

Po drugiej stronie przystanku rozległo się echo deskorolki uderzającej o krawężnik. Nie musiałam patrzeć, żeby wiedzieć, kto to, ale chciałam spojrzeć: Seth Moreno - wysoki, cichy i zawsze sam - ostrożnie schodził z deskorolki na chodnik, a kiedy się poruszał, ciemne włosy opadały mu na oczy. Nigdy za dużo nie rozmawiałam z Sethem Moreno, mimo że siedziałam za nim na matematyce. Opanowałam sztukę obserwowania go w taki sposób, jakbym wcale mu się nie przyglądała.

- Zaufajcie mi - ciągnął Trevor. Był kościsty i samotny, a jego ogromny zielony plecak był taki ciężki, że zmuszał go do garbienia się jak staruszek, żeby nie stracić równowagi. - Rząd wie znacznie więcej, niż mówi.

- Zamknij się - warknął Daryl. Daryl był nowym, niegrzecznym dzieciakiem, który codziennie na czwartej lekcji chodził do pielęgniarki po dawkę ritalinu. Dzieciakiem, którego wszyscy staraliśmy się unikać. - Nikt cię nie słucha, Trevor.

Przystanek autobusowy zajmował kawałek utwardzonej ziemi, na którym rozpoczynały się nasze wszystkie dni nauki szkolnej: obrzucano się tam wyzwiskami, wyjawiano albo rozgłaszano



sekrety. Staliśmy tam gdzie zawsze, na tym samym skrawku piachu obok tej samej pustej działki, promienie porannego słońca padały mniej więcej pod tym samym kątem co dotychczas. Nasze zegarki stały się bezużyteczne, ale oświetlenie wydawało się odpowiednie.

- Ludzie, mówię poważnie - przekonywał Trevor. - To koniec świata.

- Jeśli ten autobus nie przyjedzie w ciągu dwóch minut - wtrącił Daryl - to ja stąd idę.

Daryl oparł się o ogrodzenie z siatki otaczające sąsiednią pustą działkę. Wiele lat wcześniej dom, który kiedyś na niej stał, zsunął się do kanionu razem z częścią klifu z wapienia. Na dole nadal można było znaleźć pozostałości budynku. Kawałki drewna wplątane w zarośla, odłamki kafelków w piachu. Ale z posiadłości zostało niewiele. Popękany podjazd prowadził donikąd. Tam, gdzie kiedyś był trawnik, teraz rosły chwasty. Żółte tabliczki ostrzegały przed niestabilnością skarpy.

- Powiem wam, jak to się stanie - ciągnął Trevor. - Najpierw stracimy uprawy. Potem wyzdychają wszystkie zwierzęta. A na końcu umrą ludzie.

W tamtej chwili bliższe mi jednak były własne lęki: bez Hanny czułam się niezręcznie, stojąc sama na tym krawężniku. Nawet w zwyczajny dzień przystanek był złym miejscem dla kogoś, kto nie miał przy sobie przyjaciela. Rządziły łobuzy. Nikt nikogo nie pilnował.

Postanowiłam stanąć obok Michaeli, bo przyjaźniłyśmy się w podstawówce, chociaż tamte więzi mocno już osłabły.

- Cześć, Julia - powiedziała na mój widok. - Jesteś mądra, myślisz, że ta Ziemia mogła w jakiś sposób spieprzyć mi fryzurę? - Poprawiała kucyk. Był gruby, kędzierzawy i rudy. - Bo moje włosy dzisiaj wariują.

W minispódniczce i maleńkiej bluzeczce wyglądała jak ktoś, kto wybiera się na plażę. Na nogi włożyła japonki z cekinami. Moja matka nigdy by mi nie pozwoliła pójść do szkoły w japonkach.

- Nie wiem - odparłam, żałując swojego praktycznego stroju, białych płóciennych tenisówek zawiązanych na podwójną kokardkę pod zwyczajnymi džinsami. - Możliwe.

W tamtych dniach usta Michaeli nieustannie lśniły od błyszczczyku. Jej biodra nieustannie się kołysały. Tusz do rzęs spływał po policzkach na każdym treningu piłki nożnej, a do tego opowiadała o niezliczonych chłopakach - trudno było nadażyć za jej wszystkimi Jasonami, Brianami i Bradami. Jak mogłabym się jej przyznać do swojego skromnego pragnienia? Jak mogłabym jej wytłumaczyć, że od miesięcy mam nadzieję na rozmowę z zaledwie jednym chłopakiem, który czeka z nami na przystanku autobusowym, jeżdżąc powoli na deskorolce? Seth Moreno: jak mrugające światełko w mojej głowie.

- Serio - ciągnęła Michaela, unosząc skołtuniony koniec kucyka. - Popatrz, jak się napuszył.

Przy każdym ruchu jej włosy wydzielają owocowy zapach szamponu.

- Aua! - zawołała Michaela, odwracając się gwałtownie, jakby użądliła ją pszczoła. Daryl właśnie strzelił jej ze stanika. - Przestań, Daryl! - dodała.

Stanik Michaeli w zasadzie nie miał czego podtrzymywać. Była równie płaska jak ja. Ale i tak go nosiła, pikantny symbol tego, co nas czeka. Nawet jeśli w dwóch pustych miseczkach widocznych przez biały bawełniany materiał koszulki na ramiączkach nie było niczego konkretnego, zaledwie szansa na piersi, to chyba właśnie to oczekiwanie, sama idea, samo marzenie o kobiecym ciele wystarczały, aby przyciągać do Michaeli chłopaków.

- Nie żartuję - ostrzegła, kiedy Daryl pociągnął jeszcze raz. Słyszałam szybkie plaśnięcie gumy lądującej na skórze. - Działasz mi na nerwy.

Patrzyłam, jak w oddali Seth Moreno rzuca kamieniem nad płotem z siatki i do kanionu. Czułam, że Seta obchodzą ważne sprawy. Jego smutek zawsze był widoczny. Krył się we wściekłym machnięciu nadgarstka, gdy Seth wypuszczał kamień z dłoni. W zmęczonym ruchu głowy. W sposobie, w jaki wpatrywał się w niebo, mrużąc oczy, ale nie odwracał wzroku.

Wcześniej Seth dowiedział się o innej katastrofie: jakiś czas temu zachorowała jego matka. Parę razy widziałam ich razem w aptece. Miała głowę obwiązaną czerwoną bandaną, jej kościste nogi tkwiły w masywnych ortopedycznych butach. Rak piersi: chorowała na niego już od lat, miałam wrażenie, że od zawsze, ale słyszałam, że teraz naprawdę umiera.

Nagle poczułam, jak ktoś szczypie mnie z tyłu przez koszulkę. Odwróciłam się. Za mną stał Daryl. Parsknął podłym śmiechem.

- Ale jaja! - powiedział, odwracając się do pozostałych. - Julia nie nosi stanika!

Moje policzki zrobiły się gorące.

Hanna wiedziałaby, co zrobić. Z nas dwóch to ona była liderką, rzeczniczką, szefową. Umiała być złośliwa, kiedy zaszła potrzeba. Może wyszkoliły ją siostry. Od razu wkroczyłaby do akcji i powiedziała Darylowi dokładnie to, co należało powiedzieć.

Ale tamtego dnia byłam zdana na siebie i nie przywykłam do tego, żeby ktoś się ze mnie nabijał.

Kilka miesięcy wcześniej minęłam z matką dział bielizny w domu handlowym. Ekspedientka zapytała, czy nie zechciałybyśmy obejrzeć staników sportowych. Moja matka spojrzała na nią w taki sposób, jakby kobieta powiedziała coś związanego z seksem. Ja tylko wbiłam wzrok w podłogę.

- Och - odpowiedziała matka - raczej nie.

Daryl gapił się na mnie. Miał strasznie bladą skórę, strasznie spiczasty i strasznie piegowaty nos. Czułam na twarzy wzrok innych dzieciaków lgnących do okrucieństwa jak muchy do świeżego mięsa.

Pragnęłam usłyszeć zbawienny dźwięk nadjeżdżającego autobusu, ale nie usłyszałam niczego oprócz cichego szemrania owadów krzątających się wśród kwiatów w kanionie i głuchego odgłosu deskorolki Setha, która raz po raz uderzała o krawężnik. Linie energetyczne skwierczały jak zwykle, spowolnienie nie zakłóciło przepływu prądu. Później gdzieś usłyszałam, że nawet gdyby cała ludzkość wyginęła, nasze maszyny prawdopodobnie pracowałyby jeszcze przez jakiś czas.

W moich ustach uformowało się kłamstwo. Wypadło na zewnątrz jak złamany ząb.

- Właśnie, że noszę - powiedziałam.

Srebrny minivan wyjechał z zakrętu, minął nas i zniknął.

- Tak? - zapytał Daryl. - No to pokaż.

Patrzyli na nas już wszyscy oprócz Setha. Starsi chłopcy, ci z ósmej klasy, przerwali swoje przepychanki, żeby zobaczyć, co się stanie. Nawet Trevor przestał mówić. Diane też patrzyła, pocierając dwoma palcami srebrny krzyż, który zawsze wisiał na jej grubiućkiej szyi. Bliźniaki Gilbert gapiły się bez słowa. Czułam obecność Setha, jedynej osoby, która trzymała się z boku. Miałam nadzieję, że nie zauważył, co się dzieje. Stał teraz na swojej deskorolce odwrócony w drugą stronę, kółka szurały o piach, a on powoli jeździł tam i z powrotem na drugim końcu przystanka.

- Skoro nosisz stanik - powiedział Daryl, pochylając się w moją stronę - udowodnij to.

Nerwowo skubałam swój wisiołek. Na delikatnym łańcuszku na mojej szyi wisiał malutki samorodek złota wydobyty sześćdziesiąt

lat wcześniej rękami mojego dziadka, pracującego wtedy w kopalniach na Alasce. Jedyne przedmiot od niego, który uważałam za skarb.

- Zostaw ją w spokoju - powiedziała w końcu Michaela, ale jej głos był zbyt słaby i zabrzmiał za późno.

Zdążyłam już wtedy zrozumieć, że w życiu są dręczyciele i dręczeni, łowcy i zwierzyna łowna, silni, silniejsi i słabi, ale dotychczas nie zaliczałam się do żadnej z tych grup - należałam do reszty, byłam spokojną dziewczyną o przeciętnej twarzy, jedną z osób w nieszkodliwym i nieuszkodzonym tłumie. Ale nagle poczułam, że ta równowaga uległa zaburzeniu. Przez głowę przemknęła mi podła myśl: nie powinnam była się znaleźć w tej sytuacji, to powinno się przytrafić którejś z brzydszych dziewczyn, Dianę, Teresie albo Jill. Albo Rachel. Gdzie się podziała Rachel? Była najmądrzejsza z nas wszystkich. Ale jej matka też postanowiła ją zatrzymać w domu, żeby się przygotowywać i modlić -rodzina Rachel należała do świadków Jehowy i wierzyła, że nasze dni właśnie dobiegają końca.

Na przystanku brakowało tylu dzieciaków, że doszło do zmiany hierarchii.

Zza rogu wynurzył się następny samochód. Tym razem w środku zielonego kombi siedział mój ojciec, który jechał do pracy. Zobaczył mnie i pomachał. Nie chciałam, żeby mnie zauważył w takiej sytuacji, chociaż przecież nie mógł dostrzec w samej scenie żadnych oznak kłopotów.

- Albo sama pokażesz - zagroził Daryl - albo zrobię to za ciebie.

Jak dobrze udokumentowano, liczba morderstw i innych przestępstw z użyciem przemocy wzrosła lawinowo w dniach i tygodniach po rozpoczęciu spowolnienia. Coś wisiało w powietrzu. Poza tym odnosiło się wrażenie, że nasza zdolność oceny też

zwolniła tempo, pozbawiając nas zahamowań. Ale zawsze uważałam, że skutek powinien być odwrotny. Przecież po spowolnieniu każde działanie wymagało trochę więcej siły niż dawniej. Zmieniły się warunki fizyczne. Weźmy na przykład odrobinę mocniejszy nacisk ręki na nóż albo palca na spust. Od tamtej pory wszyscy mieliśmy trochę więcej czasu, żeby zdecydować o powstrzymaniu się od działania. Kto wie, jak szybko potrafi podróżować ponowny namysł? Kto kiedykolwiek mierzył dokładną prędkość wyrzutów sumienia? Nowa grawitacja nie wystarczyła jednak, by przewyciężyć pewne inne siły, potężniejsze, mniej znane - żadne prawo fizyki nie uwzględnia żądy.

Usłyszałam warkot toczącego się w naszą stronę autobusu, pisk jego hamulców, klekotanie silnika. Wtedy Daryl chwycił przód mojej koszulki i pociągnął w górę. Próbowałam się od niego odwrócić, ale za późno. Odwracając się, zobaczyłam Seta idącego w naszą stronę zamaszystym krokiem, w samą porę, żeby zobaczyć mój nagi tors.

Oto, co jeszcze zapamiętałam: biel mojej koszulki na twarzy, podmuch wilgotnego powietrza na nagim mostku i nagich żebrach, na całej płaskiej powierzchni mojej klatki piersiowej. Podniecone piski dzieciaków. Daryl trzymał tak moją koszulkę przez kilka długich sekund, a ja wykręcałam się i obracałam, zamknięta z nim w tym perwersyjnym tańcu. Czulałam na skórze zimne powietrze, łańcuszek wżynał mi się w kark.

W końcu Daryl wypuścił moją koszulkę.

- Kłamczucha - powiedział. - Wiedziałem, że nie nosisz stanika.

Autobus zatrzymał się przy krawężniku i stał tam z pracującym silnikiem. Lekki słodkawy zapach oleju napędowego wypełnił powietrze. Zrobiło mi się słabo. Mrugałam, próbując powstrzymać łzy.

- Jezu, Daryl - powiedział Seth, podchodząc i szturchając go w ramię.
- O co ci chodzi?

Kilka miesięcy później matka Michaeli rozłożyła przed nami mapę nieba i wyjaśniła mi, że spowolnienie wpłynęło na znaki astrologiczne wszystkich ludzi. Odmieniły się losy. Zmodyfikowały się osobowości. Pechowcy zostali szczęściarzami. Szczęściarze byli mniej szczęśliwi. Nasze losy, od tak dawna zapisane w gwiazdach, napisały się na nowo w ciągu jednego dnia.

- Nie przejmuj się - szepnęła Michaela, kiedy wchodziłyśmy po schodkach do autobusu. - Nikt niczego nie widział.

Ale ja wiedziałam, że coś takiego mówi się wyłącznie wtedy, kiedy prawda wygląda dokładnie przeciwnie - że wszyscy widzieli wszystko.

Seth wszedł do autobusu jako ostatni. Mijając mnie, słabo się uśmiechnął, a potem jak zwykle przeszedł do tyłu. Kiedy mnie mijał, zobaczyłam na jego twarzy coś bardziej niepokojącego niż na twarzy Daryla. W ciemnych oczach Seta i w jego pełnych, zaciśniętych ustach ujrzałam coś innego, coś gorszego: współczucie.

Zastanawiałam się, czy nie wybiec z autobusu, ale było za późno. Drzwi się zamykały.

- Założę się, że już teraz wysyłają prezydenta i najmądrzejszych naukowców do stacji kosmicznej, gdzie będą bezpieczni - powiedział Trevor z przedniego siedzenia, jakby nic nie zakłóciło strumienia jego teorii.

Tym razem cieszyłam się z jego paplaniny.

Autobus gwałtownie oderwał się od krawężnika. Kierowca, gruby facet ściśnięty szerokim czarnym paskiem, wyglądał na rozdrażnionego i rozkojarzonego. Ciągle spoglądał przez przednią szybę na słońce.

Sięgnęłam dłonią do wisiorka i właśnie wtedy odkryłam, że zniknął. Malutki samorodek złota od dziadka upadł gdzieś na piach.

- Mój wisiołek - powiedziałam, odwracając się do Michaeli. - Gdzie jest mój wisiołek?

Ale Michaela mnie nie słyszała. Pochłaniała ją rozmowa przez telefon.

- Mówię wam - odezwał się Trevor. - To Armagedon.

W szkole polecono nam ignorować dzwonki, które stały się zawodne, bo cały system odłączył się od czasu.

Wraz z porannym dzwonkiem, który dotąd nas poganiał, straciliśmy poczucie sensu i precyzję. Dzieci snuły się tam i z powrotem jak wędrujące stado ptaków. Tłum był bardziej rozpasany niż zwykle, trudniej go było okiełznać. Byliśmy głośni i rozdrażnieni. Chowałam się na obrzeżach grupy, a nauczyciele na próżno próbowali nad nami zapanować. Ich cienkie głosiki tonęły w oceanie naszych.

To było gimnazjum, wiek cudów, czas, w którym dzieci wystrzelają w górę o osiem centymetrów w ciągu wakacji, kiedy piersi wykwitają z niczego, kiedy głosy obniżają się i grubną. Pojawiały się nasze pierwsze wady, ale je korygowano. Słaby wzrok można było naprawić niewidocznymi czarodziejskimi soczewkami kontaktowymi. Krzywe zęby prostowano aparatami. Pyszczałą skórę oczyściło się chemicznie. Niektóre dziewczyny piękniały. Kilku chłopaków rosło. Wiedziałam, że sama nadal wyglądam jak dziecko.

Mgła już się rozpierzchnęła, pozostawiając jasne, czyste niebo. Flagi na szkolnym maszcie łopotwały na wietrze.

W tłumie dzieciaków z przodu krążyła plotka pobudzająca wyobraźnię. Tymi samymi kanałami wędrowała wcześniej wieść o zakazanych wędrowkach palców Drew Costello i o akrobacjach języka Amandy Cohen, o torebce strunowej wypchanej marihuaną, którą znaleziono w plecaku Stevena Galleta, i o jego późniejszych



losach w ośrodku dla chłopców z problemami w Mount Cuyamaca. Teraz wśród tych zwyczajnych bzdur krążyła inna plotka o równie tajemniczym źródle: w 1562 roku uczonec zwany Nostradamusem przewidział, że świat przestanie istnieć dokładnie tego dnia.

- Czy to nie przerażające? - zapytała Michaela, trącając mnie ramieniem.

Miałam ochotę uciec. Chciałam się wtopić w tłum, ale bałam się oddalić od Michaeli.

- Chyba był kimś w rodzaju medium albo coś - ciągnęła. Moja koszulka nadal zwisała rozciągnięta po incydencie na przystanku.

- Hej - zawołała Michaela, rozglądając się. - Gdzie jest Hanna?

- W Utah - powiedziałam. Ledwie mogłam wymówić tę nazwę. - Cała jej rodzina od razu wyjechała.

Wyobraziłam sobie dziesiątki kuzynów śpiących w samochodach na pustyni w Utah wokół olbrzymiego silosu zbożowego.

- O kurde - przejęła się Michaela. — Na zawsze?

- Chyba tak.

- Dziwne - powiedziała.

Potem poprosiła, żebym dała jej spisać pracę domową z historii.

- Nie przypuszczałam, że będzie trzeba iść do szkoły - wyjaśniła. - Więc nie odrobiłam lekcji.

Wiedziałam jednak, że Michaela już wcześniej odpuściła sobie prace domowe. Rozwijała inny zestaw umiejętności. Trzeba było się sporo nauczyć o pielęgnacji włosów i skóry. Istniał odpowiedni sposób trzymania papierosa. Dziewczyna nie rodziła się ze zdolnością robienia tego ręką. Dawałam jej spisywać prace domowe, kiedy tylko chciała.

Na fizyce robiliśmy nowe zegary słoneczne w miejsce tych zrobionych w pierwszym tygodniu szkoły. Cieszyłam się, że siedzę w klasie pełnej dzieciaków, z których żaden nie stał rano na przystanku autobusowym.

- Adaptacja to niezbędny element natury - powiedział pan Jensen po rozdaniu nowych skal. Mówiąc, splatał i rozplatał dłonie. - To wszystko jest całkowicie naturalne.

Usiłowaliśmy wbić wykałaczki w pagórki mokrej gliny. Cała sztuka polegała na tym, żeby je umieścić pod odpowiednim kątem. Od początku było jasne, że większość naszych zegarów słonecznych będzie wskazywała bezużyteczny, niedokładny rodzaj czasu.

- Pomyślcie o dinozaurach - ciągnął nauczyciel. - Wyginęły, bo nie potrafiły się dostosować do zmian w środowisku.

Pan Jensen miał kucyk i brodę. Bardzo często nosił ubrania farbowane metodą tie-dye. Przyjeżdżał do szkoły rowerem. Plotkowano, że gotuje sobie posiłki na palnikach Bunsena z tyłu klasy i śpi w śpiworze pod swoim biurkiem. Codziennie zjawiał się w szkole w butach do trekkingu. Wyglądał tak, jakby przez wiele miesięcy mógł żyć na pustyni, zaopatrzony jedynie w kompas, scyzoryk i menażkę.

- Ale oczywiście - dodał, klaszcząc w dłonie - my jesteśmy zupełnie inni niż dinozaury.

Czułam, że stara się nas nie przestraszyć, ale właśnie na tym polegał problem: nie baliśmy się tak bardzo, jak powinniśmy. Byliśmy za młodzi na strach, zbyt zanurzeni we własnych miniaturowych światach, zbyt przekonani o własnej wieczności.

Konkurencyjna plotka głosiła, że tak naprawdę pan Jensen jest milionerem albo wynalazł coś ważnego dla NASA i uczy fizyki wyłącznie z zamiłowania. W tamtym roku był moim ulubionym nauczycielem i wiedziałam, że on też mnie lubi.

Tego dnia wystawił pudełko na pytania, żeby każdy mógł anonimowo zapytać o to, co się dzieje.

- Nie ma czegoś takiego jak głupie pytanie - oznajmił, zbierając nasze świstki papieru do przerobionego pudełka po chusteczkach.

Tego samego pudełka użyto jakiś czas wcześniej, żeby oddzielić dziewczyny od chłopaków, a potem przyszła pielęgniarka, żeby opowiedzieć, co nas czeka. „Spotka was coś bardzo wyjątkowego - powiedziała powoli jak wróżka czytająca z dłoni. -Nazwa tego czegoś pochodzi od greckiego słowa oznaczającego miesiąc, bo będzie to wam się przydarzało raz w miesiącu, co jeden cykl księżycowy". Tylko Tammy Smith i Michelle O'Connor siedziały z boku, kręcąc się ze znużeniem na krzesłach, bo ich ciała już się dostroiły do księżyca.

Teraz pan Jensen sięgnął do pudełka i wyciągnął z niego pytanie. Bardzo ostrożnie rozwinął papieraek.

- „Czy to prawda że jakiś uczone przewidywał, że dziś nastąpi koniec świata?" - przeczytał. - Nostradamus w zasadzie nie był uczonym - powiedział. Widocznie słyszał plotkę krążącą po korytarzach. - Wszyscy wiecie, że nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości. Nikt nie potrafi powiedzieć, co będzie jutro, a tym bardziej za pięćset lat.

Odezwał się szkolny dzwonek, ale wszyscy nadal siedzieliśmy na miejscach. Dzwonek wzywający na lunch nie był już z nami zsynchronizowany.

Za oknem niebo nadal było jasne. Promienie słońca wlewały się do klasy i odbijały w rzędach czystych zlewek i probówek połyskujących na półkach jak kieliszki do wina.

Pan Jensen wyciągnął z pudełka następne pytanie: ktoś chciał wiedzieć, czy spowolnienie mogło zostać wywołane przez zanieczyszczenie środowiska.

To pytanie wyraźnie nauczyciela przygnębiło.

- Jeszcze nie wiemy, dlaczego to się dzieje - powiedział. Zdjął okulary i potarł czoło grzbietem dłoni. Przystanął obok

akwarium, pustego od września, kiedy to system nitrujący niespodziewanie przestał działać. To się stało podczas weekendu. W poniedziałek rano zobaczyliśmy pięć rybek pływających po powierzchni jak liście. Pod łuskami na ich małych ciałkach było widać krew. Nam woda nadal wydawała się czysta, ale dla nich stała się trująca.

- Działalność człowieka wyrządziła tej planecie wiele szkód - podjął pan Jensen, kiedy znowu zaczęliśmy pracować nad zegarami słonecznymi. - Ludzie są odpowiedzialni za efekt cieplarniany i przerzedzenie warstwy ozonowej, a także za wyginięcie tysięcy gatunków roślin i zwierząt. Ale na razie jest za wcześnie, żeby stwierdzić, czy wywołaliśmy i tę zmianę.

Przed końcem lekcji pan Jensen zaktualizował naszą ścianę z układem słonecznym, na której sześć metrów czarnego papieru do pakowania i dziewięć planet z tego samego materiału zgrabnie obrazowały przestrzeń kosmiczną. Na naszej mapie było także słońce i księżyc z folii aluminiowej. W rogach tkwiły rozproszone pinezki o różnokolorowych łebkach czekające na wszystkie planety, których jeszcze nie odkryliśmy. Podobno były ich tysiące. Może miliony. Nadal mnie zdumiewa, jak mało wiemy o wszechświecie.

Na tabliczce nad Ziemią pan Jensen zmienił „24 godziny” na „25 godzin i 37 minut”, ale nową długość dnia napisał na samoprzylepnej karteczce, żebyśmy w razie potrzeby mogli ją uaktualnić.

Przez cały dzień klasy były w połowie puste; albo - w zależności od podejścia - w połowie pełne. Dziesiątki ławek stały niewykorzystane, przeważnie nikt nie sprawdzał obecności. Zupełnie

jakby niektóre dzieciaki naprawdę zostały wessane z ziemi do nieba, tak jak oczekują niektórzy chrześcijanie, i pozostawiły tu resztę z nas: potomków naukowców, ateistów i tych zwyczajnie mniej pobożnych.

Nauczyciele odradzali śledzenie wiadomości podczas lekcji, ale jedno z nas miało radio, a wszyscy pozostali telefony komórkowe.

Pierwsze gwałtowne fale choroby grawitacyjnej nawiedzały już różne zakątki Ziemi. Setki osób doświadczało zawrotów głowy, omdleń i zmęczenia. Na wuefie część uczniów wymigała się z biegu przelajowego, chwytając się za brzuch, narzekając na mdłości i tajemnicze bóle. „Nic na to nie poradzimy - mówili. -To choroba grawitacyjna”.

Nauczyciele udawali, że wcale się nie martwią. W porze lunchu wszyscy jednak oglądali wiadomości w pokoju nauczycielskim. Widzieliśmy ich miny, ich zmęczone oczy, zmarszczone czoła, nagi strach na ich twarzach.

Zobaczyłam Seta Moreno dopiero na piątej lekcji. Chodziliśmy razem na matematykę. Przydzielono mu miejsce przede mną i przez cały dzień czekałam, żeby być blisko niego. Znałam każdy szczegół tyłu jego głowy - skręt włosów, łuk ucha, prostą, wyraźną linię żuchwy. Podobało mi się, że nawet późnym popołudniem nadal pachnie mydłem.

Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Nigdy nie wymówiłam na głos jego imienia, nawet w rozmowie z Hanną. „Daj spokój -szeptała w ciemności mojego salonu, kiedy obie leżałyśmy skulone w śpiworach. - Ktoś musi ci się podobać”. Ale ja zawsze przecząco kręciłam głową i kłamałam. „Nie - szeptałam w odpowiedzi. - Nikt”.

Od tygodni miałam nadzieję, że Seth na mnie spojrzy, ale dzisiaj nie. Za dużo widział na przystanku autobusowym.

Pani Pinsky próbowała poświęcić lekcję spowolnieniu. Napisała na tablicy „codzienny matematyczny łamacz mózgu”: „Długość dnia na Ziemi wzrosła o dziewięćdziesiąt minut w ciągu dwóch dni. Zakładając stałe tempo wzrostu, jak długo będzie trwał dzień na Ziemi za dwa dni? A za trzy? A za tydzień?”.

- Naprawdę musimy to robić? - zapytał Adam Jacobson, rozwalając się na krześle. Zawsze zadawał to samo pytanie.

- W życiu trzeba zrobić tylko jedno: umrzeć - powiedziała pani Pinsky. Było to jedno z jej ulubionych powiedzonek. - Wszystko inne to kwestia wyboru.

Pani Pinsky była przerażająca i onieśmielająca. Jeśli na jej lekcji ktoś dostał czkawki, wzywała go do biurka. Zanim zdążył dojść do tablicy, czkawka zawsze mijała - to było równie dobre lekarstwo jak każdy inny niespodziewany strach.

- Nie piszcie samego rozwiązania, pokażcie, jak do niego doszliście - powiedziała, chodząc między ławkami. Fałdy jej pomarańczowej sukienki ocierały się ze świstem o chromowane nogi naszych krzeseł. - I bez zgadywania. Korzystajcie z algebry.

Ściany jej klasy były oblepione pokrzepiającymi plakatami: „Nigdy nie mów nigdy”, „Oczekuj nieoczekiwanego”, „Niemożliwe staje się możliwe”.

Pani Pinsky wywołała kilkoro z nas do tablicy, żebyśmy pokazali swoje rozwiązania. Ja i Seth znaleźliśmy się wśród wybrańców i stanęliśmy obok siebie, żeby przepisać nasze obliczenia z zeszytów na tablicę. Pamiętam, jak tuż obok czułam obecność jego prawej ręki, wyciągającej się w górę, żeby zapisać rozwiązanie, jak jego cyfry pochylały się w prawo i opadały, kiedy kreda drapała o tablicę. Szorstka brązowa wykładzina pod moimi stopami wydawała się przetarta. Na przestrzeni trzydziestu

lat rzesza szóstoklasistów rozwiązywała działania, stojąc dokładnie w tym samym miejscu.

Seth wytarł palce o gąbkę i odłożył ją na miejsce. Kredowy pył zmusił go do kichnięcia. Nawet kiedy kichał, był uroczy. Miał cudowne dłonie. W nadgarstkach było widać siłę tkwiącą w żyłach i ścięgnach, które biegły ku grzbietowi dłoni. Matka Setha była w domu, umierała. Ale on był tutaj, z każdym dniem silniejszy.

Sprawdzając swoje rozwiązanie, zauważyłam, że Seth się pomylił, i poczułam bolesne, opiekuńcze ukłucie. Chciałam to poprawić albo coś powiedzieć, ale on już odłożył kredę i wracał na swoje miejsce.

Przez otwarte okna klasy usłyszeliśmy wycie rozpędzonego wozu strażackiego. Po chwili drugi popędził w tę samą stronę. Ale to były zwyczajne dźwięki towarzyszące naszym dniom w szkole. Po drugiej stronie ulicy stała remiza. Syreny rozbrzmiewały przez cały dzień. Kiedyś ich dźwięki mnie niepokoiły - te wszystkie opresje nieznanym ludzi - ale z czasem do nich przywykłam. Jak my wszyscy.

Na początku zmiana w powietrzu była ledwie zauważalna: blaknięcie. Odczucie, które cię nawiedza, kiedy chmura zakrywa słońce.

- Tam się dzieje coś dziwnego - powiedział Trevor z końca klasy. Bawił się metalowym kompasem, ale teraz z brzękiem upuścił go *na* stół. - Coś naprawdę dziwnego.

-Jeśli masz coś do powiedzenia, Trevor, proszę, podnieś rękę - upomniała go pani Pinsky.

Przygotowywała resztę lekcji na foliogramach. Poczuliśmy chłodniejszy powiew. Słyszałam popiskiwanie jej flamastra na folii, szum wentylatora w projektorze. Przedkładała starą

technologię ponad komputery, z których korzystali już wszyscy pozostali nauczyciele.

- O kurde - powiedział Adam Jacobson, który siedział najbliżej okien.  
- Ja piernicę.

- Adam, nie wyrażaj się - ostrzegła pani Pinsky.

W sąsiednich klasach też zaczęły się rozlegać podniesione głosy.

- Chodźcie popatrzeć - powiedział Adam. - Robi się ciemno.

Okna były tylko po jednej stronie klasy i wszyscy podbiegliśmy do nich jak przedmioty przesuwające się po pokładzie przechylnego statku. Niewiele widziałam nad głowami wyższych dzieciaków, ale wyczułam zmianę światła. Dziwny mrok nadciągał jak burza, tyle że nie było burzy. Niebo było bezchmurne. Czyste.

Reszta wydarzyła się szybko, w ciągu pół minuty.

- Wracajcie na miejsca - nakazała pani Pinsky. Ale nikt jej nie posłuchał. - Powiedziałam: wracajcie na miejsca.

Potem wyszła z klasy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Po powrocie przełączyła się na tryb awaryjny.

- Dobrze - powiedziała. - Dobrze. Tylko spokojnie. Niech wszyscy zachowają spokój.

Chwyliła gwizdek i megafon, klucze i krótkofalówkę. Akcesoria do ćwiczeń na wypadek alarmu pożarowego, trzęsienia ziemi i wtargnięcia do szkoły strzelającego napastnika.

Cała gama kolorów pogrążyła się w przydymionych szarościach. W klasie zapanowała bladeść. To było światło ostatnich krótkich chwil dnia, cieniutki klin czasu tuż po zachodzie słońca, ale przed sięgnięciem do lampki. Nagły zachód słońca - bardzo szybki. Była trzynasta dwadzieścia trzy.

Uczniowie zaczęli wyciekać z klas, z początku strużką, potem falą powodziową.



Ktoś złapał mnie za nadgarstek. Podniosłam głowę. Ze zdziwieniem zobaczyłam, że to Seth. W półmroku jego ostre rysy były jeszcze bardziej urocze.

- Chodź - powiedział.

Jego dłoń wokół mojego nadgarstka przypominała linię pod napięciem. Poczułam łaskotki w brzuchu: nawet wtedy zauważyłam wilgotne ciepło jego ręki na swojej skórze.

Wybiegliśmy razem.

- Wracajcie! - rozkazała pani Pinsky, ale nikt jej nie słuchał. Powtórzyła to, tym razem krzyząc przez megafon. Ani jedna głowa nie odwróciła się w jej kierunku. Rozbiegaliśmy się na wszystkie strony, większość z nas pędziła na trawiaste wzgórze za szkołą.

W ciągu kilku sekund zrobiło się ciemno jak o zmroku i nadal się ściemniało. Niebo nabrało nieprzyjemnego, wieczornego odcienia granatu. Cały horyzont otaczała pomarańczowa poświata.

Ja i Seth rzuciliśmy się na trawę, czując, że bezpieczniej będzie leżeć.

- Może to już — powiedział.

Chyba słyszałam, jak głos drży mu z przejęcia.

Wszędzie wokół nas rozlegały się krzyki. Słyszałam, jak ktoś szlocha w ciemności. Telefony klikały i migotały w mroku. Na niebie widzieliśmy gwiazdy.

Na drodze obok szkoły zatrzymały się dziesiątki samochodów. Kierowcy stali na ulicy obok drzwi otwartych jak skrzydła i pośród włączonych reflektorów. Wszystkie oczy skierowały się ku niebu. Nad trawą zaczął wiać chłodny nocny wiatr.

U stóp wzgórza, w drzwiach szkolnego laboratorium wydzierał się pan Jensen. Machał ręką. Nie słyszałam go ponad krzykami tłumu, ale wyglądał jak opętany. Skoro nawet pan Jensen spanikował, jak reszta z nas miałyby zachować spokój?

Seth sięgnął po moją rękę, nasze palce się splotły. Nigdy wcześniej nie trzymałam chłopaka za rękę w taki sposób. Ledwie mogłam oddychać.

Moja komórka zawibrowała w kieszeni. Miałam nadzieję, że to Hanna, ale kiedy zobaczyłam, że dzwoni matka, odrzuciłam połączenie.

- A jeśli za chwilę umrzemy? - szepnął Seth. Jego głos brzmiał poważnie. Nie wydawał się przestraszony.

Z sekundy na sekundę wszyscy coraz bardziej milkli, uciszeni ciemnością i chłodem w powietrzu. Zdałam sobie sprawę, że dziesiątki psów szczekają i wyją na podwórkach. Mijały minuty. Temperatura nadal spadała.

Z ust wyslizgnęła mi się niewyraźna modlitwa: „Proszę, proszę, niech nic nam się nie stanie”.

Tamtego dnia, tak jak starożytni, byliśmy przerażeni naszym własnym wielkim niebem.

Teraz już wiemy, że ciemność trwała cztery minuty i dwadzieścia siedem sekund, ale wydawała się znacznie dłuższa. W ciągu tych kilku pierwszych dni czas płynął inaczej. Gdyby nikt tego nie utrwalił - a wydarzenie zostało sfilmowane przez setki osób - mogłabym przysiąc, że minęła co najmniej godzina, zanim na niebie ponownie ujrzeliśmy błysk światła.

- Patrz - powiedział Seth. - Patrz. Patrz.

Krwotok jasności rozlewał się bezpośrednio nad naszymi głowami, resztką słońca została nam zwrócona jak za sprawą cudu. Widzieliśmy teraz jego zarys, cienki krąg światła z oślepiającym wybrzuszeniem z jednej strony, jak pierścionek z diamentem.

Zobaczyłam pana Jensena biegnącego przez tłum. Kiedy się do nas zbliżył, wreszcie usłyszeliśmy, co krzyczy.

- Posłuchajcie mnie! - wołał. - To tylko zaćmienie słońca. Jest nieszkodliwe. Po prostu cień księżycy przesuwają się po słońcu.

Jak się dowiedzieliśmy w następnych godzinach, pan Jensen miał rację: spodziewano się całkowitego zaćmienia słońca na środku Pacyfiku. Miało być widoczne wyłącznie z pokładów przepływających tamtędy statków i z garstki słabo zaludnionych wysp. Ale spowolnienie przesunęło współrzędne wszystkich oczekiwanych zaćmień - dawniej były rozpracowane już wcześniej, każde przyszłe zaćmienie przypisane konkretnej minucie i dekadzie. To nas zaskoczyło. Było widoczne z grubego pasa na zachodzie Stanów Zjednoczonych.

Przez całe moje ciało przetoczyła się ulga. Byliśmy ocaleni. I leżałam na wzgórzu z Sethem Moreno.

Seth wydawał się rozczarowany najnowszymi wieściami.

- Jak to? - zdziwił się. - To tylko zaćmienie? Obydwoje zostaliśmy na wzgórzu i patrzyliśmy, jak powraca

słońce. Leżeliśmy obok siebie, plecami na trawie, i mrużyliśmy oczy. Byłam tak blisko Seta, że widziałam włoski na jego przedramieniu.

- Marzysz kiedyś o tym, żeby zostać bohaterką? - zapytał.

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- Ja chcę kiedyś uratować komuś życie.

Pomyślałam o jego matce. Pewnego razu ojciec mi wyjaśnił, na czym polega rak, że prawie nigdy się nie poddaje, że trzeba zniszczyć każdą jego komórkę. I tak naprawdę nigdy nie można mieć całkowitej pewności, że się wygrało. On zawsze może wrócić. I przeważnie wraca.

- Może chciałabym zostać lekarką - odparłam.

Nie byłam do końca szczerą. Tak naprawdę nie wiedziałam, czy byłabym w stanie robić to co ojciec. Nie wiedziałam, czy potrafiłabym znieść tyle krwi i smutku.

- Kiedy jestem w banku - ciągnął Seth - zawsze mam cichą nadzieję, że wbiegnie bandyta z bronią i że to właśnie ja go obezwładnię i uratuję pozostałych.

Przez pewien czas wydawało się, że matka Seta wcale nie umrze na raka. Rok wcześniej przynosiła brownies na kiermasze ciast i zbierała pieniądze na bożonarodzeniowy prezent dla pani Sanderson. Była taka aktywna, jakby rak zredukował się do cechy, z którą trzeba żyć, jak nadwaga albo siwizna. Ale od jakiegoś czasu jej nie widywałam.

Niebo odzyskiwało kolor, powoli, ale zdecydowanie, tak jak twarz człowieka dochodzącego do siebie po omdleniu.

- Kiedy dorosnę, zaciągnę się do rangersów - oznajmił. - To najbardziej elitarna jednostka wojskowa.

- Fajnie - powiedziałam.

Ludzie wsiadali z powrotem do samochodów. Rozbrzmiewały klaksony. Psy dalej czekały. Niektóre dzieci wracały do klas. Inne po prostu oddalały się od szkoły i ruszały w świat, zbyt roztrzęsione, żeby móc się podporządkować jakimkolwiek zasadom albo rutynie.

Ja i Seth zostaliśmy na wzgórzu. Zaległa między nami cisza, ale była przyjemna. Jesteśmy do siebie podobni, pomyślałam, spokojni i myślący.

Patrzyłam, jak Seth wpatruje się w niebo. Od zachodu nadciągała słabowita pierzasta chmurka, pierwsza i jedyna tego dnia. Chciałam powiedzieć coś ważnego i prawdziwego.

- Naprawdę mi przykro z powodu twojej mamy - szepnęłam.

- Co? - zdziwił się. Odwrócił się do mnie. Wyglądał na zszokowanego.

- Po prostu jest mi przykro, że zachorowała - wyjaśniłam. - To musi być naprawdę trudne.

Seth usiadł i potarł rękami nogawki dżinsów.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - mruknął.

Wstawał. Słońce już prawie całkiem się odsłoniło i świeciło zbyt jasno, żebym mogła spojrzeć w górę - trudno było zobaczyć twarz Setha w tym świetle.

- Nic nie wiesz o mojej matce - powiedział. Załamał mu się głos. - Nie mów o niej. Nie mów o mojej matce. Nigdy więcej o niej nie mów.

Każde słowo kłuło mnie jak osobne żądło.

Próbowałam go przeprosić, ale byłam zbyt oszołomiona. Seth już odchodził, uciekając ze szkoły ku światu. Patrzyłam, jak lekkomyślnie przebiega przez ulicę i rozzłoszczony lawiruje między samochodami, coraz bardziej się ode mnie oddalając.

Słońce odzyskało już swoje popołudniowe Ja, swój najśmielszy, najbłękitniejszy błękit. Usiadłam i odkryłam, że na wzgórzu nie został nikt oprócz mnie.

Powoli ruszyłam z powrotem na matematykę. Po drodze minęłam Michaelę. Szła w stronę bramy z grupką starszych uczniów, których nie znałam.

- Idziemy na plażę - powiedziała, przechodząc obok mnie. - A następna lekcja? - zapytałam. Pożałowałam tych słów, gdy tylko wyszły z moich ust. Michaela parsknęła śmiechem.

- Boże, Julia - powiedziała. - Czy ty kiedykolwiek zrobiłaś w życiu coś złego?

Tamtego popołudnia odwołano trening piłki nożnej. Przyjechała po mnie matka. Była wściekła.

- Dlaczego nie odebrałaś telefonu?

Usiadłam na miejscu pasażera i zatrzasnęłam za sobą drzwi, momentalnie uciszając przyprawiające o zawrót głowy głosy na przystanku.

- To było tylko zaćmienie - powiedziałam. Zapięłam pasy i oparłam się wygodnie, a matka ruszyła.

- Powinnaś była odebrać - strofowała mnie. - Powinnaś była oddzwonić.

W samochodzie dmuchała klimatyzacja. Z radia wylewały się wiadomości o zaćmieniu.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - zapytała matka podniesionym głosem, kiedy czekałyśmy w kolejce wolno jadących samochodów, aż opiekunowie przeprowadzający uczniów przez jezdnię dadzą nam znak, że możemy opuścić parking.

Patrzyłam przez okno na zgraję dzieciaków. Nagle, kiedy tak stały na boisku przed szkołą, wydały mi się odległe. Przesunęłam palcem po szybie. Niespodziewanie zdałam sobie sprawę, że nie są moimi przyjaciółmi. Żadne z nich.

- Hanna wyprowadziła się do Utah - powiedziałam. Wiedziałam o tym już od dwóch dni, ale po raz pierwszy wspomniałam o tym matce.

Spojrzała na mnie. Jej twarz złagodniała. Czerwony mercedes przecisnął się obok naszego samochodu.

- Wyprowadziła się. Potaknęłam.

- Och, Julio - przejęła się matka. Wyciągnęła rękę i ścisnęła mnie za ramię. - Naprawdę? Jesteś pewna, że już na zawsze?

- Tak mówiła.

Jechaliśmy w stronę autostrady. Czułam, że matka co chwila na mnie zerka. Ściszyła radio.

- Przykro mi - powiedziała. - prawdopodobnie wrócą.

- Nie wydaje mi się.

- Na razie ludzie się boją - przekonywała. - Wiesz, nie myślą racjonalnie.

Po powrocie do domu odkryłyśmy, że kubły na śmieci, które ojciec wytoczył rano na chodnik, nadal są pełne. Śmieciarze po

nie nie przyjechali, ale mrówki i muchy miały pełne ręce roboty. W środku nadal leżał ptak. "Wciągnęłyśmy śmieci z powrotem na podwórko i wyjęłyśmy zakupy z bagażnika. Matka kupiła kilka kartonów konserw, sześć plastikowych butli z wodą. Podejrzewała, że niedługo jej zabraknie. I nie tylko ona tak myślała.

Tamtego wieczoru ojciec stwierdził, że od początku wiedział, że zaćmienie to tylko zaćmienie.

- Próbujesz mi wmówić, że nawet przez chwilę się nie bałeś? - powątpiewała matka.

- W zasadzie nie - powiedział, rozwiązując sznurówki na schodach. - Wiedziałem, co się dzieje.

Wydarzenie zdominowało wieczorne wiadomości, w których wystąpiła garstka entuzjastów zaćmienia. Przed spowolnieniem wybrali się na daleką wyspę na Pacyfiku, jeden z nielicznych skrawków suchego lądu, z którego miało być widać całkowite zaćmienie słońca. Zabrali ze sobą drogi sprzęt wideo, specjalne filtry stworzone do robienia zdjęć kurczącym się słońcom. Ich narzędzia leżały jednak niewykorzystane w wyściełanych skrzynkach. Specjalne filtry okazały się niepotrzebne, ich ochronne okulary przeleżały złożone w kieszonkach na piersi, nigdy nieużyte - bo zaćmienie ukazało się na zachodnim wybrzeżu.

Tamtego wieczoru bejsbolowe play-offy przebiegły bez zakłóceń - wyglądało na to, że granie dalej w obliczu niepewności jest jedyną amerykańską rzeczą, jaką można zrobić. Ale zawodnicy grali okropnie. Pokonanie grawitacji okazało się trudniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Nikt nie był przyzwyczajony do nowej fizyki. Zdjęto siedmiu miotaczy. Nikt nie mógł trafić. Z każdą kolejną godziną każdy kawałeczek materii na Ziemi był coraz bardziej skrępowany grawitacją.

Wyglądało na to, że giełda też podlega temu samemu ruchowi w dół, bo notowania spadły do rekordowo niskiego poziomu. Za to cena ropy wystrzeliła w górę.

Zanim wieczorem położyłam się do łóżka - bardzo się starając wymazać z pamięci ten dzień w szkole - zyskaliśmy następne trzydzieści minut. Wszystkie stacje telewizyjne dodały do swoich ekranów nowe paski, które zamiast cen akcji podawały zmieniającą się długość dnia na Ziemi: dwadzieścia sześć godzin, siedem minut i coraz więcej.



Mijały dni. Z naszego przedmieścia ubywało coraz więcej ludzi. Uciekali do miejsc, z których przyjechali, a przecież byliśmy w Kalifornii, więc większość z nas skądś przyjechała. Ale moja rodzina została. My byliśmy tubylcami. Byliśmy w domu. Trzeciego dnia po szkole pojechałam z matką do dziadka.

- Mówi, że wszystko u niego w porządku - powiedziała matka, prowadząc samochód - ale wolę się upewnić.

Był ojcem mojego ojca, ale przeważnie martwiła się o niego moja matka. Ja też zaczęłam się o niego martwić - mieszkał zupełnie sam na wschód od miasta.

Po drodze zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, gdzie zobaczyłyśmy długi sznur samochodów czekających na swoją kolej. Dziesiątki minivanów i SUV-ów utworzyło łańcuch, który wylewał się na parking i kończył za skrzyżowaniem.

- Jezu - powiedziała matka. - To wygląda jak obrazek z wojny. Kobieta w różowej sukience w kwiatki pędziła od samochodu do samochodu, wsuwając za wycieraczki pomarańczowe ulotki,

a pasażerowie odwracali głowę. „Nadchodzi koniec! Żałujcie za grzechy i ocalcie się!”

Kiedy nas mijala, próbowałam uniknąć jej wzroku, tak rozbieganego i tak pewnego, ale ona spojrzała mi w oczy i przystanęła tuż obok, żeby krzyknąć zza szyby:

- A wtedy rzekł Pan: „Owego dnia zajdzie słońce w południe i w dzień świetlany zaciemnię ziemię”!

Matka wcisnęła przycisk ryglujący drzwi.

- To z Biblii? - zapytałam.

- Nie pamiętam - odpowiedziała.

Powoli posuwałyśmy się naprzód. W kolejce przed nami naliczyłam dziewiętnaście samochodów.

- Gdzie oni wszyscy się wybierają? - zapytała matka. Potarła czoło i wypuściła powietrze. - Dokąd można stąd uciec?

Mój dziadek mieszkał w środku luksusowej dzielnicy willowej. Jego stary dom odstawał od otoczenia. Zjechałyśmy z autostrady, skręcając w sieć świeżych czarnych ulic poprzecinanych na każdym skrzyżowaniu lśniącymi białymi przejściami dla pieszych. Znaki stopu były nowe. Ograniczniki prędkości były nowe. Wszystko było nowe. Krawężniki nadal miały ostre krawędzie i nie były porysowane. Hydranty lśniły i nie pokrywała ich rdza. Rzędy młodych drzewek rosły w równych odstępach wzdłuż chodników - a chodniki dosłownie lśniły. Trawniki przed domami przypominały bujne grzywy.

Pośród tej całej nowości trwał niewzruszenie zakurzony akr ziemi należącej do mojego dziadka, niewidzialny jak kawałek szarej materii: po sposobie, w jaki zakręcały wokół niego drogi, można było poznać, że istnieje, ale nie było go widać z zewnątrz. Tylko się go wyczuwało. Deweloper sąsiedniego osiedla posadził

gęsto sosny wzdłuż granicy działki dziadka, żeby sąsiedzi nie musieli na nią patrzeć.

Przejechałyśmy przez otwartą drewnianą bramę, gdzie gładki asfalt zmieniał się w grudowaty żwir pod kołami, a starannie zaprojektowane tereny zielone osiedla ustępowały miejsca naturalnemu lokalnemu krajobrazowi: postrzępionemu i suchemu, nagiemu, brązowemu i nieuroczemu. Mój dziadek dorastał na tej ziemi w epoce kurczaków i koni. Ale ostatni koń już dawno zdechł, a teraz stajnia stała niczym relikwiarz zamierzchłych czasów. Drewniane słupy ogrodzeniowe i elementy poprzeczne leżały, płowiejąc w słońcu. W kurniku nie było kur. Dziadek miał osiemdziesiąt sześć lat. Wszyscy jego starzy przyjaciele umarli. Umarła jego żona. O własnej długowieczności mówił z goryczą.

„Lepiej, żebyś nie odziedziczyła moich genów, Julio - powtarzał mi często. - Zbyt długie życie to przekleństwo". Podobało mi się, że zawsze mówi to, co myśli.

Wiele lat wcześniej deweloperzy chcieli kupić od dziadka ziemię. Ale on odmówił sprzedaży. „Do cholery - powiedział. - Zakopałem tu mnóstwo rzeczy". Wiedziałam, że za stertą drewna spoczyły co najmniej dwa koty i podejrzewałam, że przez lata dziadek zdążył poukrywać w ziemi różne cenne przedmioty. Deweloperzy przystąpili do realizacji swoich planów pomimo odmowy dziadka: budowali wokół niego drogi i kładli fundamenty, wznosili domy i stawiali znaki drogowe. Nowa dzielnica wezbrała jak woda z powodzi otaczająca wzniesienie.

Weszłyśmy do kuchni bez pukania. Kiedy się chodziło po tym domu, szafki cicho postukiwały, na każdej powierzchni chwiały się bibeloty. Dziadek siedział przy stole w czerwonej bluzie, trzymając przed sobą gazetę i szkło powiększające.

- Cześć, Gene - powiedziała matka. - Jak leci?

- Mówiłem ci przez telefon, że wszystko w porządku - odparł, nie podnosząc głowy. - Zjrzał do mnie Chip.

Chip był nastoletnim sąsiadem, który pomagał dziadkowi prowadzić dom. Zawsze nosił czarne koszulki i czarne dżinsy, a jego dolna warga lekko opadała pod ciężarem kolczyka. On i dziadek stanowili nietypowy duet, ale myślę, że obaj tak samo nie znosili osiedla, mimo że Chip mieszkał z rodzicami w jednym z nowych domów.

- Zresztą to i tak dyrdymały - dodał dziadek.

- Co konkretnie? - zapytała matka.

- Moim zdaniem to wszystko to tylko sztuczka, żeby odwrócić naszą uwagę od Bliskiego Wschodu.

Miał niezwykle jasne błękitne oczy - tak jak mój ojciec, tylko bledsze. Z wiekiem zdawały się płowieć jak tkanina pozostawiona zbyt długo na słońcu. Od czasu do czasu na czoło opadały dziadkowi kosmyki siwych włosów.

- Daj spokój, Gene. Jak ktokolwiek mógłby coś takiego sfabrykować?

- A niby skąd wiemy, że to wszystko prawda? Zmierzyliśmy to? W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe.

- Gene...

- Tylko poczekaj. Oni coś knują. Tego jestem pewien. Majstrują przy zegarkach albo przy innym cholerstwie. Po prostu mówię, że w to nie wierzę. Nie wierzę ani przez chwilę.

Zawibrował telefon matki i po tonie jej głosu poznałam, że na drugim końcu linii jest ojciec. Wyszła na zewnątrz, żeby z nim porozmawiać. Ja usiadłam przy stole - przy tym samym, przy którym za dawnych czasów godzinami graliśmy z dziadkiem w Piotrusia. Ostatnio wzrok popsuł mu się jednak tak bardzo, że nie widział, jakie ma karty. Tęskniłam za dawnymi czasami.

- No, Julio - zagadnął mnie dziadek. - Widzisz tutaj coś, co chciałabyś zabrać?

Machnął w kierunku swoich półek z zabytkowym szkłem, swoich rzędów podniszczonych stuletnich butelek po coli, srebrnego serwisu do herbaty babci, jej kolekcji ozdobnych naparstków i małych srebrnych łyżeczek, cynowych i porcelanowych figurek, które ustawiała na koronkowych serwetkach w innym, lepszym dziesięcioleciu.

- Widzisz, nie mogę tego ze sobą zabrać - ciągnął. - Powinnaś od razu wziąć to, co chcesz, bo kiedy umrę, Ruth będzie próbowała położyć na wszystkim rękę.

Ruth była młodszą siostrą babci. Mieszkała na wschodnim wybrzeżu.

- Nie, dziadku, dzięki - powiedziałam. Miałam nadzieję, że nie zauważy braku złotego samorodka na mojej szyi. - Sam powinieneś to zatrzymać.

Zanim zachorował na artretyzm, spędzał poranki na plaży, kołysząc wykrywaczem metali nad piaskiem, polując na monety i skarby na wydmach. Ale teraz zaczęło mu zależeć na pozbyciu się całego dobytku, jakby to właśnie jego ciężar przywiązywał go do tej ziemi i jakby oddanie go mogło mu umożliwić przecięcie tych więzów.

Wstał z krzesła i szurając nogami, podszedł do blatu po następny kubek kawy. Przez chwilę stał w oknie. Matka chodziła tam i z powrotem i gestykulowała, rozmawiając przez telefon. Wiatr dmuchiwał jej włosy na jedną stronę, a ona co chwila odgarniała je z twarzy.

- Wspominałem ci kiedyś, że raz widziałem, jak na tym podwórzu umiera człowiek?

- Raczej nie - powiedziałam.

- Miał najwyżej siedemnaście lat - ciągnął dziadek, kręcąc głową. - Stratował go koń.

- To straszne.

- Jeszcze jak.

Dziadek lekko pokiwał głową, jakby chciał podkreślić tę myśl. Przechowywał w pamięci niezliczone potworności. Gdzieś w głębi domu przeciekał kran.

- Cała ta historia przypomina mi czasy, kiedy pracowałem na Alasce - powiedział dziadek. Alaska była jednym z jego ulubionych tematów. - Latem słońce świeciło całą dobę. Nawet o drugiej w nocy. Nigdy nie zachodziło. Całymi tygodniami. A zimą było zupełnie ciemno przez dwa albo trzy miesiące bez przerwy.

Zamilkł. Zauważyłam czaszę telewizji satelitarnej kołyszącą się na pobliskim dachu i ledwie widoczną między sosnami. W powietrzu wyczułam lekki zapach dymu.

- To wszystko dyrdymały, wierz mi - powiedział dziadek. - Nie wiem tylko, jak im się to udało.

- Naprawdę tak myślisz?

Zmierzył mnie poważnym, baczny spojrzeniem.

- Wiesz, że w 1958 rząd Stanów Zjednoczonych rozpoczął w tym rejonie tajny program badań jądrowych? Testowali wpływ substancji jądrowych na zwykłych ludzi - powiedział. - Dodawali do wody uranu, a potem prowadzili statystyki zachorowalności na raka. Słyszałaś o tym kiedyś?

Przecząco pokręciłam głową. Gdzieś pod jego podwórkiem leżał opuszczony schron przeciwbombowy. Dziadek zbudował go sam w latach sześćdziesiątych.

- Oczywiście, że nie słyszałaś - skwitował. - I o to im chodzi. Właśnie o to im chodzi.

Podmuch wiatru świsnął za domem, przynosząc za oknem papierową torbę.

- Czy rodzice zabierają cię do kościoła? - zapytał dziadek.  
- Czasami - powiedziałam.  
- Powinnaś do niego chodzić co tydzień - zawyrokował. Uniósł parę maleńkich bucików powleczonych warstwą zaśnieżonego srebra. - Chcesz?

- W porządku - zgodziłam się.  
- Dostałem je, kiedy miałem cztery lata. Nic więcej nie wpadło ci tu w oko?

Gdy oddychał, słyszałam pracę jego płuc, dźwięk powietrza świszczącego w coraz węższych przewodach.

- Zaczekaj chwilę. Wiem, co ci się spodoba. - Wskazał niską szafkę w głębi kuchni i kazał mi uklęknąć. - Teraz sięgnij aż do końca - polecił. - Czujesz to?

-Co?

Wsunęłam rękę aż po ramię. Linoleum wytłaczało swoje „tureckie” wzory na moich rzepekach. Marzyłam o tym, żeby to się już skończyło, ale nie chciałam sprawić dziadkowi zawodu.

- Z tyłu jest ruchoma ścianka, czujesz? - zapytał. - Przesuń ją w prawo.

W domu mojego dziadka w pudełku płatków nigdy nie było płatków, puszki z zupą prawie zawsze zawierały substancję cenniejszą niż zupa. Nic dziwnego, że tak zaciekle wierzył w niewidzialne moce. Za przesuwaną ścianką stał rząd puszek po kawie. Były tak stare, że nie poznawałam etykietek.

- Puszka Folgorsa - powiedział. - Daj ją tutaj. Krzywiąc się z wysiłku, pociągnął za wieczko. Wydawał się słabszy niż zwykle.

- Daj, ja to zrobię - zaproponowałam.

Wieczko ustąpiło z łatwością, ale przez wzgląd na dziadka udawałam, że zadanie jest trudniejsze niż w rzeczywistości. Puszka była wypchana warstwami pogniecionych gazet. Na dnie

znalazłam małe srebrne pudełeczko, w którym na posianiu ze sztywnego aksamitu leżał zaśniedziały złoty zegarek kieszonkowy z łańcuszkiem owiniętym wokół tarczy.

- Należał do mojego ojca - wyjaśnił dziadek. - Kiedy go nakręcisz, powie ci, która godzina. Wytrzyma wieczność. Ma mechanizm dobrej jakości. Tak się kiedyś produkowało, wiesz? Liczyła się dobra jakość. Założę się, że nigdy nawet nie widziałas czegoś tak dobrze zrobionego jak to.

Nie chciałam zegarka. Musiałabym go dodać do sterty innych przedmiotów, które podarował mi wcześniej dziadek. Wszystkie były stare i rzadko spotykane: niedopuszczone do obiegu pamiątkowe srebrne dolary zapakowane w folię, cztery pary starych klipsów babci, oprawione w ramkę mapki naszego miasta sprzed stu lat. Ale dziadek nalegał, a ja nie mogłam mu wyznać, że zgubiłam jedyny prezent od niego, który naprawdę uwielbiałam. Grzebałam w piasku, szukając na przystanku mojego naszyjnika z samorodkiem, ale go nie znalazłam.

- Dzięki - powiedziałam, trzymając zegarek w dłoni. - Ładny.

- Będzie jeszcze ładniejszy, kiedy go wypolerujesz - powiedział. Potarł tarczę rękawem bluzy. - Dobrze się nim opiekuj, Julio.

Trzasnęły siatkowe drzwi i do kuchni weszła matka. Zauważyła zegarek w mojej dłoni.

- Och, Gene, nie oddawaj wszystkich swoich rzeczy.

- Niech go zatrzyma - powiedział dziadek. - Ja nie mogę go ze sobą zabrać.

- Nigdzie się nie wybierasz - zauważyła matka. Zbył ją machnięciem ręki.

- I to też weź — szepnął do mnie, kiedy wychodziłyśmy.

Dał mi dziesięciodolarowy banknot. Po jego twarzy przemknął uśmiech, rzadki i cenny widok. Zauważyłam krawędź jego sztucznej szczęki przy dziąsłach.



- Zrób z tym coś fajnego - dodał. Ścisnęłam go za rękę i pokiwałam głową.

- I jeszcze jedno - powiedział na koniec — nie wierz we wszystko, co słyszysz, dobrze? Bystra z ciebie dziewczyna. Potrafisz czytać między wierszami.

Wróciłyśmy trasą, którą zawsze nazywaliśmy malowniczą drogą do domu: pojechałyśmy bocznymi ulicami, na których był mniejszy tłok. Jadąc, słuchałyśmy wiadomości radiowych. W doniesieniach z całego świata opisywano reakcje ludzi. Z Ameryki Południowej docierały kolejne informacje o chorobie grawitacyjnej. Ośrodek Kontroli Chorób prowadził dochodzenie.

- Jezu - wystraszyła się matka. - Powiedz mi, jeśli zaczniesz mdlić albo coś w tym rodzaju.

- Wygląda na to, że choroba dotyka niektóre osoby w większym stopniu niż inne - mówił jakiś urzędnik. - Nazywamy ją paranoją.

Zacząłem mdlić od samego słuchania.

W radiu mówili, że w naszym kraju grupy nowo przebudzonych chrześcijan załatwiają ostatnie sprawy w nadziei, że w każdej chwili zostaną wezwani, wyciągnięci z łóżek, by zostawić za sobą puste domy i *stosy* pogniecionych ubrań w miejscu, gdzie kiedyś były ich ciała.

- Nie rozumiem - powiedziałam. - Dlaczego nie można zabrać ubrania?

- Nie mam pojęcia, skarbie - odparła matka. - Wiesz, że nie wierzymy w takie rzeczy.

Należeliśmy do innej kategorii chrześcijan: cichej i rozważnej. Na wzmiankę o cudach ogarniało nas zakłopotanie.

W radiu właśnie prowadzono wywiad z telewizyjnym kaznodzieją.

- Od lat obserwujemy znaki zwiastujące objawienie - powiedział.  
- Wiemy, że zbliża się do nas od chwili wskrzeszenia Izraela.

Gdy droga skręciła, między dwoma wzgórzami zobaczyłam skrawek połyskującego oceanu. Zdążyli już ewakuować wszystkie domy przy plaży - nikt nie wiedział, co może się dzieć z pływaniami.

Za oknem ciągnęły się osiedla mieszkaniowe, domy i działki kurczyły się, w miarę jak malała odległość od brzegu. Nad oceanem ziemia była tak cenna, że niektóre domy wisiały na krawędziach kanionów, podparte z jednej strony olbrzymimi palami.

Dojechałyśmy do znaku stopu i gdy matka obracała głowę w prawo i w lewo, sprawdzając, czy nic nie nadjeżdża, zauważyłam cieniutką ścieżkę siwizny, która czasami biegła wzdłuż jej przedziałka, gdzie zza ciemnej farby wyzierały odrosty. Matka osiwiła w wieku trzydziestu pięciu lat i nigdy nie lubiłam na to patrzeć - na tę pierwszą oznakę jej fizycznego upadku.

Poczułam wtedy falę osamotnienia. Kiedy samochód ruszył, chyba po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że jeśli coś się stanie z moją rodziną, zostanę sama na świecie.

Mijałyśmy teren wesołego miasteczka. Miało otworzyć swoje bramy za tydzień. Planowałyśmy z Hanną przyjechać na otwarcie, ale teraz to było już nieaktualne.

Zazwyczaj budowlańcy harowali od rana do wieczora, żeby na czas przygotować karuzele do jazdy, ale kiedy przejeżdżałyśmy obok, zauważyłam, że prace ustały. Podejrzewałam, że robotnicy i kuglarze uciekli do swoich rodzinnych miast - wszyscy chcieli być blisko rodzin. Rollercoastery stały zbudowane do połowy, przypominały kolorowe szkielety na wietrze. Przejażdżka niedokończonym torem wodnym byłaby samobójczym skokiem. Diabelski młyn został wzniesiony tylko częściowo: pojedynczy czerwony wagonik dyndał na samotnej szprysze niczym ostatni letni owoc albo spóźniony jesienny liść.

Przez jakiś czas dni nadal przypominały dni. Słońce wschodziło i zachodziło. Po ciemności następowała jasność. Pamiętam chłodne narastanie poranka, powolne przypiekanie popołudnia, ospałość wieczoru. Uprzejmy zmierzch ciągnął się godzinami, zanim w końcu przygasł w noc. Czas płynął leniwie, coraz wolniej.

Z każdym nowym porankiem czuliśmy się coraz mniej zsynchronizowani z zegarkami. Ziemia nadal się obracała, a zegary nadal tykały, tyle że według innego czasu. Zanim upłynął tydzień, północ przestała wypadać w środku ciemnej nocy. Zegarki mogły wskazywać dziewiątą wieczorem w środku dnia. Czasami południe przydarzało się o zachodzie słońca.

To były chaotyczne, organizowane naprędce dni.

Codziennie rano urzędnicy ogłaszali, ile minut przybyło w ciągu nocy, jak kropli deszczu uzbieranych w garnku. Te liczby bardzo się od siebie różniły i nigdy nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. O tym, na którą mamy przyjść do szkoły, decydowano codziennie o wschodzie słońca - zawsze była to inna

godzina; pamiętam, jak o poranku oglądałam z matką wiadomości, żeby się dowiedzieć, którą godzinę wybrano.

Coraz więcej dzieci przestawało chodzić do szkoły.

Dodatkowe godziny wyrastały w szczelinach między zmianami w zakładach pracy. Samoloty stały uziemione całymi dniami, pociągi zatrzymywały się na torach do chwili stworzenia i wprowadzenia nowego rozkładu. Codziennie trzeba było na nowo wyznaczać godziny odjazdów i przyjazdów.

Improwizowaliśmy. Przystosowywaliśmy się. Dawaliśmy radę.

Moja matka powoli zapełniała nasze szafki niezbędnymi produktami. Gromadziła je stopniowo, coraz większe fale mleka skondensowanego i groszku w puszcze, suszonych owoców i dżemów, pięćdziesiąt puszek zupy. Nie wracała już do domu bez opakowania baterii pod pachą, pudełka świeczek lub większej ilości liofilizowanej żywności szczelnie zapakowanej w folię albo aluminium - trwałej, niekończącej się, która nigdy, przenigdy się nie zepsuje.

Tymczasem moja drużyna piłkarska przeważnie trenowała jak zwykle, a członkowie kółka teatralnego matki nadal odbywali próby *Makbeta*. W całym kraju tego typu zajęcia odbywały się w zasadzie zgodnie z planem. Impreza musiała trwać. Kurczowo trzymaliśmy się ułożonych wcześniej grafików. Odwoływanie wydawało się niemoralne lub mogło oznaczać, że porzuciliśmy albo straciliśmy nadzieję.

Wszędzie wypływały nowe minuty. W tych dniach trudno było trwonić czas. Tempo życia zdawało, się zwalniać.

Niektórzy mówią, że spowolnienie wpłynęło na nas na tysiąc innych nieuświadomionych sposobów, poczynając od trwałości żarówek, a kończąc na szybkości topnienia lodu, wrzenia wody, mnożenia się i umierania komórek ludzkiego ciała. Niektórzy mówią, że w dniach, które nastąpiły tuż po rozpoczęciu

spowolnienia, nasze ciała *starzały* się wolniej, że umierający wolniej umierali, że dzieci wolniej się rodziły. Istnieją pewne dowody, że w pierwszych dwóch tygodniach cykle menstruacyjne odrobinę się wydłużyły. Przeważnie takie skutki były jednak materiałem anegdotycznym, niepoważnym. Każdy fizyk wam powie, że jeśli już, to powinno być odwrotnie: człowiek w pędzącym pociągu ma wrażenie, że czas biegnie wolniej. Z tego, co widziałam, trawa rosła jak zwykle, chleb w naszym chlebaku pleśniał w takim samym tempie jak kiedyś, a jabłka na jabłoni naszego sąsiada pana Valencii dojrzały jak każdej jesieni, by potem spaść na ziemię i gnić w chwastach z tradycyjną prędkością.

A zegary nadal tykały. Zegarki na rękę wycykiwały swój słaby rytm. Zabytkowe zegary mojego dziadka wybijały stare kuranty. We wszystkich miastach Ameryki kościelne dzwony oznajmiały godzinę po godzinie.

Minął tydzień, potem dwa. Za każdym razem, kiedy w naszym domu dzwonił telefon, miałam nadzieję, że to Hanna. Jeszcze się do mnie nie odezwała.

Strumień nowych minut ciągle płynął. Wkrótce nasze dni zaczęły dobijać do trzydziestu godzin.

Jakże osobliwy zaczął nam się wydawać stary, dwudziestoczterogodzinny zegar, jak niesamowicie okrojony z tymi jego dwoma bliźniaczymi dwunastogodzinnymi okrążeniami, pasującymi do siebie jak dwie połówki orzecha włoskiego. Zastanawialiśmy się, jak kiedykolwiek mogliśmy wierzyć w tak uproszczoną rzeczywistość?

W drugim tygodniu od rozpoczęcia spowolnienia coś złego zaczęło się dziać z ptakami.

Widywano gołębie miotające się po chodnikach ze zwieszonymi skrzydłami, szorujące piórami po płytach. Wróble spadały na trawniki. Stada gęsi pokonywały ogromne odległości pieszo. Może wyrzucało na plaże zwłoki mew. Na ulicach i dachach, na kortach tenisowych i boiskach znajdowaliśmy martwe ptaki. Spadały na ziemię. Podobnie działo się na całym świecie.

W wypadku znalezienia martwego ptaka mieliśmy wzywać rakarzy, ale mój ojciec odmówił. Powiedział, że jest ich za dużo, więc po prostu je wyrzucaliśmy, tak jak tamtą pierwszą martwą sójkę z naszego tarasu.

Pamiętam te ptaki równie dobrze jak wszystko inne z tamtego okresu: gnijące pióra i rodzynkowe oczy, wydzieliny plamiące nasze ulice.

Sylvia, moja nauczycielka gry na fortepianie, hodowała łuszczeniaki. Były małe, grubiotkie i mieszkaly w dzwonowatej metalowej klatce w rogu salonu. W srodowe popoludnia spedzalam w domu Sylvii pol godziny, uczac sie - choc przewaznie nie mogac sie nauczyc - gry na fortepianie. I wlasnie tu, zaledwie kilka minut po mnie, siedzial tez Seth Moreno, bo jego lekcja zawsze nastepowala po mojej, jego palce muskaly te same klawisze co moje, a stopy wciskaly te same pedały, ktore tak niedawno opuszczaly sie pod moimi. Czesto mysl o nim wisiala nad cala moja lekcja. Ale tego dnia moja uwage odwrócily łuszczeniaki: w kazdym wydawanym przez nie dzwieku doszukiwalam sie oznak choroby.

- Nie cwiczylas, prawda? - zapytala Sylvia. Probowalam grac powolna, urywana wersje *Dla Elizy*. Sylvia usiadla obok mnie na lsniacej czarnej lawce i postawila

szczuple bosc stopy obok mosieznych pedalow. Miała na sobie biala lniana sukienka, a na szyi sznur wielkich drewnianych koralow. Podobalo mi sie, jak wyglada. Była nauczycielka o dwuch specjalizacjach; uczyla tez jogi w YWCA.

- Troche cwiczylam - powiedzialam.

Moje lekcje zawsze zaczynaly sie w ten sposob. Moze gdybym wiedziala, ze to jedna z ostatnich okazji do posiedzenia na tej lawce, postaralabym sie troche bardziej.

- Jak masz zrobic jakiegokolwiek postepy, skoro nie cwiczysz? Jeden z łuszczeniakow zawolal z klatki w kacie. Nie tyle spiewaly, ile piszczaly, a kazde cwierkniecie przypominalo nagle skrzywienie zardzewialych zawiasow.

Na poczatku urzednicy niechetnie laczyli smierc ptakow ze spowolnieniem. Mowili, ze nie ma dowodow na istnienie zwiazku miedzy tymi dwoma zjawiskami. Eksperci wskazywali lepiej poznane przyczyny, na przyklad chorebe swiatowa

epidemię ptasiej grypy. Ale badania nie wykazały obecności żadnego ze znanych szczepów.

Oczywiście my, ludzie, nie potrzebowaliśmy dalszych dowodów. Nie wierzyliśmy w pozorne korelacje. Odrzucaliśmy przypadek. Wiedzieliśmy, że ptaki umierają przez spowolnienie, ale tak samo jak w wypadku samego spowolnienia nikt nie potrafił wskazać przyczyny.

- Teraz powinnaś ćwiczyć bardziej niż kiedykolwiek wcześniej - powiedziała Sylvia, delikatnie przyciskając dłoń do dolnej części moich pleców, żebym się wyprostowała. W miarę upływu lekcji moja postawa zawsze wiedła. - Sztuka rozkwita w czasach niepewności.

Lekcje gry na fortepianie to był pomysł mojej matki. Ja nie przepadałam za tym instrumentem, ale lubiłam Sylwię i jej dom, taki sam model jak nasz, ale od wewnątrz nie do poznania. Zamiast wykładziny w pokojach były drewniane podłogi. W każdym kącie rosły bujne rośliny doniczkowe. Sylvia nie wierzyła w chemikalia ani w klimatyzację. W jej domu pachniało herbatą, karmą dla ptaków i kadzidełkami.

- Zagram to raz - powiedziała Sylvia. - Chcę, żebyś zamknęła oczy i zapamiętała prawidłowe brzmienie.

Nastawiła metronom na określoną prędkość, uwalniając gładki strumień tykania. Nigdy nie potrafiłam prawidłowo wpleść dźwięków w te czyste, miarowe uderzenia.

Zaczęła grać.

Próbowałam słuchać, ale nie mogłam się skupić. Martwiłam się o łuszczeniaki. Wydawały się cichsze niż zwykle i trochę mniej grubiutkie. Nosiły imiona inspirowane terminami muzycznymi. Forte zdawał się chwiać na drążku, jego cienkie pomarańczowe nóżki były słabe i niepewne. Mniejszy, Adagio, snuł się po gazecie na podłodze klatki.



Wyznawcy katastroficznych wizji interpretowali wymieranie ptaków jako kolejny zwiastun sądnego dnia. Tamtego ranka widziałam w telewizji przysadzistego kaznodzieję, który mówił o tym w talk-show. Według niego ten ptasi pomór był ostrzeżeniem od Boga, a rozprzestrzenienie się zarazy na ludzi było jedynie kwestią czasu.

- Masz otwarte oczy - powiedziała Sylvia.

Zawsze wydawała się szczerze zaskoczona, gdy sprawiałam jej zawód. Między innymi na tym polegał jej urok.

- Przepraszam - powiedziałam. Zauważyła, że przyglądam się klatce.

- Nie martw się - pocieszyła mnie. - Choroba nie dotyka udomowionych ptaków, tylko dzikie.

Wtedy była to jeszcze prawda, ale właścicielom ferm drobiu doradzano, aby obserwowali swoje stada pod kątem dziwnych objawów.

Eksperci nie byli zgodni co do przyczyn syndromu. Niektórzy obwiniali drobne zmiany w grawitacji. Być może wpływały na równowagę, utrudniając fruwanie i nawigację. Albo problem tkwił w rytmach okołodobowych: ptasie poczucie dnia i nocy uległo zakłóceniu, zaburzając metabolizm. Ptaki nie wiedziały, kiedy spać, a kiedy jeść. Były wygłodzone albo niewyspane, oszołomione i mniej czujne.

Ale prawdziwi eksperci od ptaków, ornitolodzy, milczeli: było zbyt wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Nic im nie dolega - zapewniła Sylvia. - Prawda, chłopaki? Łuszczaki siedziały cicho. Słysząc było jedynie leciutkie stukanie małego pazurka na warstwie gazety.

Chyba coś podobnego stało się kiedyś z pszczołami - zaledwie kilka lat przed spowolnieniem. Wymarły miliony pszczół miodnych. Znajdowano porzucone ule, opustoszałe z niewyjaśnionych

powodów. Całe roje zniknęły w bryzie. Nikt nie zdołał wskazać konkretnej przyczyny tej tragedii.

- Chcesz usłyszeć, co myślę? - zapytała Sylvia.

Miała ciemne, poważne oczy i nigdy się nie malowała. Jej skóra była gładka i opalona, kończyny upstrzone piegami, takimi, które wydają się zanurzone pod skórą jak okruszki tonące w mleku.

- Moim zdaniem spowolnienie okazało się dla ptaków kroplą, która przelała czarę goryczy. Od lat zatruwamy tę planetę i żyjące na niej istoty. I w końcu przyszło nam za to zapłacić.

Podobny argument słyszałam w telewizji: mówiono, że przyczyny wymierania ptaków są liczne, obecne od dawna i że sami ponosimy za to winę - za pestycydy i zanieczyszczenie środowiska, za zmianę klimatu i kwaśne deszcze, za promieniowanie masztów telefonii komórkowych. Niektórzy twierdzili, że spowolnienie zwyczajnie zaburzyło równowagę, jeszcze bardziej narażając ptaki na wszystkie wywołane przez człowieka zagrożenia, z którymi zmagają się od lat.

- Myślę, że tej planecie od dawna brakuje równowagi i że to wszystko jest jej sposobem na naprawę sytuacji - ciągnęła Sylvia. Była kobietą, która uprawiała własną pszenicę w szklarni za domem, a potem wyciskała sok z jej kielków. - Wszystko, co możemy zrobić, to poddać się temu. Musimy pozwolić, żeby Ziemia nas poprowadziła.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ale powolne obrócenie się gałki w drzwiach dało początek innemu skrępowaniu - zbliżał się następny uczeń, a ja wiedziałam, kto to. Nie rozmawiałam z Sethem Moreno od zaćmienia słońca.

Rozległ się dźwięk dzwoneczków wietrznych z muszelek, który następnie odbił się echem na werandzie. Potem usłyszałyśmy cichy odgłos drzwi wsuwających się we framugę. Głowa

wypełniła mi się łomotaniem serca. Zazwyczaj lekcja Setha tylko na chwilę pokrywała się z moją, szybko mijaliśmy się w korytarzu, zastępując cześć lekkim skinieniem głowy.

- Nie byłem pewny, o której przyjść - usprawiedliwił się Seth. Jego tenisówki skrzypiały na drewnianej podłodze. Zarzucił głowę w prawo, żeby odsunąć z oczu opadającą grzywkę. Jego włosy były jeszcze mokre, świeże po wyjściu spod prysznic i, jak przypadkiem wiedziałam, po wcześniejszym treningu piłki nożnej. - Wszystko przez te zegarki i w ogóle.

Orzechowy zegar szafkowy w salonie oznajmił nonsensowną porę - dziesiątą rano - ale było popołudnie. Nauczyłam się już ignorować zegary.

- No więc tak jakby zgadywałem - ciągnął Seth, przekładając nuty spod jednej pachy pod drugą.

- W porządku - powiedziała Sylvia. - Pogramy jeszcze kilka minut.

Seth usiadł w poprzecieranym skórzanym fotelu w rogu, obok klatki z ptakami. Z sufitu nad jego głową zwisała paprotka w doniczce umocowana na siatce wykonanej techniką makramy. Na pewno zapomniałam już niektóre szczegóły wnętrza, ale kiedy zamykam oczy, mam wrażenie, że cały dom Sylvii wraz z jego zawartością do dziś tkwi nietknięty w mojej pamięci, utrwalony niczym scena zbrodni, dokładnie taki, jaki był.

Sylvia odchrząknęła i wróciłyśmy do lekcji.

- *Dla Elizy* - powiedziała, ponownie ustawiając metronom. - Jeszcze raz od początku.

Zdażyłam zagrać tylko kilka pierwszych dźwięków i w kuchni zadzwonił telefon. Sylvia nie zwróciła na niego uwagi, ale zadzwonił jeszcze raz. Sygnał najwyraźniej niepokoił łuszczaki, które zaczęły piszczeć i pokrzykiwać w klatce. Sylvia wstała, żeby odebrać połączenie, ale przejęła je automatyczna sekretarka,

która po chwili wpuściła do domu pierwsze skrzypnięcie męskiego głosu.

Sylvia podniosła słuchawkę i wyłączyła sekretarkę. Najwidoczniej wiedziała, kto dzwoni.

- Mam lekcję - powiedziała, jakby telefon ją zdenerwował.  
- Zapomniałeś?

Wyglądała jednak na zadowoloną i lekko zakłopotaną, jej twarz upodobniła się do twarzy znacznie młodszej kobiety. Sylvia miała wtedy mniej więcej czterdzieści lat.

Nigdy jej nie widziałam z mężczyzną. Wyobraziłam sobie przykurzonego wagabundę z kucykiem i brodą, który dzwoni do niej z komórki, siedząc w pikapie albo półciężarówce.

Sylvia przyłożyła słuchawkę do ramienia i dała nam znak, że za chwilę wróci. Potem poszła na górę z telefonem przy uchu, a przy każdym kroku rąbek jej białej lnianej sukienki muskał tylną część nóg.

Ja i Seth zostaliśmy sami w salonie. Żadne z nas się nie poruszyło. Potem Seth poprawił nuty leżące mu na kolanach, przesuwając kartką po kartce. Ja zostałam przy fortepianie i wpatrywałam się w klawisze.

W końcu Seth sięgnął do kieszeni po komórkę i zaczął grać kciukami w grę. Z aparatu wydobywała się brzękliwa muzyczka przywodząca na myśl dźwięki dalekiego karnawału. Podejrzewałam, że właśnie w ten sposób spędza czas w szpitalach, kiedy lekarze operują jego matkę albo wstrzykują jej toksyczne chemikalia.

Zdjęłam z włosów gumkę i jeszcze raz zrobiłam kitkę, wygładzając splecione kosmyki. Szybko oddychałam, ale próbowałam to ukryć.

Na zewnątrz w oddali rozlegały się krzyki młodszych dzieci. Wiśniowa piłka odbijała się od chodnika. Patrząc przez okno, odniosłam wrażenie, że z nieba spada coś ciemnego.

Jeden z łuszczaków Sylvii wydał z siebie nagły wrzask. Seth odwrócił się do klatki. Przez kilka sekund przyglądał się ptakom. Muzyczka w jego telefonie grała dalej.

W końcu zapytałam:

- Wyglądają normalnie?

Seth wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział. Ześlizgnęłam się z ławki przy fortepianie, żeby zobaczyć na własne oczy.

W klatce stała miska nietkniętych siekanych jabłek, których powierzchnia brązowieła od powietrza. Dwie larwy mącznika, które, jak dowiedziałam się od Sylvii, także wchodziły w skład diety, swobodnie wiły się obok.

- Nie jedzą - zauważyłam.

- Może dopiero przed chwilą je nakarmiła - powiedział Seth.

- A może to choroba?

Z bliska Seth pachniał proszkiem do prania, ale jego koszulka była okropnie pognieciona — jakby u niego w domu składanie wypranych ubrań stało się zapomnianą sztuką, przestarzałym zwyczajem wyeliminowanym przez cierpienie.

Słyszałam skrzypienie pod stopami Sylvii, która chodziła na górze tam i z powrotem. Metronom tykał dalej, dzieląc czas starym sposobem.

Adagio siedział jak miniaturowa kura na gazecie wyściełającej dno klatki.

- Ten wygląda naprawdę nieciekawie - powiedział Seth. Zastukał palcem w pręty klatki.

- Hej, mały - zagadnął. - Jestem tutaj. Halo?

Stukanie zaniepokoiło zdrowszego ptaszka, który gwałtownie odwrócił się w stronę źródła hałasu, ale Adagio nie zareagował.

Seth zerknął przez ramię, sprawdzając, czy nie nadchodzi Sylvia. Potem otworzył drzwiczki klatki. Powoli włożył rękę do

środka i delikatnie dotknął ptaszka z tyłu. Ten zakołysał się pod jego palcem jak jajko i Seth szybko cofnął rękę.

- Cholera - powiedział. - On nie żyje.

- Jesteś pewny? - zapytałam.

- Na sto procent.

- Więc jednak to choroba - podsumowałam.

- Może tak - odparł - a może nie. Może zachorował na coś normalnego i umarł.

Usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi na piętrze. Seth zamknął drzwiczki klatki. Spojrzeliśmy na siebie, ale nikt nic nie powiedział. Zawarliśmy milczące porozumienie.

Drugi ptaszek dalej siedział na drążku i bezskutecznie trzepotał skrzydełkami. Zrobiło mi się go żal: został zupełnie sam na świecie.

Usłyszeliśmy odgłos kroków Sylvii na schodach. Trzymała się poręczy. Słuchawka bezprzewodowego telefonu wylądowała w swojej kołyszce na kuchennym blacie.

- Co się stało? - zapytała po powrocie, rozpuszczając włosy i spinając je z powrotem.

- Nic - powiedział Seth.

Usiadł w starym skórzanym fotelu, długie ręce zwisały mu po bokach.

- Po prostu patrzyliśmy na pani ptaszki - dodałam.

- Przestańcie się o nie martwić - powiedziała. Machnęła ręką, jakby odganiała owada. - Nic im nie dolega.

Sylvia przeprosiła, że skróciła mi lekcję, ale uznała, że pora rozpocząć lekcję Seta.

Pakując swoje rzeczy, próbowałam napotkać spojrzenie Seta, ale unikał mojego wzroku. Pozbierałam książki i wyszłam, nie wiedząc, że jeszcze tylko kilka razy w życiu przyjdzie mi przekroczyć próg tego domu.

Przyzwyczajalam się do widoku rzeczy pozbawionych życia. Od początku spowolnienia uczyłam się cech śmierci, sposobu, w jaki ciało ptaka oklapuje po kilku dniach, a potem kurczy się i robi coraz bardziej płaskie, aż w końcu pozostają tylko pióra i nóżki.

Niebo było czyste, nieustępliwie błękitne, maźnięte dwiema delikatnymi chmurkami. Na fizyce zaczęliśmy się uczyć o atmosferze i zapamiętałam nazwy różnych rodzajów chmur. Te dwie były pierzaste - najwyższe i najdelikatniejsze.

Wiedziałam, że jeszcze wyżej niż chmury, dwieście mil nad moją głową, sześciu astronautów - czterej Amerykanie i dwaj Rosjanie - utknęło w stacji kosmicznej. Start wahadłowca, którym mieli wrócić na Ziemię, został wstrzymany do odwołania. Skomplikowane obliczenia, olbrzymia kosmiczna proca, która od dziesiątków lat wysyłała naszych astronautów w kosmos i ściągała ich z powrotem, została uznana za zbyt ryzykowną. Za każdym razem, gdy spoglądałam wtedy w niebo, myślałam o ich rodzinach, czekających, aż wrócą na Ziemię.

Kiedy przeszłam przez ulicę, bryza znad oceanu przelała się przez koronę eukaliptusa i sosny. Po niebie szybował samotny wróbel. Zerwałam dmuchawca z podwórka i potrząsnęłam nim na wietrze. Nasz kot Tony spał na werandzie brzuchem do góry. Chodniki połyskiwały w słońcu. Gdzieś czekał pies. Zastanawiałam się, co porabia Hanna w Utah. To było jedno z ostatnich prawdziwych popołudni.

Na Ziemi zawsze istniały regiony, w których nie można było ufać słońcu, w których dni nigdy nie odmierzano wschodami i zachodami naszej gwiazdy. Na pewnych dalekich współrzędnych słońce zawsze zachodziło w grudniu, a potem nie pojawiało się do końca zimy. Tam każde lato przypominało nieustanną pętlę dnia, słońce nieustrudzenie trwało na czerwcowym nocnym niebie.

Zycie w takich miejscach było trudne, drzewa nie chciały tam rosnąć. Były to stare rybackie osady na północy Skandynawii, lodowate przestrzenie Syberii, wioski Eskimosów w Kanadzie i na Alasce. Dla mieszkańców tych miejsc noc i dzień zawsze były abstrakcją. Ranek niekoniecznie przynosił ze sobą światło. I nie wszystkie noce były ciemne.

Ci z nas, którzy mieszkali na niższych szerokościach geograficznych, mieli doświadczyć stylu życia, który tutaj był jeszcze obcy, ale w krainie północnego słońca znano go od dawna.



Oświadczenie zostało wydane w nocy, czternaście dni po rozpoczęciu spowolnienia. Przerwano inne programy. Pojawili się *prezenterzy*, aby przekazać wiadomość specjalną. Pamiętam wycie trąb - dzingiel kanału informacyjnego zarezerwowany dla sytuacji wyjątkowych - które przecięło okrzyki kibiców Game Seven World Series.

- Jezu - westchnęła moja matka. - Co znowu?

Oglądaliśmy mecz przy kolacji, z parującymi na kolanach talerzami pizzy serowej Belisario. To był dobry dzień: po południu w końcu dostałam jakiś znak od Hanny - przysłała mi wesołą pocztówkę ze zdjęciem pustyni w tle. Matka w końcu się trochę odprężyła. Ojciec popijał piwo. W zamrażarce czekał litr lodów śmietankowych z ciasteczkami. Nieznajomy, który przechodziłby tamtego wieczoru przed naszym oknem, mógłby rozpoznać nasze nastroje po dźwiękach: czystym odgłosie kija uderzającego w piłkę i zsynchronizowanych wiwatach moich rodziców. Byliśmy szczęśliwi.

Ale teraz matka zdjęła talerz z kolan i postawiła go na stoliku do kawy. Odsunęła włosy z twarzy, jakby chciała lepiej usłyszeć wiadomość. Byłam pewna, że jej odrosty z każdym dniem robią się coraz bardziej siwe. Opuściła comiesięczną wizytę u fryzjera - a spowolnienie planety w żaden sposób nie zmniejszyło prędkości, z jaką rosły włosy.

Ojciec usiadł obok niej na kanapie z nagłym napięciem wymalowanym na twarzy. Widziałam, jak przygryza wewnętrzną stronę policzka. Powoli pociągnął łyk piwa.

Niebo za oknem nadal było jasne - dni wydłużyły się już do ponad trzydziestu godzin.

- Może już wiedzą, jak temu zaradzić - powiedziałam z podłogi, gdzie leżałam wyciągnięta na brzuchu razem z kotami.

Nikt się nie odezwał.

W pewnych kręgach plotki musiały krążyć jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem. Pewnie napływały jakieś' wczesne, niepotwierdzone doniesienia. Czy nie jest tak, że gdy chodzi o wielkie nowiny, zawsze następują jakieś przecieki? Czy sekrety nie zostają zazwyczaj ujawnione? Anonimowe źródła uwielbiają gadać. Jeśli jednak ktokolwiek przebąkiwał wcześniej o tej zmianie, to my niczego nie słyszeliśmy.

Stacja telewizyjna przeniosła nas na żywo do Białego Domu, gdzie prezydent czekał za olbrzymim wypolerowanym biurkiem z dłońmi sztywno splecionymi na blacie. Obok niego wisiała ogromna pozwijana amerykańska flaga.

Szereg spotkań z udziałem czołowych kongresmenów, urzędników z Białego Domu, sekretarzy do spraw handlu, rolnictwa, transportu i polityki wewnętrznej zaowocowało radykalnie prostym planem: w obliczu olbrzymiej globalnej zmiany my, naród amerykański, zostaliśmy poproszeni o to, aby zachowywać się dokładnie tak jak zwykle.

Inaczej mówiąc, mieliśmy pozostać przy dwudziestoczerogodzinnej dobie.

Moją pierwszą reakcją było niedowierzenie. Na dekodерze zajaśniał zielony napis: „11.00”, ale mieliśmy koniec dnia. Nauczyliśmy się już nie zwracać uwagi na zegarki.

- Nie rozumiem - powiedziałam. — Jak mamy to zrobić?

Chiński rząd podjął identyczną radykalną decyzję. Oczekiwano, że Unia Europejska pójdzie za przykładem. Oznajmiono nam, że alternatywne rozwiązanie byłoby katastrofalne w skutkach.

- Rynki potrzebują stabilności - powiedział prezydent. - Nie może tak dalej być.

Podaję, że pogodzenie się z rzeczywistością wymaga pewnego rodzaju odwagi. Bezczyność ma w sobie jakąś śmiałość.

Wydawało mi się, że proszą nas o coś niemożliwego, równie nierealnego jak przywiązanie lin do słońca i przeciąganie go po niebie.

Czekałam na reakcję matki, ale ona tylko głośno westchnęła. Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć, i zobaczyłam ją taką, jaka była: zmęczoną kobietę na kanapie. Chyba każdy szok ma pewne granice, nawet w jej wypadku.

- To się nie uda - powiedziała.

Ojciec milczał. Odkrywałam, że to jedna z jego specjalności: umiejętność zachowania milczenia w krytycznych chwilach, zdolność witania każdego kryzysu prostą, niezłomną ciszą. Teraz widzę, że częściowo odziedziczyłam po nim ten zwyczaj.

Ojciec wrócił do *kolacji*. *Jadł* pizzę nożem i widelcem, z papierową serwetką elegancko rozłożoną na kolanach.

Na ekran telewizora znowu wskoczyła zieleń boiska.

Mimo że później wszystkie skutki tej decyzji okazały się oczywiste, nie od razu były dla mnie jasne. Dość szybko zauważyłam jedno: prawie natychmiast straciliśmy synchronizację ze słońcem. Słońce miało zostać oddzielone od dnia, a ciemność od nocy. Ale nie *wszyscy* zgodzili się na taki plan.

Oczywiście nikogo do tego nie zmuszano. Nie mieliśmy obowiązku wciskać naszych dni w dwadzieścia cztery małe godziny. Nie uchwalono i nie wdrożono żadnej nowej ustawy. Mieszkaliśmy w Ameryce. Rząd nie mógł nam dyktować, jak powinniśmy żyć. Ale w tygodniu po wystąpieniu prezydenta, kiedy dni nabrzmiały do rekordowych trzydziestu dwóch godzin, urzędnicy różnych szczebli i specjalności przystąpili do przekonywania nas o zaletach tego planu - i o tym, że należy go niezwłocznie wdrożyć. Nazywali to „czasem zegarowym”, „jedynym praktycznym rozwiązaniem”. Chodzi o stabilność gospodarczą, mówili politycy, o konkurencyjność, a nawet - jak podkreślali niektórzy - o bezpieczeństwo narodowe.

Teraz już wiem, że czas zegarowy zapoczątkował złożoną ogólnokrajową debatę - z równą liczbą przeciwników krzyczących na skrajnej lewicy, co na skrajnej prawicy - ale w moich wspomnieniach wygląda to tak, jakby wszystko wydarzyło się jednocześnie: czysta fala zmian, nagłych i kompletnych.

Szkoły publiczne od razu się przyłączyły. Urzędy państwowe też. Wszystkie sieci telewizyjne postanowiły się podporządkować. Korporacje „absolutnie” to popierały - co tydzień traciły miliony z powodu niskiej wydajności i płatnych nadgodzin.

Ale każdy Amerykanin mógł podjąć decyzję o odrzuceniu czasu zegarowego i kierowaniu się światłem dnia, co niektórzy już zaczęli nazywać czasem prawdziwym. Jeśli chcieliśmy, nadal mieliśmy swobodę organizowania swojego życia według wschodów i zachodów słońca, ale wkrótce się okazało, że ci, którzy wybrali taką możliwość, ryzykują utratą pracy albo muszą z niej odejść. Praktycznie rzecz biorąc, ich dzieci nie mogły chodzić do szkół publicznych. Byli wiecznie niezgrani z resztą społeczeństwa. Wahanie się przypominało zwlekanie z ucieczką z ewakuowanego miasta, gdzie budynki i ulice pozostały, ale samo miasto - spójrzmy prawdzie w oczy - w zasadzie przestało istnieć.

No więc odzyskaliśmy zegarki. Ręczne wróciły na nadgarstki. Wymieniono baterie. Zdjęłam książki z szafki nocnej, żeby znowu móc widzieć budzik z łóżka. Wyciągnęłam z szuflady kieszonkowy zegarek dziadka i położyłam go na biurku.

Czas zegarowy rozpoczął się w sobotę o drugiej w nocy, tak jak czas letni. Wybrali dzień, w którym słońce weszło mniej więcej zgodnie ze wskazaniami zegara. W tamtej epoce takie synchronizacje powtarzały się co kilka tygodni, jak pełnie księżyca. Z upływem dni różnica się powiększała, ale pomysł polegał na tym, żeby nas przestawiać powoli.

Tamtego poranka słońce weszło o siódmej dwie czasu zegarowego. Niedzielną gazetę z hukiem wylądowała na podjeździe. Ojciec wcześniej zmełł kawę i upiekł grzankę. Słońce świeciło jak zwykle po wschodniej stronie domu. Prawdziwe różnice

mieliśmy poczuć dopiero następnego dnia, kiedy podobnie jak zegary straciliśmy wszelką synchronizację ze słońcem.

- To nie może być zdrowe - powiedziała matka, mrużąc oczy w zielonym frotowym szlafroku. Włosy miała potargane od snu.

Siedziałam obok niej we flanelowej piżamie, plotąc dla Hanny bransoletkę przyjaźni. Za kilka tygodni miała urodziny i zamierzałam wysłać jej tę bransoletkę w prezencie.

- To najlepsze ze złych rozwiązań - powiedział ojciec, siedząc przy stole.

Koty człapały mi pod nogami, spragnione mleka. Kościsty ogon Tony'ego musnął mnie po łydkach. Słońce świeciło w kuchni, odbijając się w miedzianych garnkach, które wisiały nad stalowym zlewem.

- A jakie są te inne złe rozwiązania? - zapytałam.

Matka napełniała miedzianą puszkę wodą dla dwóch mlecznych orchidei rosnących na kuchennym parapecie. Jej dbałość o rośliny wzrosła od początku spowolnienia, jakby nasze przetrwanie w jakimś sensie zależało od ich przetrwania. A może chodziło o coś zupełnie innego: piękno bywa bardzo uspokajające.

- Wiecie, co o tym myślę? - powiedziała matka. — Moim zdaniem to całe zamieszanie z zegarami to zwyczajne pierdoły.

Tony wskoczył na blat. Złapałam go i postawiłam z powrotem na podłodze.

- Damy radę — zapewnił ją ojciec.

Jako lekarz już teraz pracował po zmroku, spał w dzień i przyjmował porody w środku nocy. Był istotą o ciele, które już wiele lat temu przywykło do ignorowania rytmów okołodobowych.

- A co z prawdziwym problemem? - drążyła matka. - Czy ktoś próbuje go rozwiązać?

Ojciec dalej czytał gazetę, powoli przewracając strony. Oczywiście nie pisali jeszcze o szczegółach daleko bardziej śmiałego

planu, wówczas ściśle tajnego, lecz gorączkowo tworzonego przez naukowców i inżynierów w rządowych laboratoriach tego kraju. Wkrótce mieliśmy poznać szczegóły - i nieposkromioną pychę - niesławnego, niefortunnego Projektu Wirginia. Choć był absurdalny, nie sposób nie podziwiać starań, szalonego poczucia sprawstwa, kowbojskiego optymizmu potrzebnego, by móc sobie wyobrazić, że odrobina ludzkiej pomysłowości naprawdę jest w stanie zapanować nad obrotami Ziemi.

- Zaraz, zaraz - powiedziała matka. Pomachała w stronę ojca słoikiem masła orzechowego. - Otworzyłeś go?

W drugiej ręce trzymała dowód: nóż. Ostrze połyskiwało pod warstwą masła z chrupiącymi kawałkami orzechów.

Ojciec przy stole odgryzł olbrzymi kęs pszennej grzanki.

- Niech cię szlag, Joel - zdenerwowała się matka. - Niech cię szlag. Chciałam go odłożyć na później.

Nie odrywałam wzroku od plecionej bransoletki i czekałam, aż kłótnia minie. Skupiłam się na skomplikowanym wzorze, do którego wybrałam ulubione kolory Hanny. Wiązanie supełków, jednego po drugim, i wzór powstający pod moimi palcami, taki uporządkowany, kontrolowany i powolny, miały w sobie coś uspokajającego.

Ojciec pogryzł kawałek grzanki, połknął go i ostrożnie upił łyk kawy, W przeciwieństwie do matki nie zamierzał gromadzić zapasów.

- Helen - powiedział. - Mamy jeszcze sześć słoików.

- Myślisz, że to żarty? - zapytała. - Facet w CNN powiedział, że za kilka tygodni wszystko może się rozpaść.

W napadzie wściekłości matka potknęła się o niebieską ceramiczną miseczkę na podłodze, w której dawaliśmy kotom wodę.

- Cholera - powiedziała. Kafelki zalała miniaturowa fala.

- Co może się rozpaść? - zapytałam.

- Niczego takiego nie słyszałem - oznajmił ojciec. Wtedy głos matki wszedł na niższy, poważny rejestr.

- Bo może nie słuchasz.

Nawet jeśli ojciec odpowiedział, niczego nie usłyszałam, bo wymknęłam się na górę. Najprawdopodobniej po prostu wrócił do czytania gazety.

Co się działo w jego głowie? Już wkrótce miałam odkryć, że artykułował jedynie ułamek myśli, które przepływały za jego oczami. Zdecydowanie nie były takie czyste i gładkie, jak mogłoby się wydawać. Jego umysł skrywał inne życia, równoległe światy. Może wszyscy jesteśmy skonstruowani trochę w ten sposób. Ale większość z nas niechętnie daje jakieś wskazówki. Większość z nas zostawia ślady. Mój ojciec był bardziej ostrożny.

Kiedy teraz myślę o tamtej chwili w kuchni, przychodzi mi do głowy prawie niewyobrażalna myśl: były czasy, kiedy tych dwoje ludzi - ten mężczyzna przygarbiony nad stołem i ta kobieta krzycząca w szlafroku - byli młodzi. Dowody tkwiły na zdjęciach wiszących w salonie: ładna dziewczyna i zaczytany facet, kawalerka w niszczącym budynku w Hollywood z widokiem na podwórko i basen w kształcie nerki. Mityczny okres przed moimi narodzinami, kiedy matka nie była jeszcze matką, lecz aktorką, której mogło się kiedyś poszczęścić, w zasadzie łąda dzień, może już niedługo, poważną dziewczyną o uroczej twarzy. O ile słodsze byłoby życie, gdyby wszystko działo się w odwrotnej kolejności, gdyby po dziesięcioleciach rozczarowań można było w końcu osiągnąć wiek, w którym człowiek nie przyznaje się do żadnej porażki, kiedy wszystko jest możliwe. Lubię rozmyślać o tym, jak kiedyś życie moich rodziców połyskiwało przed nimi, do połowy ukryte, niczym zakopane złoto. Wtedy przyszłość była jeszcze taka, jaką ją sobie wyobrażali - a chyba nigdy nie wyobrażali sobie czegoś takiego.



Ale czy każda miniona epoka nie wydaje się fikcją? Po jakimś czasie pozostają jedynie pewne szczątkowe frazesy. Na przykład dziesiątki lat po wynalezieniu samochodu nadal mówimy: „Baba z wozu, koniom lżej”. I nadal miewamy „nocne” koszmary, a wczesne godziny nadal nazywamy kolokwialnie (choć coraz bardziej tajemniczo) „początkiem dnia”. Z moimi rodzicami było podobnie: nawet kiedy się od siebie oddalili, nadal mówili do siebie „kochanie”.

Rodzice unikali się przez całe popołudnie. Matka segregowała gazety w sypialni gościnnej. Ojciec postanowił odwiedzić dziadka. Nie zapytał, czy chcę z nim pojechać, mimo że zazwyczaj to robił. A ja nie zaproponowałam, że pojedę. W domu zapadła duszna cisza.

Powiem wam jedną rzecz o tej pierwszej zegarowej niedzieli: czas płynął. Byliśmy już dość przyzwyczajeni do długich, leniwych dni. Ale teraz poranek się skurczył. Południe przemknęło z nieludzką prędkością. Godziny szybko toczyły się jedna za drugą, jakby sunęły z górki - i nagle było ich tak mało!

W każdą inną niedzielę wymknęłabym się do Hanny.

Zamiast tego poszłam do mojej starej przyjaciółki Gabby. Mieszkała trzy domy dalej i razem dorastałyśmy, ale odkąd zaczęła się pakować w kłopoty, rzadko ją widywałam.

- Myślę, że czas zegarowy będzie fajny - powiedziała Gabby, kiedy już siedziałyśmy w jej pokoju na górze. Usadowiła się na rozmemłanym łóżku i pokrywała paznokcie drugą warstwą czarnego lakieru. Pomachała buteleczką w moją stronę, ale przecząco pokręciłam głową. To była lśniaca, ponura czerń i kilka kropel wylądowało na pluszowym, kremowym dywanie. - Lubię spacerować po ciemku.

Ufarbowane na czarno włosy ciągle spadały jej na oczy, które obrysowała czarną kredką. W jej uszach połyskiwały maleńkie srebrne kolczyki w kształcie ludzkich czaszek. Ledwie ją poznawałam.

- Szkoda, że już nie chodzę do twojej szkoły - dodała.

- Nienawidziłaś jej - zauważyłam.

Kiedy zaczęła palić i wagarować, rodzice przenieśli ją do surowej katolickiej szkoły.

- No tak, ale wszystkie dziewczyny w mojej nowej szkole to anorektyczne suki - powiedziała.

Dawniej co lato pływałyśmy w jej basenie i rozłożone na krzesłach ogrodowych jadłyśmy chipsy ziemniaczane, susząc kucyki na słońcu. Ale teraz Gabby nie wkładała kostiumu kąpielowego, mocno przytyła. Ostatnio ciągle miała jakieś kłopoty. Hanna dostała zakaz przychodzenia do niej do domu.

- Moja mama się boi, że wszyscy umrzemy - wyznałam. W pokoju pachniało zmywaczem do paznokci i wanilią - na

biurku paliła się gruba biała świeca. Na oparciu krzesła wisiały dwie plisowane spódniczki w kratę, szkolny mundurek Gabby.

- Bo w końcu umrzemy - odparła.

Puściła muzykę, której nie znałam: piskliwy kryształowy głos jakiejś wściekłej kobiety przecinał pokój, wypadając z dwóch czarnych głośników.

- Ale ona myśli, że zginiemy przez to - uściśliłam. - I to już niedługo.

Gabby podmuchała na paznokcie, a potem uniosła jedną rękę, żeby ocenić efekt. Puszka dietetycznej oranżady spadła na dywan i zasyczała.

- Wierzysz w poprzednie życia? - zapytała.

- Chyba nie.

Przykryła jedyną lampkę karmazynową chustą, w pokoju zrobiło się ciemniej i duszniej. Zasłoniła wertykale, ale paseczki światła nadal jaśniały w szczelinach.

- Jestem zupełnie pewna, że żyłam już wcześniej - powiedziała. - I mam wrażenie, że za każdym razem umierałam młodo.

Ostatnio zaczynało mi brakować słów podczas rozmów z innymi dziećmi. Nie wiedziałam już, jak im odpowiadać. Nie potrafiłam niczego wymyślić.

- Hej - ożywiła się. - Chcesz mieć tatuaż? Sprawdziłam w internecie, jak to się robi. - Wskazała igłę do szycia i słoiczek czarnego atramentu leżące obok świeczki na podłodze jak prymitywny sprzęt chirurgiczny. - Trzeba tylko przesunąć igłą nad płomieniem, wydrapać nią w skórze taki kształt, jaki się chce, i wlać do rany atrament.

Gabby mieszkała w takim samym domu jak my, tyle że odwróconym. Miała taki sam pokój jak ja, dokładnie tej samej wielkości. Przez dwanaście lat spałyśmy między ścianami wzniesionymi przez tę samą ekipę budowlańców i patrzyłyśmy przez identyczne okna na tę samą płowiejącą ślepe uliczkę. Choć dorastałyśmy w podobnych warunkach, stałyśmy się bardzo różne, jak dwa okazy dziewczęcej młodości, których drogi się rozeszły.

- Ja zamierzam sobie wytatuować słońce i księżyc na nadgarstku - powiedziała. - Jeśli chcesz, tobie też mogę.

Płyta dojechała do końca. Pokój wypełniła nagła cisza.

- Chyba nie - powiedziałam. - Zresztą pewnie już i tak powinnam wracać do domu.

Może to się zaczęło jeszcze przed spowolnieniem, ale dopiero wtedy coś zrozumiałam: moje przyjaźnie się rozpadały. Wszystko się rozpadało. Przejście z dzieciństwa do następnego życia było trudne. I podobnie jak podczas każdej ciężkiej przeprawy nie wszyscy mogli przetrwać.

Tamtego wieczoru, w pełnym słońcu, ojciec wrócił do domu z teleskopem.

- To dla ciebie - powiedział, rozpakowując go w moim pokoju i mnąc bibułę. - Chcę, żebyś trochę lepiej poznała świat nauki.

Teleskop był w lśniącym mahoniowym pudełku, w którym leżała srebrna tuba i trio tytanowych nóżek połyskujących w świetle słońca. Wyglądał na drogi. Ojciec ustawił go w moim pokoju i skierował na nadal jeszcze bezchmurne niebo. Matka obserwowała go, stojąc na progu z rękami splecionymi na piersi. Ostatnio ojciec ciągle działał jej na nerwy i wyglądało na to, że nawet taka ofiara jak podarowanie mi teleskopu, przełożona na zaszyfrowany język, którym się posługiwali, z jakiegoś powodu wydała jej się obraźliwa.

- Widzę Marsa - oznajmił ojciec, mrużąc jedno oko, a drugie trzymając przy teleskopie. Skinął, żebym popatrzyła. - Kiedy się ściemni, będzie widać jeszcze lepiej.

Ostatnio mówiono o Marsie w wiadomościach, po tym jak w internecie wypłynęły wstępne plany czegoś zwanego Pionierskim Projektem. Plan, finansowany z prywatnych środków grupy tajemniczych miliarderów, dotyczył osiedlenia się ludzi na Marsie wyposażonym w biosfery z regulowaną temperaturą i samo-oczyszczające się zapasy wody. Pionierski Projekt był planem ewakuacji Ziemi. Podobno w razie potrzeby grupa ludzi mogła przetrwać na Marsie. Całe osiedle miało przypominać kapsułę czasu, żywą, oddychającą pamiątkę po takim życiu, jakie wiedliśmy kiedyś na Ziemi.

Przez teleskop Mars nie wydawał mi się zbyt imponujący: czerwona gruba kropka o rozmytych krawędziach.

- Część gwiazd, które tam zobaczysz, już nawet nie istnieje - powiedział ojciec, delikatnie obracając gałkami teleskopu tam

i z powrotem za pomocą kciuka. Zębatki cichutko popiskiwały.  
-Część gwiazd, które zobaczysz, umarła tysiące lat temu.

- Zamierzacie tu siedzieć przez cały wieczór? - zapytała matka. Ojciec wytarł soczewki kawałkiem czarnego filcu dołączonego do zestawu.

- Przez teleskop nie zobaczysz gwiazd takimi, jakie są dzisiaj, ale takimi, jakie były tysiące lat temu - ciągnął. - Znajdują się tak daleko, że nawet odbite od nich światło potrzebuje wieków, żeby do nas dotrzeć.

- Jeśli w ogóle zamierzamy zjeść kolację - westchnęła matka, nadal stojąc za naszymi plecami - powinniśmy sięść do stołu.

Ojciec nie odpowiedział, ale ja bardzo chciałam ją udobruchać.

- Za chwilę zejdziemy - obiecałam.

Podobał mi się pomysł zachowania przeszłości skamieniałej w gwiazdach. Chciałam myśleć, że gdzieś na drugim końcu czasu, sto lat świetlnych od teraz, ktoś inny, jakaś odległa istota z przyszłości, będzie mógł spojrzeć na utrwalony obraz mnie i mojego ojca oraz tej konkretnej chwili w moim pokoju.

- Mogłoby tak być? - zapytałam ojca. - Na przykład za sto lat świetlnych?

- Mogłoby - powiedział. Ale chyba mnie nie słuchał.

Tamtego roku spędziłam mnóstwo godzin, obserwując gwiazdy, ale poza tym wykorzystywałam teleskop do podglądania bliższych ciał. Szybko odkryłam, że mogę zaglądać do innych domów przy ulicy. Widziałam Kapłanów, całą siódmkę, zasiadających do kolacji. Widziałam, jak Carlotta popija herbatę na werandzie na końcu naszej uliczki, a jej długi warkocz kołysze się jak makrama, ukazując soczewkom mojego teleskopu każdy najmniejszy kosmyk, podczas gdy Tom za jej plecami wyrzucał wiadro resztek na stertę kompostu.

Najlepszy widok miałam na dom Sylvii. Stał naprzeciwko naszego jak odbicie w lustrze i mogłam zajrzeć wprost do jej salonu - spojrzeć na klawisze fortepianu, na drewniane deski podłogi i na strony gazety, które nadal wyściełały klatkę dla ptaków, teraz już pustą.

Tamtej nocy spaliśmy w świetle słońca albo nie spaliśmy wcale. Tygodniami kładłam się przed zmrokiem - pierwsze dni trwały bez końca, pierwsze wieczory ciągnęły się jak wieczność; przeważnie zasypiałam, zanim rozbłyły gwiazdy. Ale ta noc okazała się inna, rozziw był większy niż kiedykolwiek wcześniej. To była pierwsza z białych nocy. Później nauczyliśmy się, jak się zasłaniać, jak wycinać w świetle małe skrawki ciemności, ale ta pierwsza zegarowa noc promieniała, jakby słońce nigdy nie świeciło równie mocno i jasno.

Wcześniej do sufitu w moim pokoju przykleiłam fosforyzujące gwiazdki, które niedawno próbowałam usunąć. Matka mnie powstrzymała - „W tym suficie jest azbest, zostaw go w spokoju”. Ale tamtej nocy gwiazdki na moim suficie i tak były niewidoczne, podobnie jak te prawdziwe, bo każdą z nich przyćmiła nasza najbliższa, najdroższa gwiazda.

- Postaraj się zasnąć - powiedział ojciec. - Trudno będzie się obudzić do szkoły w ciemności. - Przez chwilę siedział w nogach mojego łóżka, gapiąc się przez okno na rozpalone błękitne niebo, a potem opuścił rolety. - To niezwykle czasy - dodał. - Żyjemy w niezwykle czasach.

Słońce zaszło w końcu jakiś czas po drugiej.

Nasza szkoła przyjęła czas zegarowy i lekcje znowu zaczynały się o dziewiątej. To oznaczało, że staliśmy w ciemności na przystanku, z twarzami oświetlonymi na żółto przez daleką latarnię, która jak wszystkie latarnie w naszym regionie została specjalnie ustawiona tak, żeby świeciła słabo - jasne światło utrudniało pracę ogromnemu trzydziestoletniemu uniwersyteckiemu teleskopowi umieszczonemu na wzgórzu na wschodzie miasta. Nazywano to „zanieczyszczeniem przez światło”. Tylko co takiego obserwowali teraz astronomowie, skoro prawdziwa akcja rozgrywała się tu, na dole?

Matka czekała na przyjazd autobusu, siedząc w samochodzie przy krawężniku, przekonana, że zagrożenia, jak ziemniaki, rodzą się w nocy. Mnie jednak przystanek autobusowy wydawał się równie niebezpieczny jak w świetle dnia i ciemność nie miała na to żadnego wpływu.

Trzymałam się z daleka od Daryła, ale on nie zwracał na mnie uwagi i zachowywał się tak, jakby nie zrobił niczego złego.

Pomyślałam, że gdzieś w tym brudnym piachu nadal leży mój złoty wisiołek z samorodka. Seth ciągle trzymał się na uboczu, jak samotny twardek, i dmuchał w ręce w atrakcyjny, pewny siebie sposób, trzymając jedną nogę na deskorolce, a drugą na krawężniku.

W oddali majaczył dom Hanny i miałam wrażenie, że tamtego ranka zobaczyłam światełko jaśniejące obok frontowych drzwi. Przez chwilę miałam nadzieję, że wróciła. Ale to było tylko światło na werandzie, prawdopodobnie pozostawione przez przypadek w dniu ich ucieczki i niezauważalne w ciągu dnia.

Tamtego mrocznego poranka wszyscy byliśmy bardziej milczący niż zwykle. Byliśmy zaszpani, przygarbieni i otumanieni. Nawet Michaela wydawała się przygaszona, obudziła się za późno, żeby umyć włosy albo umalować oczy. Nikt się z nikim nie przekomarzał ani nie rozmawiał. Nikt się nie odzywał. Po prostu staliśmy razem w ciemności, z kapturami naciągniętymi na głowy i palcami skulonymi w rękawach.

Było zimno, całkiem możliwe, że właśnie mieliśmy najzimniejszą część nocy, ale mój zegarek wskazywał ósmą czterdzieści rano. Księżyc był jedynie sierpem jaśniejącym nisko nad horyzontem. Gwiazdy wyglądały błyskotliwie czysto.

Trudno uwierzyć, że mieliśmy w tym kraju czasy - i to wcale nie tak dawno temu - kiedy co roku drukowano grube kalendarze, podające między innymi dokładny czas zegarowy każdego wschodu słońca i każdego zachodu słońca na rok z góry. Myślę, że tracąc tamten rzeczowy rytm, straciliśmy też coś innego: pewną powszechnie wyznawaną wiarę, że na niektóre rzeczy można liczyć.

Tamtego ranka zdumiewał nas hałas świerszczy wokół, popiskiwanie i zawrodożenie mnóstwa nowych ciał w ciemności - odkąd nastąpiło spowolnienie, pieniły się wszystkie owady. Zostało



tak mało ptaków, że wszystkie mniejsze stworzenia przeżywały rozkwit. Coraz więcej pajaków łaziło po naszych sufitach. Z odpływów w łazienkach wynurzały się żuki. Po naszych cementowych tarasach pełzały dżdżownice. Jeden trening piłki nożnej został odwołany, ponieważ na boisku wylądowało milion biedronek naraz. W nadmiarze nawet piękno staje się odrażające.

Kiedy autobus zatrzymał się pod szkołą, odkryliśmy, że robotnicy instalują wokół budynku reflektory. W ich świetle wyblakłe zielone ściany, pomalowane - jak głosiła plotka - farbą, która została po pomalowaniu bazy marines na wybrzeżu, wyglądały jak mury więzienia. To jedno, czego nauczył mnie czas zegarowy: nierzadko coś, co w świetle dnia wydaje się niegroźne, w ciemności robi ogromne wrażenie. Chcąc nie chcąc, zastanawialiśmy się, co jeszcze jest tylko grą światła.

Kiedy w końcu pokazało się słońce, była już pora lunchu, ciemność ustępowała jak mgła. Wschód słońca: godzina dwunasta trzydzieści cztery. Gdy nastąpił, wszyscy byliśmy na zewnątrz. Mieszkaliśmy w Kalifornii, więc o każdej porze roku jadaliśmy na zewnątrz. Gdy niebo na wschodzie zajaśniało bladym, obiecującym różem, Michaela od razu zaczęła się przekomarzać z chłopakami, a ja zastosowałam odwrotny manewr: milczałam i starałam się nie zwracać na siebie uwagi.

Powoli w oddali zaczęły połyskiwać boiska do piłki nożnej. Zmrużyłam oczy i spojrzałam na wschód słońca. I właśnie wtedy na drugim końcu dziedzińca zobaczyłam zarys dziewczyny uderzająco podobnej do Hanny, chociaż to nie mogła być Hanna, bo przecież gdyby wróciła do miasta, na pewno bym o tym wiedziała. Ta nadąsana dziewczyna siedziała sama przy stoliku w bladym świetle niedaleko laboratoriów, z głową opartą na kościstej ręce.

Kiedy się do niej zbliżyłam, zobaczyłam, że miałam rację: to rzeczywiście była Hanna. Siedziała sobie przy stoliku zupełnie sama i niczego nie jadła.

- Wróciłaś - powiedziałam.

- Cześć - przywitała się jakby nigdy nic. Wyglądała stylowo i ładnie w ciemnych dżinsach i różowej koszulce na ramiączkach. W jej uszach dyndały srebrne koła. Włosy miała zaplecione w luźny dobierany warkocz. - Musieliśmy wrócić do domu ze względu na pracę taty.

Przez chwilę milczaliśmy. Czekałam, aż powie coś więcej. Nie powiedziała. Od strony kolejek po lunch dobiegł nas przeszywający dziewczęcy krzyk.

- Tak się cieszę, że wróciłaś - odezwałam się w końcu. Rzuciłam plecak na ziemię i usiadłam przy jej stoliku. - Już zaczynałam nienawidzić chodzenia do szkoły.

- W Utah nie musieliśmy chodzić do szkoły - powiedziała. Jej niebieskie oczy obserwowały coś za moimi plecami. - Wszyscy po prostu czekali, no wiesz, na koniec. Ale tacie w końcu się znudziło.

Przyjaźniłyśmy się od lat, lecz teraz wyrosło między nami jakieś nowe onieśmienie. Czułam się tak, jakby była moją daleką kuzynką i jakby rzucono nas na pastwę losu na jakimś zjeździe rodzinnym: w pewien sposób byliśmy ze sobą związane, ale nie miałyśmy pojęcia, co do siebie mówić.

Wokół nas gwar dzieciaków wznosił się i opadał jak niewidzialne fale. Hanna spuściła wzrok na stół. Zaczęła skubać kawałek odpryskującej farby.

I wtedy nie wytrzymałam:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wróciliście?

- Przyjechaliśmy dopiero wczoraj - odparła. Przygryzła brudny koniuszek paznokcia kciuka. - Albo może przedwczoraj.

Na horyzoncie nadal majaczyło kilka gwiazd, lecz z każdą minutą dzień stawał się jaśniejszy. Musiałam zmrużyć powieki, żeby spojrzeć Hannie w oczy.

- Dlaczego nie było cię rano na przystanku? - zapytałam.

- Nocowałam u Tracey.

- U jakiej Tracey?

- U Tracey Blair.

Wskazała inną mormonkę, którą mgliście pamiętałam z lekcji, ale której nie znałam. Dziewczyna właśnie szła w naszą stronę. Jej sylwetka niewyraźnie rysowała się w porannym świetle. Niosła dwa burrito zawinięte w folię i dwie butelki wody. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że ma na sobie takie samo ubranie jak Hanna: taką samą różową koszulkę i takie same srebrne kolczyki, a na plecach kołysze jej się taki sam dobierany warkocz.

Poczułam nagłe napięcie.

- Wyglądacie jak bliźniaczki - zauważyłam.

- Nawet tego nie planowałyśmy - odpowiedziała Hanna. — Zabawne, prawda?

- Cześć - przywitała się Tracey.

Miała ogromne brązowe oczy, które zdawały się w ogóle nie mrugać. Po jej starannym chodzie i odciskach na dłoniach domyśliłam się, że uprawia jakiś rodzaj gimnastyki.

- Tracey też przez jakiś czas była w Utah - powiedziała Hanna.

- Cześć - przywitałam się.

Tracey wypluła gumę i usiadła. Jedno burrito przesunęła po stole w stronę Hanny.

- Widzisz? - zwróciła się do niej Hanna, wskazując tłum dzieciaków na szkolnym dziedzińcu. - Teraz już rozumiesz, co miałam na myśli?

- Totalnie - potwierdziła Tracey. Odchyliła głowę na znak całkowitej zgody. - Totalnie.

- Co takiego? - zapytałam.

- Nic - powiedziała Hanna.

Siedziałyśmy przez chwilę, a słońce wspinało się po niebie. Hanna opowiedziała mi trochę o Utah. Wcale nie żyło jej się tam tak ponuro, jak mi się wydawało. Podzieliła się ze mną skomplikowaną historią, w której występował mormoński chłopak mieszkający obok jej ciotki. Pewnej nocy otworzył siatkę w oknie Hanny i dostał się do jej pokoju. Całowali się przy jej śpiących siostrach.

- Wow! - powiedziałam. Nie umiałam wymyślić nic innego.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć - odezwała się Tracey. - Jak to możliwe, że nikt się nie obudził?

- No właśnie - przytaknęła Hanna. Nagle poczerwieniały jej policzki. Uśmiechała się, ale starała się to ukryć. - W dodatku byliśmy na górnym łóżku.

W końcu Hanna zapytała, co u mnie słysząc.

Oczywiście było dużo do powiedzenia. Nic nie szło jak trzeba. Ale tamtego dnia Hanna nie przypominała mi Hanny, a Tracey ciągle strzelała z knykcii.

- Oj, sama nie wiem - odpowiedziałam. - Wszystko w porządku.

Wielkie błyszczące oczy Tracey uważnie mi się przyglądały. Co kilka sekund rozlegał się odgłos jej strzelających małych stawów.

- Jestem giętka - wyjaśniła, przechodząc do lewej dłoni.

- W zasadzie - dodałam - wszystko u mnie super. Naprawdę super.

Tracey i Hanna wymieniły szybkie spojrzenia. Zadzwoił dzwonek i Hanna jęknęła.

- O rany, tak bym chciała dalej być w Utah, a ty?

- Totalnie - powiedziała Tracey. - Totalnie.

Wstałyśmy i zarzuciłyśmy plecaki na plecy. Hanna i Tracey zaczęły się oddalać od stolika.

- Do zobaczenia później - powiedziałam, ale mnie nie usłyszały.

Albo udały, że nie słyszą. Równym krokiem szły razem w stronę laboratoriów. Też zamierzałam ruszyć w tamtą stronę, ale wybrałam okrężną drogę i poszłam sama.

Tamtego popołudnia Hanna spóźniła się na trening i prawie się do mnie nie odzywała. Grałyśmy na tym samym boisku, na którym dawniej bez przerwy plotkowałyśmy między ćwiczeniami, ale tego dnia wymówiła moje imię tylko raz, wyłącznie po to, żeby zawołać zawodniczkę ze środka boiska podczas przepychanki.

- Julia! - krzyknęła, kiedy piłka wirowała mi pod nogami -Tutaj, jestem wolna!

Potem, kiedy spocone i czerwone czekałyśmy, aż przyjadą po nas mamy, Hanna bawiła się telefonem.

- Masz *ochotę* wpaść do mnie w ten weekend? - *zapytałam*.

- Nie mogę - *powiedziała*.

Nie podobało mi się, że rozmawiając ze mną, nie odrywa oczu od telefonu. Byłam pewna, że wysyła SMS-y do Tracey, która bez wątpienia natychmiast odpowiada jej podobnymi komunikatami.

- Dlaczego się tak zachowujesz? - *zapytałam*.

- To znaczy jak? - *odparła*. Lekko się uśmiechnęła i przygryzła dolną wargę. Długi jasny warkocz dyndał jej na ramieniu. Unikała mojego wzroku. - Przecież nie robię niczego złego.

Coś w fałszywej uprzejmości malującej się na jej twarzy wydało mi się znajome. I nagle przypomniałam sobie bladego

rudzielca o imieniu Alison, który był najlepszą przyjaciółką Hanny przede mną. To się działo lata temu, w czwartej klasie, ale nadal pamiętałam, jak Alison czasami podchodziła do nas na boisku, a Hanna uparcie ją ignorowała, ćwicząc ze mną nasze sztuczki na drabinkach, na których było miejsce tylko dla dwóch osób. „Mam jej dość” - mówiła do mnie Hanna na widok zbliżającej się Alison, a potem patrzyła na nią z takim samym fałszywym uśmiechem, jaki teraz kierowała do mnie.

Tamtego wieczoru byłam za bardzo przygnębiona, żeby zasnąć. Wstałam z łóżka i sprułam bransoletkę, którą robiłam dla Hanny. Potem wrzuciłam jej szczątki do pudełka po butach razem z bransoletką z charmsami, którą mi kiedyś podarowała, i wepchnęłam to pudełko w głąb szafy. Wcale nie poczułam się po tym lepiej.

Mijały dni. Zegarowe poranki, zegarowe noce. Ciemność i światło przepływały nam nad głowami jak burze, nie trzymając się już naszych dni i nocy. Czasami zmrok zapadał w południe. Czasami słońce wschodziło dopiero wieczorem i osiągało najwyższy punkt w samym środku zegarowej nocy. Spanie było trudne. Budzenie się jeszcze trudniejsze. Po ulicach chodzili somnambulicy. A Ziemia z każdym dniem obracała się wolniej. Podczas gdy moja matka gromadziła świece i poradniki survivalu, ja ćwiczyłam się w przetrwaniu innego rodzaju: uczyłam się spędzać czas w samotności.

- Może pójdziesz do Hanny? - pytała popołudniami matka. - Na pewno bardzo się ucieszy.

Ale ostatnio Hanna ciągle była z Tracey.

- Czas zegarowy się nie przyjmie - powiedziała Sylvia podczas mojej cotygodniowej lekcji gry na fortepianie.

Jej salon jaśniał w ciemności. Była trzecia po południu, ale na zewnątrz panował całkowity mrok. Tamtego dnia Seth nie przyszedł na lekcję. Nie wiedziałam dlaczego, a Sylvia mi nie powiedziała.

- Zobaczysz - ciągnęła — w końcu wrócimy do czasu prawdziwego. Zaufaj mi.

Ale ja nie byłam o tym przekonana. Za to czułam, że jeśli przetrwamy, pewnego dnia będziemy opowiadać historie o tym, jak kiedyś wyglądało życie na Ziemi.

Tym, co mnie uderza, kiedy myślę o tamtym okresie, jest fakt, że tak błyskawicznie się przystosowaliśmy. Rzeczywistość, która kiedyś była znajoma, coraz bardziej się oddalała. Jakże niezwykle stało się to, że dawniej zachód słońca był całkowicie przewidywalny. I jak niepojęte to, że jeszcze niedawno byłam szczęśliwszą dziewczyną, mniej samotną i mniej nieśmiałą.

Ale chyba każda miniona epoka pokrywa się z czasem cieniem mitu.

A przy odrobinie perswazji każda znajoma rzecz może się wydać nienormalna. Oto eksperyment myślowy. Zastanówmy się nad takim brutalnym magicznym scenariuszem: człowiek hoduje drugiego człowieka w przestrzeni własnego brzucha, wykształca się drugie serce i drugi mózg, druga para oczu i drugi zestaw kończyn, komplet części ciała, jakby miały posłużyć za części zamienne, a potem, niespełna rok później, ten pierwszy człowiek wydała tego drugiego, rozwrzeszczanego, ze swojego brzucha wprost na świat, żywego.

Obłąd, prawda?

Próbuję powiedzieć, że choć na początku nowe dni wydawały nam się dziwne, to bardzo szybko dawne czasy stały się jeszcze dziwniejsze.

Niektórzy ludzie bili na alarm od dziesięcioleci, odkąd spadły pierwsze krople kwaśnego deszczu, odkąd nastąpiło najsubtelniejsze przerzedzenie warstwy ozonowej, od katastrofy w Czarnobylu i wypadku w Three Mile Island, od kryzysu naftowego w latach siedemdziesiątych. Topniały lodowce i płonęły lasy deszczowe. Rosła liczba zachorowań na raka. Ogromne flotyle śmieci od lat krążyły po naszych oceanach. Rzekami płynęły antydepresanty - a nasze krwiobiegi były tak samo zanieczyszczone jak szlaki wodne. Nieważne, że nie zdołano jeszcze wyjaśnić przyczyn spowolnienia. Dostyc znaczy dostyc. Niektórzy postanowili zająć stanowisko.

Odmówili dostosowania się do czasu zegarowego.

Byli przyrodnikami, zielarzami i entuzjastami holistycznego podejścia do zdrowia. Uzdrowicielami, hippisami i weganami, wiccanami, guru i filozofami New Age. Liberalnymi lewicowcami, anarchistami i radykalnymi ekologami. Albo fundamentalistami, survivalowcami i zwolennikami powrotu do ziemi,



którzy już wcześniej żyli w dziczy z dala od sieci energetycznej. Byli wrogo nastawieni do korporacji. Sceptyczni wobec rządu. Buntownicy z natury albo z przekonania.

Nie zawsze było wiadomo, kim są, przynajmniej na początku. Niektórzy zatajali to tak długo, jak mogli. Ale inni wcale się nie kryli.

Pewnego dnia, pod koniec mojej lekcji gry na fortepianie, Sylvia podała mi cienką białą kopertę.

- Daj to mamie - powiedziała.

Seth Moreno był tam razem z nami i czekał na swoją lekcję. Wcześniej gapił się przez okno, ale kiedy Sylvia dawała mi kopertę, poczułam, że Seth zerka w naszą stronę.

- Co to? - zapytałam.

Oba łuszczeni już nie żyły. Klatka stała pusta. Było słychać jedynie dźwięk dzwoneczków wietrznych pobrzękujących na werandzie.

- Nie mogę tak dalej - powiedziała. - To jakieś oszustwo. W liście Sylvia wyjaśniała, że zamierza zerwać z czasem zegarowym.

- Znajdziemy ci nową nauczycielkę - skwitowała matka, kiedy przeczytała liścik.

- Ale ja nie chcę nowej nauczycielki - zaprotestowałam.

- Dlaczego nie może dalej chodzić do Sylvii? - zapytał ojciec, który segregował obok korespondencję, wyrzucając większość z niej od razu do kosza.

W liście Sylvia wyjaśniała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby nadal prowadzić wszystkich uczniów trzymających się czasu zegarowego.

- Nigdy nie podobał mi się jej styl życia - powiedziała matka.

Nakładała sos pomidorowy na gotowy spód do pizzy. Była to jedna z tych naprawdę ciemnych- zegarowych nocy. Widziałam nasze odbicia w drzwiach balkonowych.

- Jaki styl życia? - zdziwił się ojciec.

Nie przebrał się jeszcze po powrocie z pracy, siedział w białej koszuli i poluzowanym żółtym krawacie, ale podwinął rękawy do łokci. Czułam zapach szpitalnego mydła na jego rękach.

- Wiesz, o czym mówię - powiedziała matka. - O tych wszystkich bzdurach New Age.

- A ty co myślisz, Julio? - zwrócił się do mnie ojciec. Nadal miał szpitalny identyfikator przyczepiony do kieszonki

na piersi: za plastikową osłonką dyndało nieaktualne zdjęcie, z którego spoglądał na mnie młody mężczyzna o gęstych włosach. Trochę wyżej widziałam jego starszą wersję, która też się we mnie wpatrywała.

- Nie lubisz Sylvii? - spytał.

- Nie chcę nowej nauczycielki - mruknęłam.

- Zaraz, zaraz, Joel - powiedziała matka. - Chwileczkę. Przecież to ty powiedziałeś, że ten cały czas zegarowy to najlepsze ze złych rozwiązań, że na pewno się przyzwyczaimy, bla, bla, bla.

- Życiowe wybory Sylvii to nie nasza sprawa - odparł ojciec.

- Poszukam ci innego nauczyciela - oznajmiła matka. - Koniec dyskusji.

Nie wszyscy zrezygnowali z lekcji u Sylvii. Na przykład Seth przez jakiś czas nadal przychodził raz w tygodniu. Nigdy do końca nie wiedziałam, kiedy się zjawia, ale czasami słyszałam w pokoju odgłos jego deskorolki szurającej na chodniku, kiedy podjeżdżał pod dom naprzeciwko. Potem starałam się wyjść do skrzynki dokładnie w chwili, w której wychodził, albo jak gdyby nigdy nic podlewałam trawnik w okularach przeciwsłonecznych

i ze świeżo zaplecionym warkoczem. Czasami Seth kiwał głową w moją stronę. Czasami nie. Nigdy nie rozmawialiśmy,

Tom i Carlotta, nasi sąsiedzi, od razu ujawnili się jako zwolennicy czasu prawdziwego. Chyba nikogo nie zdziwiło, że odrzucili czas zegarowy - na ich dachu połyskiwało dwanaście baterii słonecznych i jeździli dwiema zdezelowanymi ciężarówkami upstrzonymi odpryskującymi pacyfkami i starymi, wyblakłymi na słońcu naklejkami na zderzaki, które głosiły takie optymistyczne marzenia jak na przykład: „Uprawiaj miłość, a nie wojnę”. Tom był emerytowanym nauczycielem plastyki, który nosił konopny naszyjnik i porwane dzinsy poplamione farbą. Długie siwe włosy Carlotty kołysały się na wysokości talii, będąc - jak podejrzewałam - duchem jej młodszego, bardziej seksownego Ja.

Kilka dni po przywróceniu czasu zegarowego na skraju ich trawnika pojawiła się nowa tabliczka. Była mała, biała i podobna w stylu do tabliczki na podwórku pana Valencii, która zwracała uwagę przechodniów na fakt, że dom państwa Valenciów jest chroniony przez system bezpieczeństwa Safelux. Nowa tabliczka Toma i Carlotty niosła inną wiadomość: „Ten dom żyje według czasu prawdziwego”.

- Moja matka uważa, że to dilerzy narkotyków - powiedziała Gabby, której dom stał tuż obok domu Toma i Carlotty. Jej matka, prawniczka, chodziła w butach na wysokim obcasie i w granatowych kostiumach. - Uważa, że uprawiają w domu góry marychy.

- Też tak myślisz? - zapytałam.

Wpadłam do Gabby w sobotę, bo nie miałam nic innego do roboty. Siedziałyśmy w jej pokoju.

- To oczywiście kompletne bzdury - powiedziała Gabby. -Moja mama uważa, że każdy, kto pod jakimś względem jest inny, musi być przestępcą.

Dwa strupy po wewnętrznej stronie nadgarstka Gabby utworzyły zarys słońca i idealnego sierpa księżyca. Gdy jej rodzice je zobaczyli, wysłali ją do psychiatry, z którym spotykała się teraz raz w tygodniu.

- Wiesz co? - ciągnęła. - Poznałam przez internet jednego faceta, który uważa, że szykuje się coś w rodzaju rewolucji.

- Jak to? - zapytałam.

- Według niego miliony ludzi powstaną przeciwko rządowi i odrzucą czas zegarowy.

Podczas gdy reszta z nas kupowała kwarcówki i zakładała ciemne zasłony, żeby spać podczas białych nocy, kilka tysięcy Amerykanów próbowało żyć w zgodzie ze światłem dnia. Twierdzili, że ciało człowieka potrafi się dostosować tak jak Ziemia. Donosili, że ich rytmy okołodobowe już się dopasowywały, rozciągając się stopniowo jak guma. Po prostu dłużej spali, dłużej obywali się bez snu, późnym popołudniem jedli czwarty posiłek.

Czasami w środku zegarowej nocy słyszałam za oknem Toma i Carlottę. W słoneczne wieczory pracowali w ogródku, podczas gdy reszta mieszkańców naszej ulicy usiłowała spać. Pamiętam metaliczne pobrząkiwanie nożyc ogrodowych, szuranie sandałów na chodniku, głosy Toma i Carlotty unoszące się w cichym powietrzu. Przypominało to jakieś zjawisko nadprzyrodzone: dwa wymiary czasu zajmujące tę samą przestrzeń.

Pewnego dnia na fizyce nasze motyle wygramoliły się z kokonów. Nastąpiło to na piątej, ostatniej lekcji, ale słońce dopiero

zaczynało wschodzić. Nauczyliśmy się, że motyle prawie zawsze wychodzą z kokonów rano.

- Widzicie? - powiedział pan Jensen z kubkiem kawy w dłoni. - Ich nie można wykiwać. Wiedzą, że jest ranek.

Patrzyliśmy, jak motyle podskakują i trzepoczą skrzydełkami, a potem śmigają ku niebu. Oczywiście wiedzieliśmy o czymś,

O czym one nie wiedziały: że ich życie będzie krótkie i ciężkie.

Pamiętam, że tamtego dnia pan Jensen miał przekrwione

i szkliste oczy. Wyglądał na wyczerpanego, jego kucyk był bardziej rozczochrany niż zwykle, broda trochę bardziej zmierzwiiona.

W poniedziałek tydzień później przyszliśmy na fizykę i za metalowym biurkiem pana Jensena zobaczyliśmy młodą kobietę w szarym spodniem. Zapisała swoje nazwisko na tablicy: Mosley. Zastępstwo.

- Na jakiś czas - powiedziała. - Prawdopodobnie do końca roku.

Czasami właśnie tak było - ludzie po prostu znikali.

Część rzeczy pana Jensena została z nami w laboratorium: jego srebrny termos, ubłocona para butów do wspinaczki, niebieska wiatrówka zwinięta na półce. Niektóre z naszych zegarów słonecznych leżały na parapecie aż do czerwca, wiecznie wskazując nieprawdopodobny czas. Jeden motyli kokon pozostał w terrarium, gładki i zamknięty, a jego mieszkaniec nigdy się nie pojawił. Kilka tygodni później został zeszkrobany z sufitu przez skalpel pani Mosley i wyrzucony do śmieci razem ze stłuczoną zlewką.

Nie podano nam powodu odejścia pana Jensena. Ale plotka głosiła, że zerwał z czasem zegarowym. I inaczej niż w wypadku wcześniejszych doniesień, które mówiły, że pan Jensen spędza noce w śpiworze pod swoim biurkiem, czułam, że ta nowa plotka jest zgodna z prawdą.

Nigdy więcej nie zobaczyliśmy pana Jensena, za to na naszej ulicy czasami widywałam Sylvię.

Wkrótce straciła większość uczniów i martwiłam się o nią. Ale z daleka wydawała się dość wesoła, zawsze machała do mnie z podjazdu, wyładowując z samochodu płócienne torby ze sklepu ze zdrową żywnością albo szykując się do joggingu z rudymi włosami unoszonymi bryzą.

Wiedziałam jednak, że jej życie w tamtym okresie musiało być skomplikowane. W końcu prawie wszystko było dostosowane do czasu zegarowego. Nie tylko szkoły, ale także gabinety lekarskie i dentystyczne, warsztaty samochodowe, sklepy spożywcze, siłownie, restauracje, kina i centra handlowe. Sylvia i inni zwolennicy czasu prawdziwego byli zmuszeni dostosować niektóre aspekty swojego życia do naszego - albo po prostu obchodzić się bez nich.

A z każdym kolejnym tygodniem musiało im być coraz trudniej, bo Ziemia nadal zwalniała i dni nadal się wydłużały.

W ciągu kilku pierwszych tygodni czasu zegarowego sprzedaż wydawanych na receptę leków nasennych gwałtownie wzrosła. Producenci nieprzejrzystych zasłon nie mogli nadążyć za popytem. Na maseczki do spania trzeba było czekać miesiącami. Było ogromne zapotrzebowanie na korzeń kozłka lekarskiego i inne *ziołowe* specyfiki na sen. Niektóre sklepy spożywcze wyprzedały cały zapas herbaty rumiankowej.

Sprzedaż alkoholu i papierosów także wzrosła. Istnieją również dowody na to, że wprowadzenie czasu zegarowego oznaczało początek doskonałego okresu dla sprzedawców narkotyków. Miejskie wydziały policji donosiły o gwałtownym wzroście cen wszystkiego, co jest w stanie zwalić człowieka z nóg.

W niektórych częściach kraju ludzie zaczęli spędzać najjaśniejsze z białych *nocy*, śpiąc w piwnicach, ale większość domów w Kalifornii budowano bez podpiwniczenia, przez co utknęliśmy na powierzchni ziemi, w świetle.

Oczywiście niektóre zegarowe noce nadal wypadły w ciemności, ale dokładna synchronizacja była rzadkością. Gdy tylko nadarzała się noc bez słońca, spaliśmy najdłużej, jak się dało. Ale ciągle za krótko. Byliśmy jak pustynni wędrowcy: z rzadka błogosławieni ulewą, ale niezdolni do magazynowania deszczu.

Mojej matce sen nigdy nie przychodził łatwo. Bezsenność krążyła jej we krwi. W czasie zegarowym mogła odpoczywać tylko wtedy, gdy było naprawdę ciemno. Słyszałam, jak późną jasną nocą chodzi po kuchni, słyszałam gwizd czajnika i stłumiony dźwięk ściszonego telewizora. Czasami przez całą noc szorowała łazienki, a zapach sosny i środka dezynfekującego sączył się pod drzwiami mojego pokoju. W niektóre z takich wieczorów też nie mogłam zasnąć. Cieniutki prostokątny zarys światła jaśniał wokół krawędzi narzut poutykanych na oknach w moim pokoju. Zawsze można było poznać, kiedy na zewnątrz jest widno. Po prostu się wiedziało.

Natomiast mój ojciec spał bez problemów. Przyniósł matce najprzeróżniejsze gadzety ułatwiające zasypianie. Specjalne urządzenie, na poły kwarcówka, na poły budzik, miało naśladować zachód słońca powolnym gaśnięciem żarówki. Nowiutki magnetofonik na jej szafce nocnej emitował kojące dźwięki fał oceanu i wodospadów, bryzy szeleszczącej w koronach drzew.

Ale matce nic nie pomagało.

Nie wiem, jak udawało jej się nie zasnąć na lekcjach albo na próbach *Makbeta*.

Skóra pod jej oczami nabrała koloru cienistej szarości. Poza tym matka płakała z najdrobniejszych powodów.

- Nie wiem, dlaczego płaczę - mówiła, zmiatając kawałki szkła ze stłuczonego kieliszka do wina albo masując palec u nogi,



którym przed chwilą o coś uderzyła. Ocierała oczy wierzchem dłoni. - Naprawdę nie jest mi aż tak smutno.

Raz przyłapałam ją szlochającą w łazience, przykucniętą nad buteleczką podkładu w płynie, która pękła na białych kafelkach i powoli wylewała swoją zawartość na podłogę. Matka płakała, a jej wygięty w łuk kręgosłup gwałtownie drgał. Była dwudziesta godzina światła.

Tymczasem ptaki nadal cierpiały. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, ile ich żyje wokół nas, dopóki nie zaczęły spadać z nieba. Raz całe stado szpaków położyło się na ulicy niedaleko szkoły, czekając na śmierć. Utworzono objazd, żeby specjalna ekipa mogła usunąć ich ciała. Muchy latały tam jeszcze przez wiele godzin.

Pewnego mrocznego popołudnia, kiedy wyszliśmy ze szkolnego autobusu, na środku chodnika zobaczyliśmy maleńkiego, ledwie żywego wróbelka. Autobus odjechał, a kilkoro z nas przykucnęło wokół ptaka. Oddychał, ale poza tym się nie ruszał.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego grzbietu. Poglaskałam go najdelikatniej, jak umiałam. Czułam cienie innych dzieciaków, które stały obok i się przyglądały.

- Może potrzebuje wody - podsunął ktoś za moimi plecami. Z zaskoczeniem rozpoznałam głos Setha Moreno. Zazwyczaj po wyjściu z autobusu natychmiast odjeżdżał na deskorolce.

- Czy ktoś ma wodę? - zapytał.

- Ja - powiedziałam.

Wyjęłam z plecaka do połowy opróżnioną butelkę, ciesząc się, że w tej jednej chwili mogę dostarczyć tej jednej rzeczy, której potrzebuje Seth.

Kiedy podawałam mu butelkę, nasze palce lekko się o siebie otarły. Chyba tego nie zauważył.

Trevor poświęcił swoje pudełeczko na aparat na zęby, a Seth napełnił je wodą dla ptaszka.

Wpatrywaliśmy się we wróbelka. Czekaliśmy. Nadal oddychał, gwałtownie, nieregularnie i drżąc, ale nie wykonał żadnego ruchu w stronę wody. W ogóle się nie poruszył. Słońce zachodziło za naszymi plecami, a jaskrawe pomarańczowe światło padało na piórka.

Patrzyłam na Setha, który patrzył na ptaszka. Stał zaledwie kilkadziesiąt centymetrów ode mnie, ale czułam między nami ogromną przepaść. Nie potrafiłam odgadnąć jego myśli.

Nagle podbiegł Daryl. Być może ritalin w jego żyłach nie zdołał stłumić wszystkich pragnień. Daryl chwycił ptaszka gołymi rękami, obrócił się na pięcie i uciekł.

- Daryl! - krzyknęliśmy wszyscy razem. - Zostaw go w spokoju! Seth popędził za nim na skraj kanionu.

Potem wszystko potoczyło się szybko: zanim Seth zdołał go dogonić, Daryl wziął zamach jak miotacz na boisku i przerzucił ptaszka nad krawędzią kanionu.

W tamtym okresie mojego życia codziennie działy się rzeczy, które zaledwie dzień wcześniej wydawały się niemożliwe - i to była jedna z nich. Nadal pamiętam długi łuk, jaki ciało ptaka zatoczyło na niebie. Czekałam, aż wróbelek rozwinie skrzydła i złapie wiatr. Ale runął do kanionu jak kamień.

- Wal się, Daryl - krzyknął Seth.

- I tak umierał - powiedział Daryl.

Wtedy Seth ściągnął z niego plecak i rzucił go tam, gdzie przed chwilą poleciał ptak. Patrzyliśmy, jak plecak unosi się w powietrzu, a potem opada, łopocząc szelkami.

Daryl przez chwilę stał na krawędzi kanionu i gapił się w dół.

Poczułam przyływ wdzięczności do Setha. Próbowałam wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć, ale on od razu wskoczył

na deskorolkę i odjechał, przechylając się mocno na zakręcie, za którym zniknął nam z oczu.

Reszta z nas też wkrótce się rozbiegła. Z każdym dniem coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się do małych życiowych horrorów. Nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do domu.

Mniej więcej w tym samym czasie dowiedzieliśmy się, że rak dosięgnął! kości matki Setha, i Seth przestał przychodzić do szkoły. Potem usłyszałam, że chora zmarła w domu w środku długiej białej nocy.

Ułożyłam liścik z kondolencjami na kartce z papeterii matki. Z przodu połyskiwała *Gwiazdzista noc* van Gogha. Chciałam zakomunikować coś ważnego i słusznego. Szybko jednak skreśliłam wszystko, co napisałam, i sięgnęłam po czystą kartkę. Tym razem ułożyłam tylko jedno zdanie, dwa słowa: „Przykro mi”. Podpisałam się imieniem i wrzuciłam list do skrzynki.

Pod koniec listopada nasze dni rozciągnęły się do czterdziestu godzin. Były to czasy skrajności. Za każdym razem, gdy pojawiał się słońce, prażyło dłużej, paląc naszą ulicę tak mocno, że w końcu nie sposób było przez nią przejść boso. Dżdżownice skwierczały na werandach. Stokrotki więdły na rabatach.

A gdy nastawały okresy ciemności, wlekły się tak samo jak okresy światła. W ciągu dwudziestogodzinnej nocy powietrze robiło się zimne jak woda na dnie jeziora. W całej Kalifornii winogrona zamarzały na winorośli, sady pomarańczowe marniały w mroku, miąższ awokado czerniał od mrozu.

Zlecono budowę dziesiątków eksperymentalnych biosfer, w których miały być uprawiane najważniejsze zboża, a nasiona tysiąca wrażliwych gatunków pospiesznie wywieziono do banku nasion w Norwegii.

Niektórzy naukowcy usiłowali przewidzieć przyszłe tempo spowolnienia i prognozować jego mnożące się skutki, a inni

twierdzili, że świat może jeszcze wrócić do normalności. Część skłaniała się jednak ku zaprzestaniu wszelkich domysłów, przyrównując tę nową naukę do prób przewidywania trzęsień ziemi albo guzów mózgu.

- Czy skończymy tak jak ptaki? - zastanowił się pewien stary klimatolog podczas wywiadu w wieczornych wiadomościach. Jego ciemne oczy tkwiły w grubych fałdach piegowatej skóry. -Możliwe, że tak - powiedział w końcu. - Po prostu nie wiem.

Ale adrenalina, jak każdy narkotyk, z czasem działa coraz słabiej. Panika, jak każda powódź, musi ustąpić. Sześć lub siedem tygodni po rozpoczęciu spowolnienia pojawiło się pewne znużenie. Codzienne odliczanie nowych minut zniknęło z pierwszych stron gazet. A telewizyjne doniesienia na ten temat trudno już było odróżnić od bardziej zwyczajnych złych wiadomości, które co wieczór wlewały się do naszych salonów i przeważnie były ignorowane.

Nieliczne osoby, które odrzuciły czas zegarowy, dawały sobie radę, żyjąc jak kielki fasoli: reagowały na światło słoneczne, kiedy się pojawiało, i szły spać, kiedy nasz skrawek ziemi zsuwał się w ciemność. Ci zwolennicy czasu prawdziwego już wtedy bardzo różnili się od nas, mieliśmy całkiem odmienne zwyczaje. Powszechnie uważano ich za dziwaków. Nie zadawaliśmy się ze sobą.

Garstka, która mieszkała przy naszej ulicy, została pominięta na liście gości jesiennego przyjęcia organizowanego co roku na końcu ślepej uliczki w przeddzień Święta Dziękczynienia. Pomarańczowe ulotki leżały na wszystkich wycieraczkach oprócz należących do nich.

Jeszcze w tym samym tygodniu wschód słońca ukazał setki pasków papieru toaletowego łopoczące na drzewku oliwnym Sylvii. Dom Toma i Carlotty potraktowano w identyczny sposób. Siedząc w swoim pokoju, patrzyłam, jak Sylvia ostrożnie zrywa

papier z krzaków róż. Przerwała na chwilę i stanęła z rękami na biodrach, patrząc na okolicę spod szerokiego runda słomkowego kapelusza, jakby winowajcy mogli się jeszcze czaić w pobliżu. Wyniosła drabinę z garażu. Ale nie udało jej się dosięgnąć wszystkich kawałków. Skrawki porwanego papieru toaletowego utknęły na najwyższych gałęziach na długie tygodnie.

Rodzina Kapłanów została w końcu zdemaskowana. Odrzuciła czas zegarowy ze względu na szabas, który trwa od zachodu do zachodu słońca co siódmy dzień, ale ukrywała to przed sąsiadami. Kiedy prawda wyszła na jaw, Beth, ich najstarsza córka, już nigdy więcej nie została poproszona o opiekę nad dzieckiem Swansonów. I zadawaliśmy się z nimi jeszcze mniej niż przedtem.

W tamtym okresie spędzałam mnóstwo czasu, obserwując Sylwię przez teleskop.

W białe noce widywałam ją podlewającą róże albo wrzucającą makaron do garnka o trzeciej nad ranem. Czasami wyruszała na samotne spacerki w cichym środku nocy.

Wydawała się jeszcze bardziej odizolowana niż inni prawdziwoczasowcy. Zawsze była sama. Kiedy nie mogłam spać, zdarzało mi się patrzeć przez teleskop, jak gra na fortepianie. Byłam pewna, że w lekkim przygarbieniu jej ramion i w ciężkim pochyleniu głowy dostrzegam pewien uporczywy smutek. Za soczewkami mojego teleskopu wyglądała na równie samotną jak jedna z tych dalekich gwiazd, nadal widocznych dla naszych oczu, lecz tak naprawdę już nieistniejących. Wydawała się jeszcze bardziej samotna niż ja.

Pewne katastrofy przerodziły się w atrakcje. Czasami jeździłam z ojcem na wybrzeże, żeby popatrzeć na to, co ocean zrobił z domami przy plaży, które zostały ewakuowane, kiedy spowolnienie

w tajemniczy sposób zwiększyło pływy. W czasie przyływu fale przetaczały się po dachach, których zarys tworzył geometryczną linię brzegową, a nurkowie po cichu przeczesywali wnętrza budynków w poszukiwaniu skarbów. Podczas odpływu te same rezydencje ociekały wodą i trzeszczały niczym zatopione statki, nagle obnażone. Były to wspaniałe budynki: należały do gwiazd filmowych i milionerów. Ale ocean szybko je postarzył. Powyłatywały wszystkie szyby w oknach i po jakimś czasie fale wyrzucały ich kawałki na piach - morskie szkło wymieszane z muszlami.

Gdy nastąpiło spowolnienie, plaże zostały zamknięte. Ale mój ojciec lubił je przeczesywać podczas odpływu.

- No chodź - powiedział pewnej soboty, kiedy wahałam się, stojąc na podejździe opuszczonego domu w stylu Cape Cod.

Dziesiątki metrów taśmy policyjnej łopotały na wietrze. Wokół nie było nikogo. Nawet mewy zniknęły, wymiecione przez chorobę.

Dom był olbrzymi, gonty miał wypaczone od wody i brakowało mu frontowych drzwi. Większość wyposażenia zabrała woda. W środku wszystko było szare, a cała jedna ściana zniknęła; salon był otwarty na morze jak garaż.

- Popatrz — powiedział ojciec. Przykucnął na przemoczonym dywanie, żeby poobserwować kraby piaskowe zagrzebujące się w nagromadzonym tam piasku. - Chcesz jednego potrzymać?

Wyglądał jak poławiacz małży, podwinął nogawki aż do kolan.

- Nie, dzięki - odparłam.

Tamtego ranka niezwykle silny odpływ odciągnął wodę kilkadziesiąt metrów od plaży. Widziałam, że ocean już wraca. Małe fale zaczynały obmywać to, co zostało z tylnej werandy.

- Zaczyna się przyływ - zauważyłam.

- Mamy czas - uspokoił mnie ojciec. - Chodź.

W domu zostało mnóstwo życia. Rozgwiazdy przylgnęły do granitowych blatów, a w umywalkach mieszkały ukwiały.

- Patrz pod nogi - ostrzegł mnie, kiedy szliśmy korytarzem. Na podłodze wały się kawałki drewna, wodorostów i szkła.

- Byłem już kiedyś w tym domu, wiele lat temu - powiedział. Mrużył oczy w słońcu. Dopiero niedawno zauważyłam, ile zmarszczek tworzyło się wokół jego oczu, kiedy się uśmiechał. - Przyszedłem na przyjęcie bożonarodzeniowe z dawną dziewczyną. To był dom jej rodziców.

Spieniona fala wdarła się do pokoju. Natychmiast sięgnęła naszych kostek. Moje sandały wydawały się ciężkie pod masą zimnej wody.

- Tato, proszę - niecierpliwiłam się, spoglądając przez ramię na korytarz. Warstwa białej wody wirowała na drewnianej podłodze. Niedawno dwoje nastolatków utonęło właśnie w taki sposób w jednym ze starych domów na dalszym odcinku wybrzeża. — Możemy już iść?

- Tam stała olbrzymia choinka - ciągnął ojciec, rozkładając ręce, żeby pokazać jej szerokość. Musiał już prawie krzyczeć, żebym mogła go usłyszeć ponad szumem wody. - A tam wielki fortepian. Mało brakowało, a byłbym się ożenił z tą dziewczyną. Oczywiście zanim poznałem twoją mamę.

Woda sięgała wyżej z każdą nową falą. Do pokoju wpłynęła mała plastikowa butelka.

- Tato - powiedziałam. - Mówię poważnie.

- Zobaczysz, kiedy będziesz starsza - podjął. - Nie uwierzysz, jak szybko mijają lata. Mam wrażenie, jakbym tu był wczoraj, a przecież minęło dwadzieścia lat.

Woda zaczęła mi sięgać do łydek. Poczułam, jak mnie ciągnie, i ogarnął mnie strach.

- Czy moglibyśmy już stąd iść? - zapytałam.



- Okej - ustąpił. - W porządku. Chodźmy. Pobrnęliśmy z powrotem do wyjścia i wyszliśmy na podjazd.

Kiedy wspinaliśmy się w stronę drogi, ojciec zauważył mewę.

- Patrz - powiedział, mrużąc oczy.

Od tygodni nie widziałam żywej mewy. W tamtej chwili naprawdę wydało mi się niezwykle, że kiedykolwiek istniały *istoty* obdarzone mocą latania.

Dżinsy przykleiły mi się do ud. Cały samochód śmierdział słoną wodą.

- Wiesz, dawniej byłaś znacznie odważniejsza - podsumował ojciec, zapuszczając silnik. - Naprawdę. Robisz się taka jak twoja mama.

I miał rację: wyrosłam na dziewczynę zamartwiającą się byle czym, bez przerwy wypatrującą wielkich i małych katastrof oraz rozczarowań, których obecność wyczuwałam wszędzie wokół nas.

Akcja rozegrała się w ciemności: błysk reflektorów, trzaśnięcie drzwi samochodu, bezgłośnie migotanie czerwonych świateł na końcu ulicy.

Stałam przy swoim oknie i patrzyłam, jak trzy radiowozy parkują w krzywym rzędzie przed domem Toma i Carlotty. Z jakiegoś powodu najpierw pomyślałam, że doszło do morderstwa. Przez teleskop zauważyłam matkę Gabby w spodnium, z rękami splecionymi na piersi i twarzą oświetloną na czerwono. Stała na końcu swojego podjazdu i patrzyła na dom sąsiadów. Uklęłam na dywanie i czekałam. Minęło kilka minut. Była czwarta po południu według czasu zegarowego, ale mieliśmy sam środek naturalnej nocy. Niebo było czarne i czyste, księżyc przybrał najciemniejszą i najdelikatniejszą ze swoich postaci. Świerszcze cykały, pies szczekał, bryza szumiała w eukaliptusach.

Wreszcie z domu wynurzyła się kobieta w bieli przypominająca zjawę: Carlotta w koszuli nocnej, z długimi siwymi włosami

luźno opadającymi na ramiona. Widziałam, że obok niej idzie jeden z policjantów i trzyma ją za rękę. Za nimi powłóczył nogami Tom, jego białe włosy były potargane od snu. Obydwoje zostali skuci kajdankami.

Dopiero później szczegóły ich zbrodni zostały ujawnione mieszkańcom dzielnicy. Nazajutrz ekipa policyjna spędziła trzy godziny, wywożąc dziesiątki roślin w doniczkach z domu Toma i Carlotty do olbrzymiej białej ciężarówki. Rośliny były liściaste i zielone, nadzwyczaj zdrowe. Całe życie spędziły pod dachem, pielęgnowane światłem kwarcówek, które, jak dowiedzieliśmy się później, czerpały energię z baterii słonecznych połyskujących na pochyłościach dachu. Policjanci mozolnie maszerowali po trawniku tam i z powrotem, pakując wszystko, co mogli, a nawet ładując górę kompostu do trzech grubych czarnych worków. Gdy w końcu wykonali swoje zadanie, zauważyłam, że mała tabliczka przed domem Toma i Carlotty została wyrwana z ziemi i teraz kierowała swoją wiadomość ku niebu: „Ten dom żyje według czasu prawdziwego”.

Jak głosiła plotka, która krążyła po aresztowaniu, Tom i Carlotta od lat po cichu uprawiali marihuanę. Ale niedawno policja otrzymała anonimową informację od któregoś z sąsiadów. Trudno było się nie zastanawiać, dlaczego akurat w tym momencie i czy donosiciel kierował się, przynajmniej częściowo, pewnym innym życiowym wyborem podjętym przez Toma i Carlottę. Nie sposób zaprzeczyć, że przez zwolenników czasu prawdziwego reszta z nas czuła się nieswojo. Zbyt często spali, kiedy my pracowaliśmy. Wychodzili, kiedy wszyscy inni spali. Według niektórych stanowili zagrożenie dla porządku społecznego, byli pierwszymi zwiastunami zbliżającego się rozpadu.

Coraz bardziej martwiłam się o Sylwię.

Tymczasem strużka prawdziwoczasowców zaczęła odpływać z miast i przedmieść. Masowo *zjeżdżali* do prowizorycznych wspólnot zakładanych na pustyniach i w lasach całego kraju. W tych początkowych dniach byli małą i luźno zorganizowaną mniejszością, rozproszonymi cieniami społeczeństwa, pierwszymi zwolennikami rodzącego się ruchu.

Na początku grudnia, trzy tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia, dni rozrosły się do czterdziestu dwóch godzin. Wykryto zmiany w prądach oceanów. Lodowce topniały jeszcze szybciej niż dotychczas. Niektóre dawno uśpione wulkany zaczęły bulgotać i parować. Donoszono, że migrujące wieloryby przestają migrować i zatrzymują się w chłodnych wodach na północy. Kilku ekspertów o skrajnych poglądach dawało nam zaledwie kilka miesięcy życia, ale zostali powszechnie zdyskredytowani jako ekstremiści - jakby nic aż tak ekstremalnego nie mogło się wydarzyć.

Mimo wszystko na dachach w naszej dzielnicy jak zwykle mrugały kolorowe bożonarodzeniowe światełka, a pan Valencia zainstalował na trawniku tę samą naturalnych rozmiarów ruchomą scenę ze żłóbka, którą ustawiał co roku. Lasy choinek rozkwitły na placach targowych i na parkingach przed sklepami spożywczymi. W alejkach drogerii i centrów handlowych jak zwykle płynęły kolędy przeplatane obawami o wpływ świątecznych zakupów na zdrowie.

Matka i ja przez całe popołudnie piekłyśmy pierniczki w bożonarodzeniowych kształtach.

- Dobrze zrobić coś normalnego - powiedziała matka, rozplaszczając ciasto grubym wałkiem.

Kosmyk ciemnych włosów ciągle wymykał jej się zza ucha. Ucieszyłam się, widząc, że jej włosy odzyskały swój zwykły odcień. W końcu ufarbowała całą siwiznę.

Sezon świąteczny przemienił moją matkę w radosną kobietę. Czułam jednak jakąś przesadę w jej zainteresowaniu wyborem idealnej szlachetnej jodły, w drapowaniu łańcuchów i pakowaniu prezentów, w odznaczaniu kolejnych dni w kalendarzu adwentowym. Pod jej wesołością szemrało przerażenie, jakbyśmy po raz ostatni odprawiali każdy z naszych dorocznych rytuałów. Wyczuwałam je w nieustannym przyglądaniu świątecznego bieźnika na stole w jadalni, w sklejanii porcelanowego słoja na mikołajkowe ciasteczka, który od lat leżał potłuczony w szafie. Tkwiło w sposobie, w jaki przykucała na linoleum w FoodPlusie, przeglądając dolną półkę w poszukiwaniu srebrnej posypki, której używaliśmy co roku, lecz która zniknęła już z oferty tego sklepu.

- Świat się zmienia - powiedziała matka. - Ale nie wszystko musi się zmieniać razem z nim.

Kiedy ostatnia partia pierniczków wyszła z piekarnika, wypełniłyśmy nimi całą puszkę dla dziadka, a potem podzieliłyśmy resztę, która miała trafić do nauczycieli i przyjaciół.

- Zanieśmy parę Sylvii - zaproponowałam, pochylając się nad blatem i czując, jak maślana kulka ciasta rozpuszcza mi się w ustach. Ostatnia partia gwiazdek stygła na kratce.

- Lepiej nie - powiedziała matka. Owijała każdą porcję pierniczków w zielony i czerwony celofan, ostrożnie pracując palcami, żeby nie uszkodzić lukru.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Bo to nie jest dobry pomysł.

Nagle oba koty zjawiły się pod kuchennymi drzwiami i zaczęły wściekle drapać w szybę. Miały słabość do słodkości, więc wpuszczaliśmy je do domu, dopiero kiedy miski były umyte, foremki czyste, a rękaw cukierniczy opróżniony i odłożony na miejsce.

- Ale dlaczego? - zapytałam jeszcze raz.

- Nie zrobiłyśmy aż tyle pierniczków, żeby rozdawać je każdemu, kogo kiedykolwiek poznałyśmy.

Matka nigdy nie zabraniała mi rozmawiać z Sylvią ani z innymi prawdziwoczasowcami. Nigdy nie powiedziała tego wprost. Nie musiała. Dobrze rozumiałam, że powinnam trzymać się od nich z daleka, zwłaszcza od Sylvii. I przeważnie się trzymałam.

Ale zrobiło mi się żal dawnej nauczycielki, więc później tego samego dnia, kiedy piekarnik został wyłączony, kuchnia posprzątana, a matka spała na kanapie, wzięłam garść pierniczków ze spiżarni, przewiązałam je czerwoną wstążką i wyszłam z domu.

Długo czekałam pod drzwiami, zanim gałka w końcu się przekręciła i stanęły otworem, ukazując zaspaną Sywlię w fioletowym jedwabnym szlafroku, chudą jak baletnica i opartą o framugę. Włosy miała upięte w luźny rudy kok. Zbliżała się pora mojej kolacji, ale słońce wisiało wysoko na niebie - w naturalnym dniu nie minęło jeszcze południe.

- Wesołych świąt - powiedziałam i wręczyłam jej ciasteczka.

- To bardzo miłe, Julio - odrzekła głosem, do którego nie byłam przyzwyczajona: ciężkim, niskim i zachrypniętym. - Przepraszam - dodała, a potem długo odchrząkiwała. - Wybacz. Z nikim jeszcze dzisiaj nie rozmawiałam.

Dla mnie był to kolejny dowód na jej samotność: jakby zbyt długie odizolowanie od innych istot ludzkich narażało człowieka na utratę nie tylko potrzeby, lecz także umiejętności mówienia.

Miałam wrażenie, że jej ruchy, podobnie jak jej dni, stały się wolniejsze: niespieszne uniesienie dłoni, żeby odsunąć kosmyk włosów, albo miarowe ruchy głowy, kiedy nią kiwała. Zdałam sobie sprawę, że przeżywam prawie dwa dni w czasie jej jednego. I że jeśli tak dalej będzie, Sylvia zostanie wiele miesięcy w tyle - a potem lat.

Zerknęłam nad jej ramieniem i zajrzałam do domu.

- Nie ma pani choinki? - zdziwiłam się.

- Ech - westchnęła - w tym roku nie mam na to wszystko ochoty.

Jej dzwoneczki wietrzne z muszelek cicho zagrzechotały mi nad głową.

- Jeszcze raz dziękuję - dodała, zamykając drzwi. - Dbaj i siebie, Julio. I nie zapominaj ćwiczyć.

Kilka dni później pod dom Sylvii podjechał samochód dostawczy. Dwaj młodzi mężczyźni w grubych zielonych rękawicach energicznie otworzyli klapę, ukazując choinkę, którą ostrożnie stoczyli po rampie. Drzewko było żywe. Rosło w donicy z terakoty i po świętach wkopywało się je w ogródku. Sylvia sama wtaszczyła je do domu. Ustawiła choinkę w oknie salonu i zostawiła tam bez światełek i bombek. Ale lepsze to niż nic. Jej dom wyglądał trochę mniej smutno.

Tego samego dnia wrócili Tom i Carlotta, zwolnieni za kaucją. Czekali na rozprawę.

- Jak myślicie, ile czasu spędzą w więzieniu? - zapytałam wieczorem rodziców.

Dziadek przyjechał na kolację.

- To zależy - powiedziała matka. - Pewnie długo.

- Co takiego zrobili? - zainteresował się dziadek. Pociągnął drżący łyk mleka.



- Powinni zostawić tych biednych ludzi w spokoju - oznajmił ojciec. Nie szedł do pracy, ale był świeżo ogolony i włożył koszulę.

- Nie dowiedziałem się, co zrobili — odezwał się dziadek, mówiąc głośniejszym głosem niż przed chwilą. Włożył do ust duży kawałek łososia i żując go, spojrzął na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. -A ty wiesz, Julio?

- Narkotyki, Gene - wyjaśniła matka. - Uprawiali narkotyki. Dziadek zaczął kaszleć i wypluł coś w serwetkę. Potem uniósł do światła małą ość, cienką jak żarnik.

- Komu robili krzywdę? - zapytał ojciec.

- Nie widziałeś, ile trawy wywlekli z ich domu - powiedziała matka. Spojrzała na mnie. - To nielegalne.

Ojciec wpakował łososia do ust, nie podnosząc wzroku. Matka nalała sobie kieliszek czerwonego wina. Nasza choinka migotała obok i w ciszy, która zapadła, słyszałam bzyczenie światełek: cichutkie metaliczne pobrzękiwanie.

Po odwiezieniu dziadka ojciec został niespodziewanie wezwany do pracy: trudny poród, braki kadrowe w szpitalu.

Przez jakiś czas siedziałyśmy z matką na kanapie i oglądałyśmy w telewizji program o jednym z ostatnich dzikich plemion Amazonii. Niedawno poddało się władzom Brazylii na skraju lasu deszczowego, przekonane, że Brazylijczycy posiadają nie tylko moc światła - od lat samoloty przecinały plemiennie niebo -lecz także władzę nad słońcem i księżycem.

Matka poruszyła się pod kocami. Była ciemna noc. W domu zrobiło się zimno.

- Chyba powinniśmy więcej ze sobą rozmawiać - powiedziała. Zesztywniałam.

- Co masz na myśli? - zdziwiłam się.

Skierowała pilota na telewizor i głos zamilkł.

- Co z chłopcami? - zapytała.

- Jak to co? - odparłam.

Spojrzała na mnie, a ja odwróciłam wzrok. Cynamonowa świąteczna świeca migotała na stoliku do kawy i wpatrzyłam się w jej płomień.

- Nigdy nie słyszałam, żebyś opowiadała o chłopcach ze szkoły.

- Dlaczego miałabym o nich opowiadać? - zapytałam.

Od jakiegoś czasu nie widziałam Setha Moreno i bałam się, że mógł zniknąć na dobre. Michaela słyszała, że po śmierci matki przeprowadził się z ojcem do kolonii prawdziwoczasowców.

- Czy ty w ogóle rozmawiasz z chłopcami?

- Mamo - powiedziałam. - Dziwnie się zachowujesz.

- Interesuje cię któryś z nich? - drażyła.

Na całym świecie ludzie robili szalone rzeczy. Wykorzystywali nowe szanse, podejmowali ryzyko. Ale nie ja. Ja nadal byłam spokojna. Mocno strzegłam swoich sekretów.

- Naprawdę jestem zmęczona - powiedziałam. - Idę się położyć.

- Zaczekaj - zatrzymała mnie matka. - Zostań tu ze mną jeszcze trochę. Możemy porozmawiać o czymś innym. - Zamilkła. - Dobrze?

Nie umiałam już sobie przypomnieć, jak wyglądały oczy mojej matki przed spowolnieniem. Czy zawsze były takie przekrwione? Te szare poduszki pod dolnymi rzęsami z pewnością były nowe. Matka nadal nie mogła spać, ale być może chodziło po prostu o wiek, o stopniową zmianę, której dotychczas nie zauważałam. Czasami czułam palącą potrzebę przejrzenia jej niedawnych zdjęć i namierzenia chwili, w której zaczęła tak marnie wyglądać.

Część prawdziwoczasowców uparcie twierdziła, że czas zaczął wpływać na nich inaczej niż na resztę z nas, że ciało starzeje się mniej gwałtownie, gdy funkcjonuje zgodnie z czasem prawdziwym, a nie zegarowym. Pomysł zapuszczał korzenie w Hollywood jako środek zapobiegający starzeniu się znany w tym świecie pod nazwą „kuracji wolnoczasowej”. Miało to coś wspólnego z metabolizmem. Czasami się zastanawiałam, czy nie pomogłoby to także mojej matce.

Później, kiedy w końcu poszłam do swojego pokoju i wyjrzałam przez okno, z zadowoleniem odkryłam, że Sylvia ubrała choinkę. Dziesiątki maleńkich białych światełek połyskiwały na gałązkach.

Sylvia zaciągnęła zasłony, pozostawiając tylko wąską szczelinę. Przez teleskop zobaczyłam, że jest w domu. Była elegancką spódnicą, otwartymi ustami, pasmem jasnorudych włosów przemykających za oknem. I dla odmiany nie była sama: w moim polu widzenia szybko pojawiło się męskie ramię z rękawem podwiniętym do łokcia. Patrzyłam, jak wsuwa na czubek choinki połyskliwą srebrną gwiazdę.

Mężczyzna objął ramieniem szczupłą talię Sylvii. Szybko się pocałowali. Z ulgą zobaczyłam jej uśmiech.

Samochód Sylvii stał samotnie na podjeździe, jakby mężczyzna przybył znikąd, pojawił się w jej salonie za sprawą jakichś czarów.

Patrzyłam chwilę dłużej.

I wtedy to się stało: kiedy się odwrócił, zdałam sobie sprawę, że znam te usta. Znałam ostry zarys tej szczęki, długi łuk linii włosów. Rozpoznałam tę niebieską koszulę — nadal dokładnie pamiętałam, jak wyglądała, kiedy była zupełnie nowa, w Dniu Ojca w barze ze stekami, wykrochmalona, wyprasowana i ułożona w srebrnym pudełku z domu towarowego z fioletową laurką na wierzchu, zrobioną własnoręcznie przeze mnie.

Licząca pięć tysięcy lat historia sztuki i przesądów mogłaby sugerować, że to właśnie ciemność jest tym, co nas dręczy najbardziej, że nocą ludzki umysł staje się najbardziej podatny na niepokoje. Ale dziesiątki eksperymentów przeprowadzonych po rozpoczęciu spowolnienia ujawniły, że najwięcej bałaganu w naszych nastrojach zrobiła nie ciemność, lecz światło.

Doba nadal się rozciągała, więc stanęliśmy w obliczu nowego zjawiska: niektóre dni zegarowe zaczynały się i kończyły, zanim słońce zdążyło wzejść - albo zaczynały się i kończyły, zanim zdążyło zajść.

Naukowcy od dawna byli świadomi negatywnego wpływu długotrwałego światła na chemiczną równowagę ludzkiego mózgu. Na przykład liczba samobójstw zawsze była rekordy nad północnym kołem podbiegunowym, gdzie co lato gwałtownie mnożyły się własnoręcznie zadane rany postrzałowe, gdyż nieustanne światło doprowadzało niektórych ludzi do szaleństwa.

Kiedy długość dni *zbliżyła* się do czterdziestu ośmiu godzin, ci z nas, którzy mieszkali na niższych szerokościach geograficznych, też zaczęli cierpieć wskutek uporczywego światła.

Wkrótce badania udokumentowały wzrost impulsywności podczas długich dni. Miało to coś wspólnego z serotoniną - wszyscy byliśmy trochę szaleni. Podczas każdego okresu jasności kwitł hazard w internecie. Istnieją dowody na to, że największe transakcje giełdowe przeprowadzano raczej w jasnych niż w ciemnych dniach. Liczba morderstw i innych przestępstw z użyciem przemocy także szła w górę, kiedy nasza półkula była w słońcu - bardzo szybko odkryliśmy niebezpieczeństwa białych nocy.

Częściej podejmowaliśmy ryzyko. Rzadziej poskramialiśmy żądze. Coraz trudniej było oprzeć się pokusie. Niektórzy z nas podejmowali decyzje, których w innych okolicznościach by nie podjęli.

I wolę myśleć, że właśnie tak zaczęła się historia z moim ojcem i Sylwią. Wyobrażam sobie, jak ojciec wraca do domu ze szpitala po północy, co często mu się zdarzało, podczas jednej z długich białych nocy i zauważa Sylwię pracującą w ogródku w słomkowym kapeluszu na głowie albo czytającą książkę na trawniku, podczas gdy reszta z nas próbuje spać. Może do niego pomachała, kiedy wysiadł z samochodu. Może chwilę rozmawiali. Może były dziesiątki takich nocy, obydwójce przymykali powieki i patrzyli na słońce, a zasłony we wszystkich oknach przy ulicy były zaciągnięte na noc. Może w tym nadmiarze światła obydwójce poczuli się trochę bardziej lekkomyślni niż zwykle, trochę mniej skłonni do myślenia przed działaniem.

W tym momencie przerwałaby mi matka. „Nie możesz zrzucić całej winy na spowolnienie - powiedziałyby. - Ludzie ponoszą odpowiedzialność za to, co robią”.

Nazajutrz rano *ojciec* wszedł do domu, jakby był tym samym człowiekiem, którego znałam od zawsze. Siedziałam przy stole, a przede mną stała miseczka jogurtu. Matka nalewała kawę. Nie powiedziałam jej, co wiem. Na początku nikomu nie mówiłam.

- Dzień dobry - przywitał się.

Za oknem nadal było ciemno. Ojciec wpuścił do domu chłód. Wylał nogi o wycieraczkę. Zawiesił klucze na haczyku w kuchni. Pocałował matkę w policzek, dotknął mojej głowy.

- Gotowa na test z matematyki?

- Był wczoraj - powiedziałam. - Rany... Mieszałam jogurt w miseczce. Nie mogłam jeść.

- Racja - zreflektował się. - Przepraszam. Straciłem poczucie czasu.

W tamtej chwili go nienawidziłam: wkroczył do naszego domu w swoim białym fartuchu lekarskim, jakby wcale go nie włożył chwilę przed otwarciem drzwi.

- Jak było w pracy? - zapytała matka. Wyglądała staro, kiedy tak siedziała przy stole w szlafroku, bez makijażu.

- W porządku - powiedział. Oparł się o ścianę. Obierał kciukiem pomarańczę. To było najgorsze: wydawał się odprężony. - Jestem wyczerpany - dodał. - Muszę się położyć.

Znowu zostałam sama z matką. Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy.

Potem przez wiele dni w mojej głowie krążyło stado magicznych myśli. Na przykład z jakiegoś powodu wydawało mi się zaskakujące, że pomimo tego, o czym się dowiedziałam, godziny nadal mijają. To, że czas nie stanął w miejscu, było wręcz wstrząsające. Ale nasze życie *toczyło* się dalej. Ojciec przychodził i wychodził. Nasze serca nadal biły. Jak zwykle chodziłam do szkoły i codziennie miałam nadzieję, że Seth Moreno wróci. Świętowaliśmy Boże Narodzenie, a świat ciągle się jeszcze obracał.

Minęło sześć dni i mieliśmy sylwestra.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego spowolnienie już na początku nie wpłynęło na orbitę Ziemi ani dlaczego ostatniego dnia tamtego toku znaleźliśmy się mniej więcej w tej samej pozycji w układzie słonecznym co rok wcześniej tego samego dnia. Ziemia jak zwykle wykonała swój obrót wokół słońca, swoją czterystumiliardową pętlę, jedną z bardzo nielicznych rzeczy tamtego roku, która naprawdę pozostała na dawnym kursie.

W sylwestra słońce w Kalifornii weszło o trzeciej nad ranem, a siedemnaście godzin później, o ósmej wieczorem, nadal musieliśmy mrużyć oczy, kiedy matka przekręcała kluczyk w stacyjce i wycofywała z naszego podjazdu. Jechaliśmy do domu dziadka, gdzie miałam spędzić noc, żeby rodzice mogli beztrąsko wziąć udział w przyjęciu sylwestrowym.

- Mogłam zostać sama w domu - powiedziałam. Fioletowy worek marynarski niedbale leżał na moich kolanach.

- Już o tym rozmawialiśmy - ucięła matka. - Byłoby inaczej, gdybyś miała dokąd pójść.

- Mogłam pójść do Michaeli - odparłam.

- Wiesz, że nie wolno ci chodzić do domów, w których nie ma rodziców.

Zresztą Michaela w zasadzie mnie nie zaprosiła. „Możesz przyjść, jeśli chcesz” - powiedziała dzień wcześniej na treningu.

Oddalałyśmy się od wybrzeża, jadąc na zachód dwupasmówką pod szerokim, płonącym niebem. Była dwudziesta pierwsza godzina słońca. Ojciec siedział jeszcze w pracy - a przynajmniej tak twierdził - ale wieczorem zamierzał spotkać się z matką już na przyjęciu. Jechałyśmy srebrnym kombi, chociaż w późniejszym raporcie policyjnym napisano, że niebieskim.

-Jakie jest twoje noworoczne postanowienie? - zapytała matka, kiedy przejeżdżałyśmy obok toru wyścigowego.

Przed wyjściem z domu stuknęliśmy się kieliszkami: w moim był musujący cydr, a w jej - szampan.

- Nikt nie dotrzymuje noworocznych postanowień - powiedziałam.

Za oknem samochodu przemykała laguna.

- Mówisz jak twój tata.

Matka była w nastroju do rozmowy, promieniała w czarnej sukience bez ramiączek. Od początku spowolnienia traciła na wadze, więc teraz wcisnęła się w jedną z kreacji, których nie nosiła od lat.

- Dlaczego jesteś taka zrzędliva? - zapytała.

Przez cały tydzień unikałam ojca. Mówienie o nim wydawało mi się ryzykowne, jakby kruchość dwóch T w słowie „tato” mogła jakimś cudem przekazać moją złość matce albo w jakiś sposób ujawnić to, co widziałam.

- Jednym z moich postanowień jest mniej się przejmować - oświadczyła. Zerknęła na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Przygładziła brew koniuszkiem palca. - I w większym stopniu żyć chwilą.

Minęliśmy ogromny biały dom na wzgórzu, gdzie goście zaproszeni na inne przyjęcie wysiadali z czystych, drogich samochodów. Gdy czekałyśmy na czerwonym świetle, dwaj mężczyźni w smokingach weszli frontowymi drzwiami, a młoda blondynka w złotej sukni koktajlowej migotała, paląc na podwórzu. Jej szpilki zatapiały się w trawniku.

Samochód za nami zatrąbił. Światło zmieniło się na zielone. Matka nie spała od wschodu słońca poprzedniej nocy, a jak dowiedziono, długie okresy jasności mogą niekorzystnie wpłynąć na szybkość reakcji. Niektóre badania pokazały, że efekt dorównuje mniej więcej skutkom wypicia dwóch drinków.

- Ale mam jeszcze ważniejsze postanowienie - podjęła, wciskając gaz. - Słuchasz?



Potaknęłam.

- Zamierzam znowu zacząć grać.

Pokonałyśmy zakręt, przejeżdżając obok zbiornika od tygodni zapchanego martwymi ptakami. Poziom wody był niższy niż zwykle i niektórzy obwiniali spowolnienie o brak deszczu oraz o obnażone ściany zbiornika odsłaniające warstwy czarnego błota - z jakiegoś powodu niestosowne - i splątane korzenie pobliskich drzew, nieprzywykłe do życia bez wody.

- Mówię poważnie - dodała. Jej kryształowe kolczyki zakołysały się w powietrzu, kiedy odwróciła głowę w moją stronę. -Zadzwoiłam do mojego dawnego agenta, i w ogóle.

Jej nagie ramiona delikatnie połyskiwały w świetle, musnięte nowym pudrem brązującym, którym przyprószyła skórę. Kiedy się uśmiechnęła, na jednym z jej przednich zębów mignęła plamka szminki.

I właśnie wtedy coś sobie uświadomiłam: może ona już wie o Sylvii.

Jechałyśmy jeszcze kilka minut. Matka umilkła. Droga się zwężyła. Słońce świeciło nam w oczy. Pamiętam drzewa śmigające za oknem, ich czarne gałęzie na tle jasnego błękitnego nieba.

Później opisała to uczucie jako coś w rodzaju zamroczenia, nagłe zwięzienie się pola widzenia, ale w tamtej chwili mówiła bardzo niewiele. Potarła czoło. Energicznie zamrugła.

- Nie czuję się najlepiej - powiedziała.

Zaledwie chwilę później straciła przytomność. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak ktoś mdleje. Pamiętam nagłe zwiotczenie jej ciała, opadnięcie głowy, zsuniecie się rąk z kierownicy. Później ustalono, że jechałyśmy z prędkością siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę.

Naoczni świadkowie zeznali, że widzieli brodatego *mężczyznę* w długiej szacie, który wykrzykiwał przy drodze wersety z Pisma Świętego. Wedle ich relacji kombi nadjechało z zachodu mniej więcej dwadzieścia pięć po ósmej wieczorem. Opinie na temat prędkości pojazdu w chwili zderzenia były różne, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że mężczyzna nagle rzucił się na jezdnię, zdecydowany na samobójstwo albo cud. Co najmniej sześciu innym samochodom udało się go ominąć. Nasz był siódmy.

Widziałam go tylko przez chwilę i w tym samym czasie sięgałam po kierownicę, która nagle wyswobodziła się z uścisku mojej matki, więc nie jestem pewna, czy mi się nie przywidziało, ale podobno w chwili zagrożenia czas spowalnia - zauważa się więcej. W każdym razie pamiętam oczy tego mężczyzny w chwili, kiedy wyraz jego twarzy zmienił się z czegoś w rodzaju pewności w strach, a potem w zwierzęcy grymas - w ostatniej chwili ten człowiek odwrócił się i zasłonił głowę rękami.

Pamiętam głucho uderzenie o maskę, a potem pisk hamulców, bo matka wdepnęła pedał - była nieprzytomna niespełna dziesięć sekund - i na jej twarz powróciło życie. Mój pas bezpieczeństwa zaskoczył. Samochód się zakołysał. Stanęłyśmy. Poczułam, jak nagły powiew uderza mnie w policzki razem z towarzyszącym mu smrodem nawozu z pobliskich boisk do gry w polo. Przednia szyba zniknęła. Z ramy zwisała porwana zasłona z hartowanego szkła. Ale nie było na niej śladu krwi.

Matka ciężko oddychała. Ktoś jęczał. Cekiny ze szkła połyskiwały na moich dżinsach.

- Nic ci nie jest? - zapytała matka. Obiema rękami chwyciła mnie za ramiona. Cienka strużka krwi spływała jej wzdłuż linii włosów i tworzyła kałużę w uchu.

- A tobie?

- Co się stało?

Ze stojącej niedaleko furgonetki Volkswagen wyskoczyli dwaj surferzy w sandałach plaskających o asfalt i zsuniętych do pasa piankowych kombinezonach. Biegiem minęli nasz samochód i popędzili w stronę miejsca na drodze tuż przed nami, gdzie przykucnęli i zaczęli się naradzać. Za nimi jakiś człowiek, który chwilę wcześniej uprawiał jogging, zaczął kierować ruchem.

W oddali zawyły syreny.

Matka wychyliła się przez okno i spojrzała w kierunku miejsca, w którym przykucnęli surferzy i na które co chwila zerkał biegacz.

- O Boże - powiedziała, przyciskając palce do ust. - O Boże.

Surferzy częściowo zasłaniali mi jego twarz, ale widziałam dolną połowę ciała, rozłożone nogi, ręce skierowane dłońmi do góry, wszystko całkowicie nieruchome. Pamiętam też, że jedno kolano było wygięte w odwrotną stronę.

I wtedy powzięłam postanowienie, albo raczej coś prostszego - złożyłam uroczystą obietnicę: jeśli ten człowiek przeżyje, już nigdy więcej nie będę na nic narzekała.

Rozrzucone za nim pomarańczowe ulotki wzbily się w powietrze, odlatując niczym nasiona dmuchawca. Jedna trafiła do naszego samochodu przez wybitą szybę i wylądowała mi na kolanach. To była kserokopia kserokopii odręcznie napisanej notki: „Uwaga wszyscy grzesznicy! Rozbrzmiewają trąby i nadszedł koniec. Żałujcie za grzechy albo stańcie w obliczu gniewu Boga”.

Dwa radiowozy i wóz strażacki wyjechały z zakrętu i zatrzymały się na poboczu. Pojawiły się dwie karetki z migającymi światłami. Napływ łez rozmazał mi obraz. Oto obcy ludzie pędzili na pomoc obcemu człowiekowi.

W raporcie policyjnym napisano, że mężczyzna został zabrany do szpitala Saint Anthonys, trzy kilometry od miejsca

wypadku. Później tej samej nocy czternastu członków samobójczej sekty wwieziono tymi samymi drzwiami na czternastu osobnych noszach do izby przyjęć. Byli nieprzytomni i płytko oddychali, ich paznokcie już robiły się sine od pływającego w żyłach arszeniku. Przekonani, że świat się kończy, zatruli wino w swoich kieliszkach, gdy zegar wybił północ. Podczas gdy inni całowali się i pili szampana, tych czternaścioro umierało przy dźwiękach *Auld Lang Syne*.

Z tyłu karetki młody ratownik medyczny opatrzył ranę mojej matki, a potem obejrzał jej źrenice, szukając oznak wstrząsu mózgu. Policjantka z notesem na spirali zadawała pytania.

- Z jaką prędkością pani jechała?

- Czy on nie żyje? - zapytała matka.

Bez przerwy się rozglądała. Na asfalcie wykiełkowały pomarańczowe słupki. Pas żółtej taśmy ostrzegawczej łopotał na lekkim wietrze. Nasz samochód stał zastygły na jezdni, lusterka połyskiwały w słońcu.

- Pracują nad nim - powiedziała policjantka. - Sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę? Pięćdziesiąt?

- Ale czy on umrze? - Sukienka mojej matki coraz bardziej zsuwała się z piersi. Na czole, obok rany, tworzył się ciemny siniak. Matka uderzyła głową o kierownicę. - Był przytomny? -zapytała.

- Robią wszystko, co w ich mocy, proszę pani.

Po latach poznałam następujące dane: przed spowolnieniem pieszy uderzony przez pojazd jadący z prędkością sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę miał jedną szansę na dziesięć, że przeżyje zderzenie. Po spowolnieniu szanse na przeżycie malały o połowę. Nie tylko piłki bejsbolowe leciały szybciej i uderzały mocniej - każde ciało w ruchu było coraz gwałtowniej ciągnięte ku ziemi.

W końcu matkę zabrano do szpitala na badania. Ratownicy podejrzewali wstrząs mózgu. Ja, bez żadnych obrażeń, czekałam na ojca na tylnym siedzeniu radiowozu.

Tymczasem zmierzono ślady naszego hamowania. Przyjechała laweta. Ktoś zmiotł szkło. Lekki wietrzyk przybrał na sile, a eukaliptusy rosnące po obu stronach drogi zaczęły się wyginać w powietrzu, i rozkołysane odsłaniały świeży sierp białego księżyca wiszący nisko nad jasnym horyzontem.

Kiedy ojciec otworzył drzwi radiowozu, niebo nadal było błękitne, a słońce wisiało wysoko.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Nie uderzyłaś się w głowę, prawda?

- Nie - powiedziałam.

Wyobraziłam sobie, że przyjechał od Sylvii. Wyczułam pospieszne rozstanie na werandzie, szybki pocałunek w korytarzu, Sylwię machającą na pożegnanie i jednocześnie ściągającą włosy w kok. Tak to sobie wyobrażałam. Ale w sumie niczego nie wiedziałam na pewno. Może rzeczywiście przyjechał z pracy.

- Nie kręci ci się w głowie? — zapytał. Zaprzeczyłam.

Obejrzał jedno moje oko, potem drugie, a ja przyjrzałam się jemu - w poszukiwaniu dowodów. Ale kołnierzyk leżał prosto, szary krawat był ciasno zawiązany. Szpitalny identyfikator zgrabnie przylegał do kieszonki na piersi.

- Chodźmy - powiedział, biorąc mnie za rękę.

Kiedy przyjechaliśmy, dziadek właśnie realizował jakiś swój plan. Wszystkie szafki były pootwierane i opróżnione. Z półek zniknęły pamiątki, a z gzymsu nad kominkiem bibeloty. Spiżarnia została wymieciona do czysta, a szuflady w kuchni wisiały wysunięte, opadając ku linoleum.

- Szybko wam poszło - powiedział na mój widok.

Siatkowe drzwi za moimi plecami odbiły się od framugi. Zdecydowanym ruchem przesunął zasuwę. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ją zamykał.

- Wszystko gra? - zapytał.

- Chyba tak - odparłam.

Na zewnątrz opony samochodu ojca zmeły żwir na podjeździe. Pojechał do szpitala, żeby być przy matce.

- Nawet cię nie drasnęło - stwierdził dziadek. Jego włosy, mlecznobiałe, sterczały w górę jak kępy trawy. Miał na sobie zestaw, który nazywał „ubranie roboczym”: spłowiałe dżinsowe ogrodniczki i zieloną flanelową koszulę. - Jeśli jesteś głodna, przygotuję ci tuńczyka.

Na zewnątrz nadal było jasno, ale w domu dziadka panowała ciemność. Zaciągnął zasłony, a wewnątrz było słabo oświetlone kilkoma żółtymi lampkami.

Szurając nogami, dziadek ruszył przez półmrok ku jadalni, gdzie na wszystkich płaskich powierzchniach leżała rozłożona zawartość całego domu. Ciemny blat stołu usiany był skarbami ułożonymi w rzędach, jakby przeznaczono je na sprzedaż. Rząd kartonowych pudeł, w połowie zapełnionych, czekał na podłodze.

- Wybierasz się dokądś? - zapytałam.

Zajął miejsce przy stole i zaczął przeglądać stertę starych pocztówek.

- Czy się dokądś wybieram? - zapytał. Spojrzał na mnie. Jego oczy były słabe i zażawione. Znikający błękit. - Dokąd miałbym się wybierać?

Na stole stała jego kolekcja zabytkowych butelek po coli, szkiełek znalezionych na plaży i pieniążkowców. Należący do babci srebrny serwis do herbaty, zmatowiały od braku polerowania, stał otoczony zespołem zakurzonych figurek porcelanowych,

obok których spoczywał ozdobny nóż z Alaski z rączką wyrzeźbioną w białym zębie wieloryba. Na drugim końcu stołu góry monet z edycji limitowanych połyskiwały w swoich pudełeczkach zapakowane osobno w folię, nigdy niedopuszczone do obiegu.

- No więc co robisz? - zapytałam.

Mocniej przycisnął szkło powiększające do dolnej częśc'i wyblakłej pocztówki. Jego oczy od lat zachodziły mgłą, pozostawiając mu patchworkowe obrazy.

- Zrób mi przysługę - powiedział, stukając w pocztówkę grubym palcem wskazującym. - Przeczytaj, co tu jest napisane.

Zdjęcie zostało sztucznie pokolorowane, wzgórze na zielono, a dachy na nienaturalną czerwień.

- Childer, Alaska - przeczytałam na głos. - 1956.

- Widzisz to wzgórze? - zapytał, tropiąc wypukłość w ziemi, która górowała nad grupką domów i wieżyczek. - Rok później cały ten łańcuch osunął się w czasie burzy.

W jakimś odległym zakątku dzielnicy sztuczne ognie zaczęły gwizdać i wybuchać - był przecież sylwester. Światło dnia nadal jaśniało pod krawędzią zasłon. W środku powietrze pachniało kurzem i listerine.

- Kiedy to się stało, trwało akurat wesele - ciągnął. - Dwadzieścia trzy osoby zostały pogrzebane żywcem.

Z osiemdziesięciu sześciu lat spędzonych na tej planecie dziadek przeżył dwa na Alasce, gdzie pracował w kopalniach złota, a później na różnych kutrach. Ale te dwa lata napuchły w jego pamięci jak gąbka, przysłaniając większość pozostałych. Całe dziesięciolecie minęły w Kalifornii, nie dając początku ani jednej wartościowej anegdocie.

- Miałem szczęście - powiedział. - Stałem na samym końcu tego kościoła. Ale panna młoda i pan młody, ich rodzice, bracia i siostry pana młodego, pastor... Oni wszyscy zostali

porwani. - Pokręcił głową. Z jego ust wydobył się cichutki gwizd. - Psia krew - powiedział. Poglaskał pocztówkę koniuszkiem palca. - A widzisz ten dom? - podjął. - Brat pana młodego pracował na kutrze łowiącym łososie. Był akurat sezon na łososia, więc nie przyplłynął na ślub. Z całej rodziny ocalał tylko on. Potem powiesił się w tym domu.

Krzesło skrzypnęło pod moim ciężarem. Słyszałam tykanie zegarów. Dziadek miał całą kolekcję zegarów, wyłącznie zabytkowych, w tym dwa dorównujące mu wzrostem, które biły co godzinę i zawsze nierówno.

- Wygląda na to, że kiedy byłeś na Alasce, wydarzyło się mnóstwo złych rzeczy - skwitowałam.

Roześmiał się i potarł różowe zmarszczki na czole.

- Tego bym nie powiedział - odparł. - Było ich nie więcej niż w innych miejscach.

Obracał pocztówkę w dłoni. Na odwrocie była czysta, nie licząc jaskrawoczerwonej smugi w rogu.

- Leci ci krew? - zapytałam. Przeraziła mnie łatwość, z jaką zaczynał krwawić.

Obejrzał swoje palce.

- Cholera - powiedział.

Powoli wstał i poczłapał do kuchni.

W ostatnich latach jego skóra zrobiła się cienka, krew krzepła wolno. Rana zrobiona krawędzią kartki mogła krwawić wiele minut. Kiedy trzymał palec pod zimną wodą, przeglądałam zawartość pudeł stłoczonych na podłodze w jadalni. Były w nich albumy z czarno-białymi zdjęciami przedstawiającymi moich dziadków w eleganckich kapeluszach i płaszczach obszytych futrem, mojego ojca jako dwulatka, a potem w stroju bejsbolisty, opartego o rower obok olbrzymiego zaokrąglonego błotnika. Był tam cały album ze zdjęciami przedstawiającymi mnie, jedyną



wnuczkę, od dnia moich narodzin do najświeższego zdjęcia ze szkoły, na którym miałam przymknięte oczy, na granicy mrugnięcia, przekreślające cały czas, jaki poświęciłam na wybór kremowego moherowego sweterka włożonego tamtego dnia.

I wtedy je zobaczyłam: w zakurzonym pudełku po butach leżały cztery grube sztabki złota upakowane razem jak tabliczki czekolady.

- Hej - odezwał się dziadek. Kciuk miał już owinięty przekrzywionym plastrem. - Nie powinnaś była do nich zaglądać.

Wyjęłam z pudełka jedną sztabkę. Była zimna i ciężka mi w dłoni. Dziadek wziął ją ode mnie i odłożył na miejsce.

- Ale skoro już zajrzałaś, powiem ci coś, o czym powinnaś pamiętać. - Zamknął pudełko i odsunął je w kąt. - Złoto to najpewniejsza rzecz na ziemi. Lepsza niż dolary, lepsza niż banki.

Poczułam, że za zasłonami w końcu zachodzi słońce. Różowawa luna przesączała się przez szpary. Ciemność miała potrwać co najmniej do następnego wieczoru.

- Widzisz, to prawda - powiedział dziadek. - Z początku nie wierzyłem. Ale to się dzieje naprawdę.

Wyobraziłam sobie, że w innych domach strzelają korki, musuje szampan, stożkowe czapeczki lądują na głowach. Słyszałam, że Hanna pojechała do Palm Springs z rodziną Tracey. Zastanawiałam się, co w tej chwili robi Seth Moreno.

- I nikt nie zwraca na to uwagi - ciągnął dziadek. - Każą nam patrzeć na zegarki i myślą, że to rozwiązuje problem, ale nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby przygotować się na to, co nadciąga. - Ciężko westchnął i podniósł się z krzesła. - Pomyśl o ptakach - powiedział. - Ptaki zawsze były posłańcami. Po potopie to gołębica przyniosła gałązkę oliwną, która uświadomiła Noemu, że kataklizm się skończył. Dzięki temu wiedział, że może opuścić arkę. Zastanów się nad tym. Nasze ptaki nie trzymają żadnych gałązek. Nasze ptaki umierają.

Spojrzał w stronę starej strzelby myśliwskiej, trzymanej w szafie w korytarzu. Była pokryta kurzem, który dziadek stał wierzchem dłoni. Nie korzystał z tej strzelby od lat.

- Następnym razem, jak u mnie będziesz, przypomnij mi, żebym nauczył cię strzelać.

- Strzelać, dziadku? - zdziwiłam się.

- Mówię poważnie - zapewnił mnie. - Bo to poważna sprawa. Martwię się o nas wszystkich.

Później w wielkim telewizorze dziadka obejrzałam transmisję z wcześniejszego pokazu sztucznych ogni w Tokio, Nairobi i Londynie, podczas gdy Nowy Rok sunął na zachód przez całą planetę.

Wcześniej odbyły się dyskusje na temat terminów. Praktycznie rzecz biorąc, byliśmy dzień do tyłu dzięki tygodniom spędzonym w oderwaniu od czasu zegarowego. Ale szybko znaleziono rozwiązanie, na które przystało większość rządów na świecie: najzwyczajniej przeskoczyliśmy trzydziesty dzień grudnia, nadwyżkę, dając jednorazowego susa w celu nadrobienia straconego czasu.

Między pokazami sztucznych ogni w wiadomościach telewizyjnych donoszono, że niektórzy przywódcy religijni zgromadzili swoich wiernych w kościołach, bojąc się albo mając nadzieję, że ostatni dzień roku spowolnienia może również oznaczać koniec tego świata.

Zasnęłam w fotelu przed północą. Śniłam o krwi i potłuczonym szkłe, o gwałtownie hamującym samochodzie. Wiele godzin później obudziłam się skąpana w niebieskim świetle telewizora, z zaciśniętymi zębami i karkiem zeszywniałym od podłokietnika. W końcu zaszło słońce i dziadek poszedł do łóżka. Kiedy spałam, zmienił się rok. Nowy rozpoczął się w ciemności. W tamtych dniach wszystko wydawało się możliwe. Wszelkie

prognozy mogły się spełnić. A to niepokoiło mnie w zupełnie nowy sposób: ta niepewność, co przyniesie następny rok.

Rano rodzice zabrali mnie po drodze ze szpitala do domu. Nie było żadnych wieści na temat pieszego.

Matka nadal miała na sobie czarną suknię, teraz pogniecioną. Kryształowe kolczyki trzymała w dłoni. Szpitalna bransoletka dyndała jej na nadgarstku. Ojciec delikatnie zaprowadził ją do domu, jakby miała przepaskę na oczach. Jedną ręką włączał światło, a drugą oparł na dole jej pleców.

Siniak zniknie. Rana się zagoi. Kości w jej ciele były nietknięte. Z pomocą rezonansu magnetycznego lekarze przeszukali jej mózg w poszukiwaniu ukrytych zniszczeń i żadnych nie znaleźli. Ale ta maszyna nie mogła przeszukać jej umysłu. A wtedy syndrom był jeszcze prawie zupełnie nieznan.

Na początku nazywaliśmy to chorobą grawitacyjną, później syndromem spowolnienia, a w końcu przyszedł czas, kiedy wystarczyło wspomnieć o „syndromie” i wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Objawy były liczne i zróżnicowane, ale powiązane ze sobą: zawroty głowy, mdłości, bezsenność, zmęczenie, a czasami - jak w wypadku mojej matki - omdlenia.

Chorowali tylko niektórzy ludzie. Jakiś mężczyzna potykał się na ulicy. Jakaś kobieta przewracała się w centrum handlowym. U części małych dzieci objawy obejmowały obfite krwawienie z dziąseł. Niektóre ofiary były tak słabe, że całymi dniami nie wstawały z łóżek. Dokładna przyczyna pozostawała nieznana.

Przez pierwszy tydzień po wypadku matka nie chodziła do pracy. Całymi dniami polowała na informacje o tamtym mężczyźnie. Rana na jej czole pokryła się strupem, a potem zaczęła się zablizniać. Zawroty głowy pojawiały się i znikwały. Matka powoli chodziła po domu, zawsze trzymając się poręczy albo ściany. Gdy tylko poczuła się trochę lepiej, skupiała uwagę na pieszym.

Dzwoniła na policję, ale nie udzielono jej żadnych informacji. Posyłała kwiaty „dla mężczyzny uderzonego w sylwestra przez samochód na Samson Road”. Błagała ojca, żeby się dowiedział, czy ten człowiek przeżył, ale ojciec niechętnie podchodził do angażowania się w tę sprawę.

- W końcu i tak się dowiemy - mówił.

Matka spała jeszcze mniej niż dotychczas, nie mogła usnąć zarówno w ciemne, jak i w jasne noce. Czasami budziłam się w kompletnych ciemnościach i zastawałam ją przy komputerze, przeglądającą dziwne lokalne strony internetowe i policyjne błogi. Miała przekrwione, załzawione oczy, białe światło ekranu przemieniało jej twarz w nieładną płaskorzeźbę. Podczas jednej z takich nocy znowu straciła przytomność. Spadła z krzesła i przygryzła sobie język, który później krwawił.

Przestała prowadzić samochód i coraz mniej jadła. Zastanawiałam się, jak wyglądały objawy poprzedzające śmierć matki Setha Moreno. Wiedziałam, że to dwie różne choroby, ale czasami się martwiłam, że skutek będzie taki sam. Nikt nie wiedział, do czego może doprowadzić syndrom spowolnienia.

Dzień, w którym Seth Moreno wrócił do szkoły, rozpoczął się jasnym, bezchmurnym porankiem.

Jego ciemne włosy trochę urosły i miał nowy zwyczaj odsuwania grzywki kciukiem, ale poza tym wyglądał tak samo: miał ten sam wyraz twarzy, ten sam powolny chód, tę samą deskorolkę pod pachą. Nie widziałam go, odkąd umarła mu matka.

Poczułam łaskotki w brzuchu, kiedy rano zobaczyłam go na przystanku. Zastanawiałam się, czy dostał moją kartkę.

Docierały do mnie różne plotki na temat miejsca jego pobytu po śmierci matki: zamieszkał z kuzynem w Arizonie albo

przeniósł się do osady prawdziwoczasowców w Oregonie, albo trafił do szkoły z internatem we Francji.

Ale oto zjawiał się na przystanku. Tamtego ranka do nikogo się nie odzywał. Po prostu stał sam, jak zawsze. Chciałam z nim porozmawiać, ale ostatecznie nic nie powiedziałam. Chciałam być obok niego, ale trzymałam się z daleka.

Na matematyce znowu wpatrywałam się w milczeniu w tył głowy Setha Moreno.

Tymczasem zmieniały się oceany, Prąd Zatokowy zwalniał, a Gabby ogoliła głowę.

Pewnego popołudnia zadzwoniła i powiedziała, żebym do niej wpadła. Słońce już zaszło. Niebo było czarne i bezchmurne. W drodze do jej domu minęłam grupkę młodszych dzieci bawiących się w duchy na cmentarzu, którym była ulica: niektóre kucaly za zaparkowanymi samochodami albo za pniami drzew, a inne szukały ich parami, trzymając się za rękawy i szepcząc wśród cieni.

- Patrz - powiedziała Gabby.

Byłyśmy w jej pokoju. Oddzieliła z włosów gruby, ufarbowany na czarno kosmyk i przystawiła nożyczki tuż przy skórze.

- Obetniesz je sama? - zapytałam.

Na dole ekipa budowlańców waliła w ścianę. Robili remont kuchni. Rodzice Gabby byli w pracy.

- Najpierw obetnę - odpowiedziała, ciachając nożyczkami - a potem ogolę.

Włosy odpadły od ostrza i bezgłośnie wylądowały na dywanie.

- Ale dlaczego? - zdziwiłam się. Obcięła następny kosmyk.

- Miną wieki, zanim odrosną - dodałam.

Na toaletce zawibrował telefon, obwieszczając nadejście SMS-a. Gabby spojrzała na wyświetlacz i szeroko się uśmiechnęła. Potem rzuciła nożyczki na biurko i zamknęła drzwi na klucz.

- Chcę ci zdradzić pewną tajemnicę - oznajmiła. - Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz.

Obiecałam.

- Wiesz, że poznałam przez internet faceta?

Pokiwałam głową. Światła przejeżdżającego samochodu przesunęły się po pokoju i zniknęły.

- Rozmawiamy codziennie - dodała. Poczulałam ukłucie zazdrości.

Ten chłopak był starszy: miał szesnaście lat. Mieszkał sto siedemdziesiąt kilometrów od nas, w jednej z nowych kolonii, które wykiełkowały z piasku na pustyni.

- Ta nazywa się Okołodobowo — powiedziała Gabby. Zauważyłam, że lubi wymawiać to słowo. - Mają tam szkołę, restaurację i wszystko.

Słyszałam, że podobne osiedla rozkwitają we wszystkich stanach, budowane przez ekscentryków odrzucających czas zegarowy. W domach i na ulicach tych wspólnot słońce nadal rządziło dniem i nocą i podejrzewam, że tempo życia naprawdę było wolniejsze, czas biegł powolutku, jak stopniowo przesuwaną się falą.

- Tam wiele dziewczyn goli głowy - dorzuciła.

Gabby wystukała SMS-a z odpowiedzią. Czarny lakier na jej paznokciach połyskiwał w świetle lampki. Potem znowu sięgnęła po nożyczki i wróciła do obcinania włosów, które opadały na kremowy dywan obok pogniecionego szkolnego mundurka.

Użyła elektrycznej maszynki ojca, żeby dokończyć dzieła. Pomału ukazywała nam się architektura jej czaszki, stare krzywizny i wklęsłości odsłonięte na nowo.

- Zajebicie - powiedziała, patrząc w lustro. - Wygląda super. Odwróciła głowę w prawo i w lewo, przesuwając palcami po szczecinie. Wyglądała jak ktoś, kogo wyniszczyła choroba albo chemioterapia.

Usiadła na łóżku. Na narzucie leżał komplet bielizny z czarnej koronki: stanik i majtki. Zauważyła, że mu się przyglądam.

- Podoba ci się? - zapytała.

- Chyba tak - odpowiedziałam.

- Zamówiłam przez internet.

Jedna ze świeczek na jej toalecie stopiła się w kałuży wosku. Płomień strzelił, a potem zgasł, pozostawiając w powietrzu cienką smużkę białego dymu.

- Hej - ożywiła się przed nagłą zmianą tematu. - Czy twoja mama naprawdę zabiła w sylwestra jakiegoś faceta?

Spojrzałam na nią.

- Nie wiemy, czy zginął - powiedziałam.

Na dole robotnicy upuścili na kafelki coś ciężkiego.

- Słyszałam, że kogoś przejechała.

- Jest chora - wyjaśniłam. Gabby odwróciła się w moją stronę. - Na co?

-Niewierny.

- Może umrzeć?

- Nie jestem pewna.

- Cholera - przejęła się. - Przykro mi.

Niedawno Gabby pomalowała ściany w swoim pokoju na głęboki rdzawoczerwony kolor i w powietrzu nadal wyczuwało się zapach farby zmieszany z wanilią świec.

- Powinam już wracać do domu - powiedziałam.

- Trzymaj - odparła Gabby. Podała mi foliowy woreczek pękaty od spinek do włosów i wsuwek. - Weź je. Nie są mi już potrzebne.



Przecząco pokręciłam głową. Nie chciałam jej rzeczy.

Kiedy szłam do domu, z naprzeciwka zbliżyła się para reflektorów, smukłe czarne BMW należące do matki Gabby. Pomachała do mnie zza kierownicy, a ja jej odmachałam. Patrzyłam, jak wjeżdża na podjazd i czeka, aż elektryczna brama garażowa wtoczy się na górę po prowadnicach. Wiedziałam, że to ostatnie minuty poprzedzające spadnięcie pewnych konsekwencji na ogoloną głowę Gabby. BMW gładko wjechało do garażu. Brama zamknęła się za samochodem. Usłyszałam, jak silnik gaśnie i zaczyna stygnąć, wydając ciche brzdąknięcia.

Później się dowiedziałam, że Gabby natychmiast straciła dostęp do komputera i komórki, co uniemożliwiło jej komunikowanie się z chłopakiem z Okołodobowa, który pisał dla niej wiersze.

Tamtej nocy godzinami obserwowałam dom Sylvii przez teleskop, wypatrując ojca. W miarę jak dni się wydłużały, zwyczajnie Sylvii robiły się coraz bardziej dziwaczne. Znikała w domu podczas każdego okresu ciemności, a gdy w oknach sąsiadów przez cały dzień paliło się światło, u Sylvii panowała ciemność, jakby lokatorka nauczyła się spać przez co najmniej dwadzieścia godzin bez przerwy. Obca osoba mijająca podjazd Sylvii pewnego ciemnego popołudnia mogłaby pomyśleć, że dom jest niezamieszkały albo właściciel wyjechał z miasta. Często zanim znowu wzeszło słońce, na wycieraczkę lądowały dwie gazety.

Ale podczas białych nocy Sylvia wracała do życia. Widziałam jej smukłe palce szybujące nad klawiszami fortepianu długo po tym, jak sąsiedzi poszli spać. W południe peła ogródek. Uprawiała jogging, gdy reszta z nas śniła swoje sny. W ciszy jednej z jasnych nocy patrzyłam, jak w promieniach słońca ciągnie swoją choinkę w stronę chodnika. Szuranie donicy o płytki było jedynym dźwiękiem na uśpionej ulicy.

Niektóre kraje w Europie w mniejszym lub większym stopniu zdelegalizowały taki styl życia, na jaki zdecydowała się Sylvia. Na naszym kontynencie prawdziwoczasowcami byli przeważnie imigranci z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu, którzy odrzucili czas zegarowy ze względów religijnych. W Paryżu wprowadzono godzinę policyjną. Rozpoczęły się protesty. Jeden z członków naszej rady miejskiej zaproponował podobny zakaz. Pobliskie miasteczko uchwaliło godzinę policyjną, którą jednak szybko cofnęły sądy.

W tym samym tygodniu w niektórych domach przy naszej ulicy zabrakło prądu. Telewizory zgasły bez ostrzeżenia. Pralki zawarczały i umilkły. Z głośników przestała płynąć muzyka, a nad stołami w jadalni zgasło światło.

Tyle że awaria ograniczała się do trzech domów: Kapłanów, Toma i Carlotty oraz Sylvii. To nie był przypadek. Wzięto na celownik prawdziwoczasowców. Ktoś przeciął im kable.

Zjawili się dwóch policjantów, żeby zbadać ślady na przewodach. Przesłuchali sąsiadów. Nikt niczego nie widział. Ponowne podłączenie prawdziwoczasowców do sieci zajęło przedsiębiorstwu energetycznemu sześć godzin. Sprawców sabotażu nigdy nie złapano.

W szkole robiliśmy sekcję żab, biegaliśmy na dwa kilometry, sprawdzano, czy nie mamy skoliozy. Sezon piłkarski przeciągnął się do stycznia z powodu wszystkich meczów odwołanych jesienią. Ale ja straciłam zainteresowanie sportem. Jaki to miało teraz sens? Co za różnica?

- Przecież lubisz grać w piłkę, prawda? - zapytał ojciec pewnego dnia, gdy nadąsana siedziałam na tylnym siedzeniu, jadąc na trening. Zmienił swój grafik, żeby móc mnie podwozić, kiedy matka jest chora.

- Skąd możesz wiedzieć, co lubię, a czego nie? - odburknęłam. Odwrócił się do mnie. Nigdy nie mówiłam do niego w ten sposób. Wyglądał na zaskoczonego. Niebo za oknem było wściekle pomarańczowe: wschód słońca późnym popołudniem.

- Co się z tobą ostatnio dzieje? - zapytał.

Wyglądał na zmęczonego. Jego włosy, jasnobrązowe, zaczynały się przerzedzać. Od rana na jego brodzie wyrosła warstwa szczeciny. Zastanawiałam się, czy wyczuwa, że wiem, co robi z Sylvią.

- Nic - odparłam. - Po prostu nie chcę już dłużej grać. Ojciec nie odpowiedział. Nadal jechaliśmy w stronę boiska. Z tamtych popołudni na boisku najlepiej pamiętam chwile,

kiedy drużyna chłopaków przebiegała obok naszej. Zauważałam ich z daleka i szukałam na koszulkach nazwiska Setha. Kiedy się zbliżali, słyszałyśmy ich sapanie, zsynchronizowane stukanie korków na asfalcie. Czułyśmy zapach ich potu na koszulkach. Seth zawsze biegł na skraju grupy, raczej z przodu, i nigdy nie patrzył w naszą stronę. Spojrzenia wszystkich innych chłopaków zawsze bieły w stronę Michaeli - a ona przyjmowała ich zainteresowanie z szerokim uśmiechem. Nigdy nie rozumiałam, skąd wie, czego oni chcą. W przeciwieństwie do niej przeważnie unikałam patrzenia na nadbiegających chłopaków, dopóki tupot ich nóg nie ucichł i zupełnie nie zamilkł na piaszczystej drodze na skraju boiska. Wtedy rzucałam ostatnie spojrzenie na Setha, zanim on i inni chłopcy zniknęli między eukaliptusami oddzielającymi nasze boiska.

Dojechaliśmy do parkingu i ojciec zatrzymał się przy krawężniku.

- Posłuchaj - powiedział - nie zrezygnujesz z piłki. Powoli wysiadłam z samochodu, worek gimnastyczny dyndał mi na ramieniu. Trzasnęłam drzwiami.

Parking był daleko od boiska i szłam najwolniej, jak mogłam. W oddali na murawie zobaczyłam zarys kościstej sylwetki Hanny. Nie znosiłam tego, że nasza dawna bliskość wisi nad nami jak smród, nieskomentowany, lecz ciągle obecny w powietrzu.

W głowie błysnął mi pewien pomysł: wcale nie musiałam iść na trening - mogłam po prostu pójść gdzieś indziej.

Ojciec już odjechał. W pobliżu nie było nikogo.

Może spowolnienie wpływało też na moje emocje: tamtego dnia czułam się odważna i impulsywna. Zaczęłam się oddalać

od boiska, najpierw powoli, a potem szybciej, aż w końcu pędziłam w dół stromego zbocza wzgórza, a twarde listki delospermy chrzęściły mi pod korkami.

Wylądowałam na parkingu centrum handlowego sąsiadującego z boiskiem.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był sklep ze zdrową żywnością, w którym zaopatrywali się zwolennicy czasu prawdziwego. Było późne popołudnie, ale dopiero go otwierano, odsłaniając rzędy witamin, suszonego jarmużu i ziołowych specyfików na sen.

Obok ludzie popychali wózki, wjeżdżając i wyjeżdżając z olbrzymiej apteki, którą czasami odwiedzałam z matką. Reklamowano tam sprzęt survivalowy: przy wejściu stała sterta konserw, a nad nią tabliczka z napisem: „Czy twoja rodzina jest gotowa?”.

Weszłam do środka, starając się nie stukać korkami o linoleum, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale nikt na mnie nie spojrzał. Słyszałam bzyczenie jarzeniówek, smętną muzykę klasyczną płynącą z głośników w suficie.

Kiedy przychodziłam tu z matką, pewne alejki wydawały mi się jakby zakazane i teraz chciałam je poznać na własną rękę. W alejce kosmetycznej zobaczyłam piętnastometrowe półki z połyskującymi opakowaniami pudru, lakierów i kremów, z lśniącymi kredkami do powiek i brwi, z cząstkami, pęsetami i golarkami, które jak zaczynałam podejrzewać, zastosowane w odpowiedni sposób mogły zacząć mnie zmieniać w dziewczynę do podziwiania i do pokochania.

Na końcu alejki z kosmetykami starsza dziewczyna z idealnie prostymi czarnymi włosami i kluczykami pobrzękującymi w dłoni odkręcała buteleczki z lakierem i testowała kolory na swoich paznokciach. Pamiętam miły dla ucha dźwięk wydawany przez stukające o siebie buteleczki. Zazdrościłam jej swobody, z jaką wrzucała do koszyka te, które jej się spodobały.

Wiedziałam, że za nią, na okrągłym wieszaku, znajdę małą kolekcję staników.

Byłam zbyt zawstydzona, żeby podejść do wieszaka w jej obecności, więc przez chwilę snułam się po alejce, sięgając po szminki i odkładając je z powrotem na miejsce. Kiedy poszła, zbliżyłam się do wieszaka ze stanikami. Było tam tylko pięć lub sześć modeli i jeden z nich wydał mi się znacznie fajniejszy niż pozostałe. Nadal pamiętam, jak wyglądał na tamtym wieszaku: śnieżnobiały w niebieskie kropeczki, z ramiączkami z błękitnej satyny i z małymi kokardkami w miejscach, gdzie ramiączka stykały się z miseczkami. Kiedy już byłam pewna, że nikogo nie ma w pobliżu, przysunęłam stanik do piersi.

Na metce była cena: 8,99\$. W torbie gimnastycznej miałam dziesięciodolarowy banknot, który dostałam od dziadka.

Kiedy ojciec podjechał na parking przy boisku, jak zwykle siedziałam na krawężniku z torbą na kolanach, w której żarzył się głęboko schowany stanik. Koleżanki z drużyny właśnie ruszyły w stronę parkingu, małe postacie w oddali. Przystawały, żeby rozciągnąć nogi albo poprawić kucyki, spocone po wycisku, który mnie ominął.

Szybko wsiadłam do samochodu.

- Jak było na treningu? - zapytał ojciec.

Piłam dużymi łykami wodę z jego butelki. Oszustwo, podobnie jak algebra, dołączyło do zestawu moich świeżo zdobytych umiejętności.

- W porządku - powiedziałam.

- Co robiłyście?

Wystraszyłam się, że się domyśli.

- Za każdym razem robimy to samo, tato - powiedziałam. - Dlatego to takie nudne.

I właśnie to okazało się najbardziej zadziwiające: uwierzył mi.

Gdy tylko wróciliśmy do domu, zamknęłam się w łazience. Z dreszczykiem podniecenia poczułam, że może w końcu zacznie się dla mnie coś nowego. Poczułam, że wszystkie moje zmartwienia - wszystkie ważniejsze sprawy - gładko odpływają na bok. Już sobie wyobrażałam, jak satynowe ramiączko będzie wyglądało na moim ramieniu, wystając spod koszulki tak jak ramiączko Michaeli w szkole.

Ale kiedy przymierzyłam stanik, po wielu minutach zmagania się z haftkami, odkryłam, że między apteką a domem dokonała się straszliwa przemiana: przyniosłam do domu tani, cukierkowy stanik. Satynowe wstążki były zbyt niebieskie i zbyt błyszczące. Jeden ze szwów już zaczynał się pruć. Jeszcze gorsze było to, że miseczki nieseksownie marszczyły mi się na piersiach jak dwa puste balony wodne czekające na napełnienie.

Usłyszałam odgłos kroków mamy na schodach.

- Co tam robisz? - zapytała zza drzwi.

Już sama jej bliskość sprawiła, że zaczęłam się denerwować.

- Nic - powiedziałam.

- Źle się czujesz? - zawołała. Zaczęła się martwić, że mnie też dopadł syndrom. - Ojciec mówi, że siedzisz tam prawie pół godziny.

Czułam, że ma ochotę otworzyć drzwi. Czułam, że jej ręka sięga po gałkę. Rozpięłam stanik i włożyłam koszulkę.

- Nic mi nie jest - zawołałam. - Za chwilę wyjdę. Później, kiedy matka spała, a ojciec był w pracy, zakopałam

stanik głęboko w jednym z kubłów na śmieci na naszym podwórku, żeby nikt nie mógł zobaczyć, jak niewiele rozumiałam z tego, co moim koleżankom wydawało się takie oczywiste.

Luty: jakimś cudem godziny ciemności wydawały się jeszcze ciemniejsze niż przedtem, a godziny jasności promieniały bardziej niż kiedykolwiek. Upał był tak silny, że można było zobaczyć, jak unosi cię nad asfaltem falami. Miałam coraz większe problemy z zaśnięciem.

Choroba matki ulegała gwałtownym zmianom. W niektóre dni było dobrze: matka chodziła do pracy, załatwiała sprawunki, robiła obiad. W inne odbierała nam ją moc jakiegoś nowego objawu. Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i zastałam ją owiniętą kocami, lecz mimo to trzęsącą się z zimna i szczękającą zębami. To była osiemnasta godzina jasności, temperatura na zewnątrz sięgała trzydziestu stopni.

- Nie przejmuj się - powiedziała, cały czas dygocząc. - To minie.

Ale ja się martwiłam. Obserwowałam ją, kiedy tylko mogłam.

W tamtym okresie niektórzy podejrzewali, że syndrom ma podłoże psychiczne, przyczyną objawów może być nie zmiana grawitacji, ale jeszcze potężniejsza siła: strach.



- Może to tylko lęk - podsunął ojciec, kiedy wrócił do domu tamtego wieczoru.

Matka głęboko westchnęła.

- Uważasz, że zmyślam?

- Tego nie powiedziałem, Helen.

Włożył mrożoną pizzę do mikrofalówki. To miała być nasza kolacja. Kiedy matka chorowała, ojciec robił w domu wszystko, co należało robić. Wyczuwałam w nim wtedy jednak jakąś pustkę, jakby umysłem i duszą był gdzieś indziej, mimo że jego ręce nalewały mi mleko do szklanki, a usta wypowiadały odpowiednie słowa: „Jak było w szkole? Odrobiłaś lekcje?”.

- Po prostu mówię - ciągnął teraz - że przeżywasz silny stres. Pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - To się dzieje naprawdę.

- Właśnie, tato - wtrąciłam. - To jest prawdziwe.

W tamtych dniach zawsze brałam stronę matki. Ale w głębi serca czułam, że jego teoria do mnie przemawia. Nie można umrzeć ze zmartwienia.

Następnego dnia wieczorem dotarł do nas pierwszy od miesiący przebłysk dobrych wieści: dzień wcześniej przybyło nam jedynie sześć minut, mniej niż któregośkolwiek dnia od początku spowolnienia.

- To dobrze - powiedziałam. . Rodzice się nie odzywali.

- Prawda? - spytałam.

- Może już za późno - odparła matka.

Miała przyklapnięte włosy. Zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś czasu ich nie myje.

- Daj spokój, Helen - zniecierpliwził się ojciec. Potem spojrzał na mnie. - Oczywiście, że to dobra wiadomość.

Zimna bryza poruszyła roletami w oknach.

- Zaprzeczanie w niczym nie pomaga - upierała się matka. Ale nie byłam pewna, czy ojciec by się z tym zgodził. Miał inne pojęcie o prawdzie.

- To dobra wiadomość - powtórzył. Wstał i ścisnął mnie za ramię. Matka wyłączyła telewizor.

- Równie dobrze możesz poznać prawdę, Julio - powiedziała. - Wszystko się wali.

Rozpoczęły się dni pełne napięcia. Rodzice coraz rzadziej ze sobą rozmawiali. W końcu, po godzinach szpiegowania przez teleskop, znowu przyłapałam ojca z Sylwią. Tym razem był ranek, ojciec rzekomo wyszedł do pracy. Matka drzemała na kanapie. Odjechał samochodem, ale wrócił na ulicę pieszo. Ciągle odwracał głowę w stronę naszego domu, raz, dwa razy i jeszcze raz przed zniknięciem za boczną furtką Sylvii. Miałam znikome pojęcie

O tym, jak wyglądają takie dramaty. Coraz bardziej się martwiłam, że pewnego dnia ojciec zostawi nas na dobre.

A potem, któregoś wieczoru, ojciec znowu skłamał. Nie po raz pierwszy i - jak się okazało - nie po raz ostatni. Ale to kłamstwo było najśmielsze i najlepsze ze wszystkich. Proste i zwarte. Elegancka, dziwaczna fikcja. Jedno nieprawdziwe zdanie.

Usłyszałam je w sobotę, w jasny dzień: słońce wzeszło rano i świeciło przez całe popołudnie. Słona bryza poruszała liśćmi eukaliptusów, a w basenie sąsiadów pluskały się bliźniaki. Matka czuła się lepiej niż zwykle i czytała magazyn od końca. Obok niej pociła się szklanka mrożonej herbaty, a po otwartym niebie szybowała flota balonów na rozgrzane powietrze. Ich pasażerowie machali z koszy, unosząc się nad naszym dachem. Było dwadzieścia pięć stopni. Patrząc na tę scenkę, nikt by się nie domyślił,

że sześciu amerykańskich astronautów zdanych na własne siły nadal tkwi w stacji kosmicznej z kurczącymi się zapasami żywności, siedemnaście tysięcy kilometrów dalej niż powierzchnia tych balonów. Ale w tamtym konkretnym momencie nie miałam wrażenia, że my także jesteśmy zdani na własne siły.

Kiedy zadzwonił telefon, siedziałam w kuchni. Ojciec był na górze. Na dźwięk sygnału matka odwróciła głowę, ale nie wstała. Tak się złożyło, że podniosłam słuchawkę sekundę po tym, jak ojciec odebrał w sypialni.

- Joel? - odezwał się czyjś głos. - Mówi Ben Harvey z Saint Anthony's.

Zasłoniłam słuchawkę dłonią i słuchałam dalej.

- I jak? - zapytał ojciec.

Wstrzymałam oddech i stałam nieruchomo, boso na kafelkach.

- Nie to chciałbyś usłyszeć - powiedział tamten. Na chwilę zamilkł. Szybko wciągnęłam powietrze.

- Facet zmarł po przywiezieniu do szpitala - dodał mężczyzna.

Ojciec ciężko westchnął.

- Pęknięcie czaszki, zgruchotany kręgosłup, krwiak podtwardówkowy - powiedział. - Wszystko wskazuje na to, że to ktoś przyjezdny. Nie zgłosili się żadni krewni.

Nie potrafię wyjaśnić, jak to możliwe, że nadal wierzyliśmy w wyzdrowienie tamtego człowieka. Obie z matką widziałyśmy go przecież na asfalcie, gdzie wydawał się zupełnie pozbawiony życia i nawet ułożenie jego ciała sugerowało śmierć. Żywi nie leżą w taki sposób. A mimo to nadal mieliśmy nadzieję.

Nie słyszałam dalszej części rozmowy. Po prostu stałam, opierając się o kuchenny blat, i było mi słabo. Kiedy rozmowa wreszcie dobiegła końca, najdelikatniej, jak umiałam, odłożyłam słuchawkę, a potem usłyszałam, jak ojciec zbliża się do schodów.

Na tarasie matka przewróciła kartkę magazynu i upiła łyk mrożonej herbaty. Nie chciałam tam być, kiedy ojciec jej powie.

Poszłam do Gabby, ale nikogo nie było u niej w domu. Usiadłam sama na werandzie i przez chwilę patrzyłam, jak grube białe chmury suną na wschód. Mniej więcej o tej porze Seth przychodził czasami na lekcje do Sylvii, więc pomyślałam, że teraz też może u niej być. Nastawiłam uszu, nasłuchując dźwięków fortepianu, ale niczego nie usłyszałam.

Na końcu ulicy zobaczyłam olbrzymią ciężarówkę do przeprowadzek blokującą podjazd Kapłanów. Obok drzwi do domu stał oparty o ścianę materac, a kot Kapłanów zawodził w klatce na werandzie.

Trzy dni po odcięciu prądu przed domem Kapłanów pojawiła się tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Teraz dwoje najmłodszych Kapłaniątek bawiło się na podwórku kartonami, a dwaj faceci od przeprowadzek i pan Kapłan wsuwali długą brązową kanapę w paszczę ciężarówki. W oddali słyszałam ich głosy, spory mężczyźni przynoszone do mnie przez bryzę.

Kapłanowie przeprowadzali się do jednej z kolonii, gdzie mieszkali sami Żydzi, którzy osiągnęli porozumienie w sprawie szabasu: od zachodu słońca do zachodu słońca co siedem dni. Oczywiście ich dni były już wtedy zupełnie niesynchronizowane z naszymi, ich soboty nie wypadały wtedy, kiedy nasze. Pewnej białej nocy, gdy nie mogłam zasnąć, przeprowadziłam obliczenia: prawdziwoczasowcy byli już dziesiątki dni za nami -a w końcu te dni miały urosnąć w lata.

Po drugiej stronie ulicy rozległ się szczeł zamka i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Podniosłam głowę: to nie był Seth. To tylko Sylvia, w słomkowym kapeluszu i chodakach, z rydłem ogrodniczym dyndającym w dłoni.

Pomachała do mnie.

- Uroczy dzień - zawołała z ogrodu. Zapytała, co słyhać.

- W porządku - powiedziałam.

Już nie było mi jej szkoda. Teraz czułam przy niej zdenerwowanie, jakbym to ja miała coś do ukrycia.

Uklękała przy swoich różach, które w ostatnich tygodniach zaczęły marnieć. Za to Sylvia wyglądała kwitnąco. Większość z nas chodziła zaspana i wolno myśląca - moja matka twierdziła, że od miesiąca nic jej się nie śni - ale Sylvia wyglądała na wypoczętą, spokojną i przytomną. Trudno było nie zauważyć, że jest piękna, w tamtych dniach o wiele piękniejsza niż moja matka. Zaczęłam mieć nadzieję, że Sylvia wyprowadzi się tak jak Kapłanowie i wielu innych prawdziwoczasowców w tamtym okresie.

A może marzyłam o tym, że sami się wyprowadzimy? Ciekawiły mnie kolonie powstające na pustyni. Lubiłam wtedy myśleć, że tam czas naprawdę płynie wolniej niż tu, gdzie mieszkamy. A jeśli tak, jeśli każde zdarzenie potrzebowało trochę więcej czasu, żeby wyjść na jaw, to może skutki tych zdarzeń też następowały tam wolniej.

Kiedy wróciłam do domu, zastałam rodziców siedzących razem na tarasie. Za oknem w kuchni nie wyglądali tak, jak się spodziewałam. Matka się śmiała i kręciła głową. Ojciec trzymał ją za kolano. Matka zobaczyła mnie za szybą i pomachała, żebym do nich dołączyła. Jeszcze zanim otworzyłam drzwi balkonowe, wiedziałam, że ojciec nie przekazał wieści.

- Zgadnij, co się stało - zaczęła matka, kiedy zamknęłam za sobą drzwi, przekręcając zimną mosiężną gałkę.

- Co? - zapytałam.

Dłonią osłaniała oczy przed słońcem. Odwróciła się do ojca.

- Powiedz jej - zachęciła go. Siedziała na krześle z kolanami przyciśniętymi do brody jak nastolatka. - Powiedz jej.

Ojciec spojrział mi prosto w oczy.

- Pamiętasz tamtego człowieka z wypadku?

Za nim lekki wietrzyk potrząsnął wiciokrzewem, teraz już uschniętym.

- No? - odparłam.

I wtedy padło kłamstwo, świeże, gładkie i jasne:

- Dzisiaj się dowiedziałem, że przeżył.

- Wypuścili go ze szpitala - powiedziała matka. Ciągle zmieniała pozycję na krześle. - Miał tylko kilka złamanych kości -ciągnęła. - To wszystko. Dasz wiarę?

Poczułam nagłą wściekłość na ojca. Matka zasługiwała na to, żeby poznać prawdę.

Ale z drugiej strony od miesiący nie wyglądała tak dobrze. Odprężyła się. Wokół jej ust pojawiły się zmarszczki towarzyszące śmiechowi. Cała jej twarz wyglądała inaczej - oczy przymrużone, policzki wypukłe, usta rozchylone i odsłaniające zęby: uśmiech.

W tamtej chwili pragnęłam jedynie uśmiechać się razem z nią.

Na początku to nie wydawało się w porządku. Miałam lekkie poczucie winy. I liczyłam na to, że z ojcem jest podobnie. Ale trudno było się oprzeć tej zmianie atmosfery.

Kłamstwo wszystko naprawiło.

Matka wyniosła na taras ładne kryształowe kieliszki i od-korkowała jedną z butelek czerwonego wina na specjalne okazje, które trzymała na stojaku nad barkiem. Ugotowała linguini z suszonymi pomidorami, które rodzice przywieźli z Włoch kilka lat wcześniej, ściętymi i zanurzonymi w oliwie z oliwek na długo przed rozpoczęciem spowolnienia. Na deser zjedliśmy ananasa

z puszki. To był ostatni ananas, jakiego skosztowaliśmy w życiu. Siedzieliśmy na tarasie w promieniach słońca, jedzenie wypełniało nam brzuchy. Szkoda, że nie pamiętam więcej takich wieczorów. Słońce wisiało wysoko. Powietrze było ciepłe. Ziemia nadal się obracała. Ale dla odmiany niczym się nie przejmowaliśmy. Matka była szczęśliwa, miała czyste sumienie. Wiedziałam, że nigdy nie powiem jej prawdy.

Ojciec też był zadowolony. Obserwowałam, jak patrzy na matkę. Może ją kochał. Może naprawdę ją kochał. Pewnie w ciągu swojej kariery w szpitalu uratował setki istnień, ale nigdy wcześniej i nigdy później nie wskrzesił martwego człowieka.

*Cynodon dactylon*, znana również jako trawa bermudzka, i jej najważniejsza odmiana: arizońska zwyczajna, to wytrzymały gatunek trawy odporny na upały i susze, a przez to popularny na dawnych trawnikach i polach golfowych w całej południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych. Ale *Cynodon dactylon* wymaga mnóstwa słońca. Nie radzi sobie w cieniu i nie wytrzymuje długotrwałych ciemności. Dlatego gdy dni rozciągnęły się do ponad pięćdziesięciu godzin, tysiące podwórek, łącznie z naszym i siedmioma innymi trawnikami przy naszej ulicy, zaczęło cierpieć. Trawa robiła się wątła, brązowiała, a potem umierała.

Pan Valencia zastąpił swój trawnik zakrzeplą lawą. Pewnego ranka obudziło mnie głośne stukanie kamieni, bo dwaj robotnicy wysypywali je na płaską powierzchnię, na której dawniej rosła trawa. Wkrótce przed niektórymi domami wylądowały pasy sztucznej darni. Na innych podwórkach wyrosły olbrzymie kwarcówki.



Podczas gdy rodzice dyskutowali o tym, co zrobić z naszym podwórkiem, wyłysiał cały trawnik. Piach zmienił się w błoto. Dżdżownice wypełzały na powierzchnię z nadzieją na zdobycie lepszego terytorium, lecz w końcu prażyły się na cemencie naszego podjazdu, pieczone przez słońce, a potem rozplaszczane oponami samochodów.

Nasz wiciokrzew też usechł. Bugenwilla przestała kwitnąć.

W całej Ameryce na farmach wyrastały olbrzymie szklarnie. Całe hektary umieszczano pod szkłem. Tysiące lamp sodowych oświetlało krzaki pomidorów i drzewka pomarańczowe, truskawki, ziemniaki i kukurydzę.

- Najdotkliwiej odczują to kraje rozwijające się - powiedział szef Czerwonego Krzyża w jednym z porannych programów. Przewidywano fale głodu w Afryce i niektórych częściach Azji. - Tym krajom zwyczajnie brakuje funduszy potrzebnych, żeby się zaadaptować.

Ale nawet w naszym wypadku rozwiązania były doraźne. Przemysłowe gospodarstwa pochłaniały energię w niemożliwym tempie. W pół godziny dwadzieścia tysięcy lamp zwisających z sufitu tylko jednej szklarni potrafiło zużyć tyle energii, ile większość rodzin przez cały rok. Pastwiska szybko stały się zbyt drogie w utrzymaniu - wkrótce wołowina była już rarytasem.

- Powinniśmy iść w dokładnie przeciwnym kierunku - stwierdził szef dużej organizacji proekologicznej w wywiadzie dla wieczornych wiadomości. - Powinniśmy ograniczać, a nie przedłużać naszą zależność od upraw wymagających tak wielkiej ilości światła.

Banany i inne owoce tropikalne zniknęły ze sklepów spożywczych. Banany! Jak dziwnie potrafi brzmieć słowo, którego nie słyszało się i nie wypowiadało od wieków.

Naukowcy gorączkowo szukali rozwiązania. Pokładano nadzieje w inżynierii genetycznej. Mówiło się o cudownym ryżu. Niektórzy badacze zainteresowali się omszałymi połaciami lasów deszczowych i odciętych od słońca głębinami oceanów, gdzie od dawna rosły rośliny zadowolające się bardzo niewielką ilością światła; liczyli na to, że uda się połączyć geny odpornych gatunków z genami tych będących podstawą światowych zapasów żywności.

Czasami byliśmy zdenerwowani, a czasami nie. Niepokój nawiedzał nas falami. Nastroje narodowe były zaraźliwe i szybko się zmieniały. Niekiedy całe tygodnie upływały stosunkowo spokojnie. Ale każdy okruczeństwo złych informacji popychał ludzi do wykupywania konserw i butelkowanej wody. Kolekcja zapasów mojej matki nieustannie rosła. Znajdowałam świece upchnięte w szafie na płaszcze, pudła z tuńczykiem w puszcze zgromadzone w garażu. Pięćdziesiąt słoików masła orzechowego stało w rzędzie pod łóżkiem rodziców.

A Ziemia obracała się coraz wolniej. Dni ciągle się wydłużały. Minuty dochodziły jedna po drugiej - a, jak w końcu zrozumieliśmy, z czasem nawet strużka może się zmienić w powódź.

Żadna siła na ziemi nie była jednak w stanie spowolnić marszu szóstej klasy. Na przekór wszystkiemu tamten rok był rokiem naszego balu.

Gdy zbliżały się czyjeś urodziny, do wybranych chłopaków i dziewczyn trafiały e-mailowe zaproszenia. Czasy jednopłciowych imprez odeszły w przeszłość. Teraz zatrudniano DJ-ów i wynajmowano sale. Stroboskopowe lampy i dyskotekowe kule zwisały z sufitów piwnic, zdobiły podwórka za domami, a w wypadku Amandy Cohen: olbrzymią hotelową salę balową. Michaela opisywała mi te imprezy w niektóre poranki, kiedy czekałyśmy na szkolny autobus. Ale czasami wcale nie musiała tego robić: w pewien poniedziałek wszystkie najładniejsze dziewczyny zjawiły się w szkole ubrane w obcisłe, zapinane na suwak identyczne różowe bluzy z imieniem i nazwiskiem Justine Valéry oraz z jej datą urodzenia wypisaną z tyłu kryształami górskimi -w pamiątki po sobotnim przyjęciu.

Wiedziałam, że urodziny wypadające w ciemną noc uważano za łut szczęścia, księżyc i gwiazdy dodawały im sporo romantyzmu. Jak wyglądał sam przebieg tych uroczystości, nie byłam pewna. Nikt mnie nie zapraszał.

- Założę się, że Justine po prostu zapomniała cię zaprosić - powiedziała Michaela. Tuż nad jej powiekami kołysała się nowa puszysta ruda grzywka. - Prawdopodobnie zapomniała.

Hanna opierała się o pobliski płot, ubrana w miętowy sweterek, z jasnymi włosami zaplecionymi w dobierany warkocz. Roześmiała się do słuchawki telefonu. Nie odzywałyśmy się do siebie od tygodni.

- Poza tym - dodała Michaela - i tak byś się tam dobrze nie bawiła. Jesteś zbyt nieśmiała. Założę się, że tylko sterczałaś w kącie.

- Nieprawda - powiedziałam. - Tańczyłabym.

Do moich urodzin pozostało jeszcze tylko kilka tygodni. Nie planowałam przyjęcia. Nie planowałam tańców.

- Tańczyłabyś? - zdziwiła się Michaela. - Naprawdę? Tamtego ranka było ciemno, powietrze było wilgotne od

mgły, która jaśniała w świetle latarni, przetaczając się nad krawędzią kanionu, gdzie, jak wszędzie wokół, dziesiątki lokalnych gatunków roślin powoli umierały z braku światła.

- W sobotę tańczyłam z Sethem Moreno chyba przez godzinę - ciągnęła Michaela. - Było gorąco.

W mojej głowie rozbrzmiało imię Setha.

- Też tam był? - zapytałam.

- Z bliska jest supersexy - powiedziała. Zadrzała w swojej minispódniczce. - Czułam jego małego.

Dokładnie w tej chwili Seth wjechał na deskorolce na przystanek i Michaela umilkła.

Odkąd zaczęło się spowolnienie, nasza szkoła straciła jedną czwartą uczniów, ale pięciuset czterdziestu dwóch pozostało. Codziennie rano, zanim zadzwonił pierwszy dzwonek, pięćset czterdzieści dwa głosy wołały do siebie z pięciuset czterdziestu dwóch gardeł. Pięćset czterdzieścioro dwoje ust walczyło o posłuch, a gwar robił się coraz większy, kiedy kolejne autobusy wypuszczały na boisko kolejne grupy dzieciaków. Plotki krążyły od jednych do drugich - tworzyły się klikki w klikach. Głośne wybuchy śmiechu nieustannie eksplodowały w powietrzu. Pięćset czterdzieści dwa głosy odbijały się echem od pokrytych sztukaterią murów przy akompaniamencie pięciuset czterdziestu dwóch telefonów komórkowych. Ktoś zawsze był w szoku po tym, co właśnie usłyszał. Zawsze ktoś krzyczał. W miejscu, w którym ostatnio stałam, na samym końcu tłumy, te dźwięki wydawały się tak pozbawione znaczenia, jakby wszyscy mówili w obcych językach: jeden wielki niezrozumiały bełkot.

W tamtym środowisku milczenie oznaczało śmierć. Rządziły słowa. Nie opłacało się być cichym dzieckiem.

Codziennie w szkole wyczekiwałam spokoju popołudnia, szczęku klucza w zamku frontowych drzwi, ciszy pustego domu. Matka starała się nadal chodzić do pracy, więc przez większość dni w tygodniu jej nie było - albo spała na górze.

Gdy podczas jednego z takich popołudni czytałam książkę, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Na angielskim zajmowaliśmy się Rayem Bradburym; tamtego dnia mieliśmy przeczytać opowiadanie o grupce dzieci mieszkających na Wenus, gdzie słońce przebijało się przez grubą warstwę chmur tylko raz na siedem lat - i tylko na godzinę.

Zanim doszłam do drzwi, dzwonek rozległ się po raz drugi. Po drugiej stronie stała Gabby, nadal w mundurku z Saint Mary's: w zielonej spódniczce w kratkę i białej koszulce polo, w granatowym sweterku przewiązanym w pasie.

Otworzyłam drzwi.

-Nie ~ma twoich rodziców, prawda? — upewniła się.

Pocierała dłonie i co chwila zerknęła na ulicę. Włosy trochę jej odrosły, ale niewiele. Czaszkę pokrywała warstwa brązowego meszku.

- Są jeszcze w pracy - odpowiedziałam.

Weszła do środka i dała mi znak, żebym zamknęła drzwi.

- Muszę sprawdzić pocztę na twoim komputerze - powiedziała cicho, jakby dom był na podsłuchu.

Wyjaśniła, że od dwóch tygodni ma zakaz korzystania z internetu, a jej komórka leży zamknięta w szufladzie biurka matki. Miała w tym czasie sporadyczny kontakt z chłopakiem w Okołodobowie, ale oczywiście nie były to idealne warunki dla rozkwitu miłości.

Kiedy już usiadła przed komputerem, szybko wzięła się do pracy. Stukanie paznokci o klawisze, kilka kliknięć myszką. Potem wstała.

- W najbliższym czasie raczej mnie nie zobaczysz - powiedziała.

- Dlaczego?

- Spieprzam stąd - oznajmiła. - Jutro Keith zabierze mnie ze szkoły i zamieszkać z nim w Okołodobowie.

Nie po raz pierwszy groziła ucieczką z domu. Gabby ciągle coś knuła i o czymś marzyła. Ale wiedziałam, że nigdy nie zrealizowała swoich zamierzeń.

- A co z twoimi rodzicami? - zapytałam.

- Lepiej nic im nie mów.

- Wściekną się - powiedziałam.

Szła naszym korytarzem. Jej półbuty, element szkolnego mundurka, skrzypiały przy każdym kroku.

- Zresztą tutaj i tak wszystko jest do dupy - dodała.

Pomachała mi, zataczając ręką szeroki łuk. Obok niej nasz fikus wiął w doniczce. Rośliny domowe radziły sobie jeszcze gorzej niż te rosnące na zewnątrz.

- Mówisz poważnie? - zapytałam.

- Chyba nie powinnam była cię wtajemniczać - westchnęła. - Jesteś zbyt świętoszkowata, żeby to zrozumieć.

- Zaczekaj - zatrzymałam ją.

Gabby otworzyła drzwi i wyszła na werandę.

- Keith ma rację - powiedziała. - Tutaj wszyscy chodzą jak we śnie. Czas zegarowy to po prostu kolejny sposób społeczeństwa, żeby nas zwodzić i otumaniać.

Słońce zaszło za wzgórze. Niebo było różowe. Tam, gdzie mieszkaliśmy, zachody słońca zawsze były piękne, ale w tamtym czasie wydawały się jeszcze bardziej dramatyczne, zwłaszcza że zdarzały się dwukrotnie rzadziej.

- Proszę, nie mów nikomu - powiedziała.

Każdy, kto znał Gabby tak dobrze jak ja, założyłby, że ostatecznie nigdzie nie wyjedzie. Że plan - o ile w ogóle istniał jakiś plan - prawdopodobnie upadnie. Że coś się stanie: jej opinie zmieniały się szybko, a nastroje jeszcze szybciej. Byłam całkiem pewna, że następnego dnia Gabby jak zwykle wróci do domu ze szkoły. Prześpi się we własnym łóżku i natychmiast przystąpi do szukania kolejnego nieprawdopodobnego sposobu ucieczki.

Uścisnęła mnie szybko i powiedziała cześć. Wróciłam do odrabiania lekcji.

Nadal pamiętam, jak się kończy to opowiadanie Bradburyego: w dniu, kiedy nad Wenus w końcu, po siedmiu latach nieobecności, ukazuje się słońce, pewien chłopiec namawia inne dzieci, żeby zamknąć małą dziewczynkę w szafie. Gdy robi się jasno, pozostałe dzieci wybiegają z domu, żeby po raz pierwszy w życiu poczuć na twarzy promienie słońca. Słońce świeci tylko przez

godzinę. A dziewczynka cały czas siedzi zamknięta w szafie. Gdy wreszcie ktoś sobie o niej przypomina, słońce jest już z powrotem za chmurami, za którymi pozostanie przez następne siedem lat.

Kiedy następnego dnia wróciłam do domu ze szkoły, nadal było ciemno. Od wschodu słońca dzieliło nas kilka godzin. Ruszyłam prosto do domu Gabby, a mijając podjazd Toma i Carlotty, zadrżałam. Nadal tu mieszkali, ale w domu było oczywiście ciemno - mieliśmy środek ich nocy. W ciągu kilku miesięcy miano ich postawić w stan oskarżenia i skazać, a dom sprzedać, żeby pokryć koszty rozprawy i grzywien.

Gdy podeszłam do podjazdu Gabby, zobaczyłam, że w jej domu też panuje ciemność. Świeciło się tylko światło na werandzie.

Zadzwoiłam do drzwi. Nikt nie otworzył. Zadzwoiłam jeszcze raz.

Za oknem, w kuchni, rząd nowiutkich przyborów kuchennych ze stali nierdzewnej lśnił w świetle księżyca.

Dorastałam, słuchając historii o szczególnych niebezpieczeństwach, jakie grożą dziewczynom. Wiedziałam, gdzie znajdowano ciała: nagie na plaży albo pokrojone na kawałki, częściowo zamrożone w zamrażarkach albo zastygłe w cemencie. Nikt nie taił takich opowieści przed nami, dziewczynami. Rozgłaszano je jak historie o duchach, a rodzice mieli nadzieję, że strach zziała więcej niż nasza umiejętność trzeźwej oceny.

Teraz ujrzałam sytuację Gabby w takim samym świetle: dwunastolatka uciekła z domu z mężczyzną poznanym trzy tygodnie wcześniej przez internet. Twierdził, że ma szesnaście lat, ale kto go tam wie. Rzekomo mieszkał w jednej z tych kolonii żyjących w zgodzie ze światłem dnia, ale nie znałam nawet jego nazwiska.



Takie historie jak ta zazwyczaj nie kończą się dobrze, a odkąd rozpoczęło się spowolnienie, stały się jeszcze częstsze. Liczba wszelkiego rodzaju przestępstw z użyciem przemocy rosła, po części z przyczyn natury psychicznej. Bezsensowność rodziła chyba pewną desperację. Rzadziej stawiano opór impulsom.

Niepokój zaczął się w moim żołądku - ucisk, który rozprzestrzenił się do piersi i do ramion, aż w końcu sięgnął karku. Obawy tliły się przez całe popołudnie i byłam zdziwiona, że rodzice nie zauważyli ich na mojej twarzy.

Tamtego wieczoru matka poruszyła kwestię moich urodzin.

- Musimy coś zrobić - powiedziała. - Może urządzimy przyjęcie?

Ale ja nie chciałam przyjęcia. Nie miałam pojęcia, kogo zaprosić. Matka nie mogła wiedzieć, że wszystkie przerwy na lunch upływają mi na udawaniu, że rozmawiam przez telefon. Ta zmiana nastąpiła bardzo szybko, jak przesunięcie się piasku. A teraz odeszła także Gabby.

- W takich czasach - ciągnęła matka - celebrowanie dobrych chwil nabiera jeszcze większego znaczenia.

W końcu zgodziłam się na kolację.

- Ale tylko my i dziadek - zastrzegłam.

- Zaprośmy przynajmniej Hannę - upierała się matka. - Nie widziałam jej od miesięcy.

- Nie - powiedziałam. - Nie zaproszę Hanny.

Podczas kolacji było mi gorąco od poczucia winy z powodu Gabby. Wyrzuty sumienia zdawały się emanować z mojej skóry jak feromony, dym albo jakiś inny sygnał chemiczny zdolny przyciągnąć matkę Gabby na naszą werandę, na której w końcu stanęła tuż po ósmej, żeby zapytać, czy nie widzieliśmy jej córki.

Moja matka stała na progu ze współczującą miną.

- Nie - powiedziała. — Pytała pani u jej innych przyjaciół?

Matka Gabby spojrzała prosto na mnie. Miała na sobie kostium i buty na wysokim obcasie. Konturówka do ust trzymała się na miejscu po całym dniu pracy, ale szminka już się starła.

- Proszę jej nie mówić, że to powiedziałam - zaczęłam.

- Wiesz, gdzie ona jest? - zdziwiła się moja matka.

- Chyba pojechała do Okołodobowa - powiedziałam. Na chwilę zamilkłam. - Z chłopakiem.

- Co to za Okołodobowo, do cholery? - zdenerwowała się matka Gabby.

Nosiła soczewki kontaktowe, od których jednak wysychały jej oczy. Ciągle mrugała, a w tej chwili robiła to jeszcze częściej, bo do jej ciemnych oczu napłynęły łzy.

- No, wie pani - powiedziałam. - To jedna z tych kolonii, gdzie żyje się zgodnie ze światłem dnia.

Matka Gabby zadzwoniła na policję. Razem z ojcem Gabby od razu pojechała na pustynię i przez całą noc pukała do cudzych drzwi w promieniach słońca - w Okołodobowie był akurat dzień. Nikt tam nie spał.

Rano Gabby została odnaleziona, kiedy popijała wino przy grillu razem z Keithem, starszym uciekinierem z innej części stanu. W Okołodobowie spędziła tylko jedną noc.

Potem już nigdy nie była tą samą osobą. Po powrocie na naszą ulicę snuła się bez celu, oszołomiona i rozczarowana, jak podróżnik zmuszony do powrotu z egzotycznej i pouczającej wyprawy.

- Powiedziałaś mojej matce, gdzie jestem? - zapytała.

- Nie - skłamałam.

Sceptycznie obróciła głowę w moją stronę.

- Naprawdę?

- Przysięgam - powiedziałam.

- Pewnego dnia tam wrócę - oznajmiła. W jej głosie pobrzmiwała nowa pewność. - Trudno to wytłumaczyć, ale Okołodobowo przypomina jedno z tych *miejsc*, no wiesz, jak one się nazywają? Utopia? Wszyscy są totalnie wyluzowani. I traktują cię jak dorosłą. Nikogo nie obchodzi, jak wyglądasz ani w co jesteś ubrana.

Historia Okołodobowa była krótka, ale o tym dowiedziałam się dopiero później. Jego betonowe fundamenty oddalone o sto pięćdziesiąt kilometrów od cywilizacji wylano rok przed rozpoczęciem spowolnienia. Zrobił to pewien deweloper, który wymyślił sobie, że nieokiełznany rozrost nadmorskich miast Kalifornii wkrótce dotrze do tego konkretnego skrawka pustyni. Tyle że deweloper zbankrutował pół roku przed spowolnieniem. Prace przerwano. Przez kilka miesięcy domy stały puste i niewykończone, aż w końcu grupa zdeklarowanych zwolenników czasu prawdziwego kupiła ziemię i wszystko, co na niej było, a potem nazwała ją na cześć swojego zegara biologicznego.

Gabby opisywała złoty piasek, zupełne przeciwieństwo miejsca, w którym mieszkaliśmy. Upierała się, że czas naprawdę płynie tam inaczej. Każda godzina wydawała jej się dniem. Serca wykonywały mniej uderzeń na minutę. Ludzie głębiej oddychali. Trzeba było wieków, żeby rozkwitła czyjaś złość. Przysięgała, że ci ludzie będą żyli dłużej. I wszystko tam trwało: dobry posiłek, wybuch śmiechu, wyraz oczu Keitha, po tym jak pierwszy raz się pocałowali.

- Takie życie zmienia ludzi - ciągnęła. - Są o niebo lepsi niż ci tutaj.

W Okołodobowie widzianym oczami Gabby mieszkała nowa fala łagodnych pionierów, ciężko pracujących, ale i dobrze wypoczętych - spali przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, a potem funkcjonowali równie długo albo i jeszcze dłużej, nie

czując zmęczenia. Nam, patrzącym z zewnątrz, nie wydawało się to możliwe, ale naukowcy już to potwierdzali: rytmy około-dobowe człowieka okazały się znacznie bardziej plastyczne, niż ktokolwiek przypuszczał.

Wspomnienia Gabby opowiadającej o Okołodobowie nie dawały mi spokoju. Podobał mi się pomysł wyjechania gdzieś daleko. Czasami, w białe noce, kiedy promienie słońca wpełzały pod zasłony w moim oknie, próbowałam sobie przypomnieć, jak to jest spać w zgodzie ze słońcem. Jakże dziwne i spokojne wydawało się śnienie co noc w ciemności. I jak cichy musiał być tamten pustynny mrok, kiedy ziemię oświetlały tylko gwiazdy. Nie było słychać warkotu autostrad. Nie skwierczały linie energetyczne. Może jeszcze nigdy nie słyszałam takiej ciszy. Nie budziło cię nawet tykanie zegarka - bo w Okołodobowie nikt nie miał zegarków.

Gdy tylko włosy Gabby odrosły na tyle, żeby można je było wziąć za uroczego jeża, rodzice wysłali ją do szkoły z internatem sto pięćdziesiąt kilometrów od domu. Była ostatnią przyjaciółką, jaka mi pozostała, i nagle też zniknęła - tak po prostu.

Na wielkim przetasowaniu losów i przeznaczenia, które nastąpiło w wyniku spowolnienia, większość z nas straciła. Przeważnie powodziło nam się gorzej niż przed spowolnieniem. Niektórzy zachorowali, inni wpadli w depresję. W wyniku stresu rozpadło się wiele małżeństw. Z rynków wyciekły miliardy dolarów. Brakowało nam też innych cennych rzeczy: dawnego sposobu życia, spokoju, wiary.

Ale nie wszyscy ucierpieli. Garstka szczęściarzy zyskała. Michaela i jej matka znalazły się wśród nich.

Pół roku wcześniej Michaela rozpoczynała rok szkolny, mieszkając w wynajętym mieszkaniu z widokiem na parking, które mieściło się na końcu dzielnicy. Do budynku przylegały zardzewiałe czarne schody, a zapukawszy do drzwi z numerem 2B, słyszało się szczeł łańcucha, który Michaela odpinała po drugiej stronie.

Ale już w lutym odwiedzający mogli stanąć pod drzwiami Michaeli wyłącznie pod warunkiem okazania prawa jazdy

strażnikowi w budce przy bramie. Przed otwarciem elektrycznej bramy strażnik miał obowiązek zadzwonić do domu Michaeli i zapytać o pozwolenie. Matka Michaeli miała nowego bogatego chłopaka, do którego wprowadziła się razem z córką.

Byłam w szoku, kiedy dostałam zaproszenie na sobotę. Od miesiący nikt mnie nigdzie nie zapraszał.

- I weź ze sobą strój kąpielowy - zaznaczyła Michaela przez telefon. - Za domem jest basen i jacuzzi.

Wjechaliśmy przez bramę i w milczeniu mijaliśmy dwanaście ogromnych domów, oddalonych od drogi i ozdobionych od frontu fontannami albo jeziorkami. Wszędzie było widać stajnie i korty tenisowe.

- Tylko popatrz - powiedział ojciec. - Kim jest ten facet, za którego wyszła?

Matka została w domu, miała jeden ze swoich gorszych dni. Nie sposób było przewidzieć, kiedy dopadnie ją przygnębienie.

- Nie są małżeństwem - poprawiłam go. - Ale chyba właśnie otworzył jakąś firmę.

Kiedy tak jechaliśmy, niebo jaśniało niezwykłą pomarańczowością. Na wschodzie szalały pożary lasów i dym dotarł aż na wybrzeże. To nie był sezon pożarów, ale ogień karmił się szczątkami martwych i umierających roślin. W powietrzu czuć było dym. Było go widać w przytłumionym świetle. Wszystko, co białe, wydawało się lekko bursztynowe.

Pod adresem, który podała mi Michaela, okrągły podjazd biegł wokół olbrzymiego sztucznego trawnika. Trawa wyglądała prawie jak prawdziwa, nie zauważyłam dwóch identycznych źdźbeł. W dodatku była wyprodukowana z czegoś miękkiego, miała strukturę stworzoną po to, żeby oszukiwać stopy. Nawet pachniała naturalnie. Aromatyzowano w ten sposób najdroższe

gatunki, chociaż z czasem ta moda przeminęła - chyba coraz słabiej pamiętaliśmy zapach prawdziwej trawy.

Dom był ogromny, w stylu rancho, rozciągał się na działce jak człowiek opalający się przy basenie. Na drzwiach wisiała gruba żelazna kołatka. Michaela stanęła na progu, zanim zdążyłam nacisnąć dzwonek. Już miała na sobie strój kąpielowy. Różowe bikini prześwitywało spod białej koszulki na ramiączkach. Różowe sznureczki dyndały przy szyi.

- Chodź - powiedziała.

W środku, obok drzwi, drobna Meksykanka zapinała torebkę. Powietrze pachniało czymś słodkim. Coś się piekło.

- Alma zrobiła ciasteczka - oznajmiła Michaela.

- Dzięki, Alma - zawołał czyjś głos z drugiego pomieszczenia. Rozpoznałam w nim głos matki Michaeli. - Do zobaczenia jutro.

Wręcz niekończące się pasmo terakoty doprowadziło nas w końcu do kuchni, ledwie widocznej w oddali.

- Możesz tu zostawić swoje rzeczy - powiedziała Michaela.

Mój plecak i śpiwór utworzyły zgrabny stosik pod ścianą.

W kuchni każda powierzchnia była ze stali nierdzewnej, ledwie używanej, nowiusieńkiej. Matka Michaeli wyglądała równie świeżo: oparła się o blat, ubrana w jedwabny brzoskwiniowy szlafrok. Miała mocno umalowaną twarz. Srebrzysta czerń połyskiwała na jej powiekach i w kącikach oczu. Jej jasne włosy zostały wyprostowane i utworzyły gładką, lśniącą płachtę.

- Hej, dziewczyny, postawić wam horoskop, zanim wyjdę? -zapytała.

Na marmurowym blacie leżał rozłożony zegar astrologiczny.

- Postaw Julii - powiedziała Michaela.

Na blacie stała lśniąca głęboka misa ze szkła pełna żółtych winogron. Nie widziałam winogron od świąt Bożego Narodzenia.

- Kosztują z dwieście dolarów za kilo - powiedziała Michaela, wrzucając jedno do ust. - Dziwne, no nie?

Wtedy po raz ostatni jadłam winogrona.

W sąsiednim salonie rozległa się seria małych eksplozji. Na białej skórzanej kanapie siedział chłopak trochę starszy od nas, trzymając konsolę do gier wideo.

- To jest Josh - szepnęła Michaela. - Syn Harry'ego. Harry był chłopakiem jej matki. Byliśmy w domu Harry'ego.

- Julio, skarbie, wiesz, spod jakiego jesteś znaku? - zapytała matka Michaeli.

Nie wiedziałam.

- Kiedy masz urodziny?

- 7 marca - odparłam.

- To już niedługo - zauważyła. - Organizujesz przyjęcie?

- Raczej nie - powiedziałam.

Zadzwonił dzwonek do drzwi i Michaela pobiegła korytarzem.

- Powinnaś je zorganizować - zachęciła mnie matka Michaeli. Potem skupiła się na zegarze astrologicznym. - Jeśli urodziłaś się pod znakiem Ryb w tym samym roku co Michaela...

Przesuwała dwoma palcami po zegarze, aż czerwone koniuszki jej paznokci spotkały się w jednym końcu.

- Hmm - mruknęła. Zmarszczyła brwi.

Od strony drzwi dobiegł mnie odległy śmiech Michaeli.

- Coś złego? - zapytałam.

- Nie liczy się sam horoskop, ale to, co z nim zrobisz - powiedziała jej matka. - Zresztą spowolnienie zupełnie przestawiło zegar. Wszystko jest teraz trochę niepewne, więc wcale nie musimy w to wierzyć.

Zbliżała się Michaela. Usłyszałam głos jakiegoś chłopaka.



- Uważaj na siebie, okej? - powiedziała jej matka. Kiedy mrugnęła, jej powieki błysnęły. - Na twoim miejscu przez jakiś czas byłabym ostrożniejsza niż zwykle.

Michaela wróciła do kuchni z chłopakiem, którego znałam ze szkoły. Kai był o rok starszym pół-Hawajczykiem. Onieśmielał mnie, kiedy tak stał w kuchni, nie uśmiechając się i czekając, aż ktoś go zabawi. Miał kremową, opaloną skórę i śnieżnobiałe zęby. Wsunął dwa kciuki w kieszenie niebieskich szortów i zerknął na matkę Michaeli w szlafroku.

- Już siódma? - zreflektowała się. - Cholera, lepiej pójde się ubrać.

Zostawiła nas troje w kuchni. Po jej wyjściu zapadło milczenie. Słysząc było jedynie wodę płynącą z dwóch fontann w kształcie łabędzi i wpadającą do basenu za domem. W końcu rozległa się za nami także muzyczka z gry wideo.

- To *Street Avenger* - zapytał Kai.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Leniwie przeszedł do salonu, szurając japonkami o kafelki.

- Kai jest super, no nie? - szepnęła do mnie Michaela, kiedy ruszyliśmy za nim. - W zasadzie nie jest moim chłopakiem, ale tak jakby jest.

- Przyjdzie ktoś jeszcze? - zapytałam.

- Nie - powiedziała. - A czemu?

Josh i Kai rozegrali trzy rundy *Street Avengera*, a ja i Michaela się temu przyglądałyśmy. Próbowałam się wyluzować, ciągle zakładałam nogę na nogę. W tamtych dniach często miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, ale chyba był to produkt wręcz odwrotnych okoliczności.

Matka Michaeli zjawiała się z powrotem, ubrana w połyskliwą sukienkę i buty na obcasach, z Harrym u boku, odzianym w brązowy sportowy płaszcz. Jej nowy chłopak był w dobrej formie,

wysportowany, ale musiał mieć dwadzieścia lat więcej niż ona. Znali się zaledwie od trzech miesięcy.

- Bawcie się dobrze, dzieciaki - powiedziała matka Michaeli. - Wrócimy późno.

Matka nie pozwoliłaby mi tu przyjść, gdyby wiedziała, że zostaniemy sami.

- Josh - dodał Harry, zwracając się do syna i opuszczając salon - odpowiadasz za wszystko.

Stukot obcasów matki Michaeli szybko ucichł w korytarzu i już wkrótce usłyszeliśmy grzechotanie bramy garażowej, która otworzyła się i zamknęła, oraz coraz cichszy warkot oddalającego się samochodu.

- Mam dość gier wideo - powiedziała Michaela. - Chodźmy do jacuzzi.

- Ale najpierw - wtrącił się Josh - potrzebujemy piwa.

- Macie piwo? - zainteresował się Kai.

Staralam się wyglądać jak dziewczyna, której nie zaskakuje obecność piwa.

- Zauważą, jeśli je weźmiemy - zaniepokoiła się Michaela.

- Nie, jeśli weźmiemy z magazynu - powiedział Josh.

- Z jakiego magazynu? - zapytałam.

Josh zeskoczył z kanapy i pobiegł korytarzem. Ruszyliśmy za nim. Był od nas starszy - miał trzynaście lat - wysoki i chudy, same kończyny. Zatrzymał się przed dużym lustrem, które wisiało na jednej ze ścian, oprawione w ciężką mahoniową ramę. Przesunął palcami wzdłuż krawędzi i pociągnął za nią. Lustro miało ukryte zawiasy, otworzyło się jak drzwi. A w ścianie za nim osadzono następne drzwi, tym razem z metalu.

- To stal - wyjaśnił Josh, wystukując kod na panelu obok. Usłyszeliśmy dźwięk otwierających się zamków. - Ma piętnaście centymetrów grubości.

Wtedy jeszcze nie widywałam takich rzeczy.

Po drugiej stronie drzwi było ciemno. Pstryknięcie włącznika światła ukazało nam ogromny pokój otoczony drewnianymi regałami, na których piętrzyły się zapasy: dziesiątki pudeł ze świecami, setki opakowań baterii, kartony owoców w puszcze i tuńczyka, warzyw, soków, mleka skondensowanego i mleka w proszku oraz dwadzieścia pięć słoików masła orzechowego. W rzędzie czystych plastikowych wiader stała owsianka, mąka i ryż. Stos cienkich srebrnych paczuszek połyskiwał w świetle.

- Dania liofilizowane - wyjaśnił Josh.

Setki butelek z wodą stały w potrójnym rzędzie na jednej z półek. Była tam piramida z papieru toaletowego. Ogromną zieloną tubę opatrzone grubymi literami tworzącymi napis: „Zestaw nasion przetrwania”. Kilka zrolowanych ściworów leżało jeden na drugim obok małego radyjka na korbkę i butli gazowej. Nad nami piętrzyły się pudełka z bandażami, gazą, mydłem i ustawionymi w rzędach fiolkami leków: antybiotykami, witaminami i jodyną.

- O rany - powiedział Kai.

Gapił się na szklaną gablotkę na przeciwległej ścianie, gdzie wisiały dwie strzelby i siedem noży w pochwach. Pod bronią leżało sześć pudełek z amunicją.

- Co to? - zapytałam.

- A jak myślisz? — odparł Josh.

Rozdawał nam piwo. Wzięłam swoje za szyjkę, dwoma palcami. Nawet nie wiedziałam, jak należy trzymać butelkę.

- Jego ojciec myśli, że zbliża się koniec świata - powiedziała Michaela - więc zgromadził tutaj te wszystkie rzeczy.

- Mamy tyle jedzenia, że wystarczy na rok - dorzucił Josh. -A pokój jest niewidoczny z zewnątrz, więc nikt się o nim nie

dowie. Kiedy wszystkim skończy się jedzenie, nikt się nie włamie, żeby ukraść nasze.

W porównaniu z tym wszystkim zapasy mojej matki były niczym.

Wyjątkowość tego domu nie kończyła się na magazynie. Cały budynek był naszpikowany gadżetami. Światła we wszystkich sześciu sypialniach wyposażono w wymyślne przyciemniacze zaprogramowane na określoną porę i mające naśladować wschody i zachody słońca. Supernowoczesne okiennice blokowały sto procent naturalnego światła w białe noce, a solarium w głównej sypialni, które Michaela nazywała leżakiem, w ciągu dwudziestu minut mogło dostarczyć dzienną dawkę światła słonecznego podczas dni, w których prawdziwe słońce nie wychylało się znad horyzontu. Kompleksowo wyposażona szklarnia, w której rosły marchewki i szpinak, była ukryta w domku nad basenem. Generator prądu zasilany słońcem stał gotowy do pracy.

- Zobaczcie - powiedział Josh - pewnego dnia wejdziecie do sklepu spożywczego i wszystkie półki będą puste.

Woda w jacuzzi była taka gorąca, że wręcz sprawiała ból. Przez jakiś czas siedzieliśmy na krawędzi i machaliśmy nogami, przyzwyczajając się do temperatury, a w końcu jedno po drugim wskoczyliśmy do środka. Michaela wylądowała na kolanach Kaia. Kiedy rozmawialiśmy, obracał w palcach kosmyk jej włosów. Josh usiadł tuż obok mnie. Wypiłam trochę piwa. Smakowało paskudnie. Ale nabrałam odwagi, siedząc z tymi dzieciakami w nowym dwuczęściowym stroju, z unoszącą się między nami parą.

Tymczasem świeciło słońce - ciemnawe i przydymione - a wiatr unosił drobinki popiołu, które lądowały na werandzie jak

śnieg. Te dalekie pożary tylko zwiększyły naszą radość. Oznaczały, że żyjemy w ważnych czasach.

- Pokazywaliście wam dom sekty? - zapytała Michaela.

Odwróciła się i wskazała jedną z pobliskich rezydencji. Z jakiegoś powodu nie otaczał jej płot, więc z podwórka za jednym domem można było obserwować podwórko za drugim. Budynek nie różnił się od pozostałych - był dwupiętrowy, utrzymany w hiszpańskim stylu, z trzystanowiskowym garażem. Ale to właśnie w jego murach czternaście osób popełniło samobójstwo, wypijając w sylwestra zatrute wino.

- Tylko że jednego nie było akurat w domu, więc przeżył -dokończyła Michaela. - Teraz tam mieszka zupełnie sam.

Stopa Josha otarła się o moją pod wodą. Doszłam do wniosku, że jest trochę podobny do Setha Moreno. Pociągnęłam łyceczka piwa. Kępa eukaliptusów kołysała się nad basenem. Wyglądały niezwykle zdrowo, bo - jak się później dowiedziałam - oświetlano je kwarcówkami ukrytymi wśród gałęzi.

Zamówiliśmy pizzę z podwójnym serem. Jedliśmy w kostiumach kąpielowych, mocząc kanapę przez ręczniki. Nanieśliśmy do domu mokrego popiołu i zostawiliśmy drzwi szeroko otwarte. Oglądaliśmy w telewizji wszystko, co można było w niej znaleźć; długo patrzyliśmy na scenę erotyczną w niemieckim filmie. Jedliśmy ciasteczka i lody, otworzyliśmy kolejne piwa. Szybko wróciło do mnie dawne poczucie przynależności.

Josh zaproponował grę, o której nigdy nie słyszałam.

- Ale to jest fajne tylko w ciemności - powiedziała Michaela. Była biała noc, dziesiąta wieczorem, od zachodu słońca dzieliło nas co najmniej sześć godzin.

- Możemy zamknąć okiennice i będzie ciemno - powiedział Josh. - Patrz.

Wystukał kod na innym panelu, w kuchni. Po sekwencji krótkich sygnałów rozległ się cichy mechaniczny warkot dobiegający ze wszystkich stron. Szare metalowe arkusze powoli zaczęły zjeżdżać na okna.

- Co to, do cholery? - zdziwił się Kai.

Słońce szybko słabło, gdy okiennice zsuwały się ku ziemi. Michaela włączyła światło, zanim w domu zrobiło się ciemno.

- Te okiennice też są ze stali - powiedział Josh. Staliśmy wokół jedynej zapalanej lampki, jakby była ogniskiem. Rzucała na nasze twarze żółtą poświatę. - I chronią nie tylko przed światłem. Przed ludźmi też.

Miałam wrażenie, że szykują się na atak potworów, chociaż potworami byli jedynie sąsiedzi, może nawet przyjaciele.

Michaela wyjaśniła zasady nowej gry, przeczesując palcami czarne włosy Kaia. Powiedziała, że to coś w rodzaju zabawy w chowanego, tyle że po odnalezieniu którejś z osób trzeba się schować razem z nią. Przegrywał ten, kto znalazł wszystkich jako ostatni.

Rzuciliśmy kostką, żeby wybrać osobę, która schowa się jako pierwsza, i padło na mnie. Pozostali zamknęli się w pokoju Michaeli, żeby dać mi czas na ukrycie się. Mieli policzyć do dwudziestu, zgasić światło i zacząć szukać w ciemności.

Schowałam się w magazynie, który zostawiliśmy otwarty. Przykucnęłam obok papieru *toaletowego* w głębi pomieszczenia. Po chwili zobaczyłam, że gaśnie światło. W oddali usłyszałam śmiech.

Czekałam, aż moje oczy przywykną do ciemności, ale nie przywykły. Przez te okiennice nie przedostawała się nawet odrobina

światła. Pozostała jedynie czerń, coś w rodzaju ślepoty. Było, jak mawialiśmy dawniej, „ciemno jak w nocy”.

Kilka minut później usłyszałam odgłos kroków na korytarzu obok magazynu, skrzypnięcie drzwi, czyjś oddech. Ktoś do mnie dołączył.

Kilka puszek spadło na podłogę.

- Cholera - odezwał się chłopięcy głos. Poznałam Josha, ale go nie widziałam. Nawet konturu, cienia, nic.

Chodził po omacku, aż w końcu jego ręce natrafiły na moje ramię.

- Znalazłem cię - szepnął.

A ja się ucieszyłam. Usiadł obok mnie na podłodze. Znowu dotknął mojego ramienia, jakby przez przypadek. Zyskaliśmy nową cudowną moc: niewidzialność.

- Ładnie wyglądałaś w stroju kąpielowym - powiedział.

- Dzięki - odparłam.

Uśmiechnęłam się niewidzialnym uśmiechem. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu jakiś chłopak powiedział, że mu się podobam. Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa.

- Nigdy nie całowałem się z dziewczyną - szepnął.

Na dnie oceanu są stworzenia, które mogą żyć bez światła. Wyewoluowały w taki sposób, że radzą sobie tam, gdzie inne zwierzęta by zginęły. Nas także ciemność obdarzyła pewnymi wyjątkowymi umiejętnościami. To, co było możliwe w ciemności, nigdy nie zadziałałoby w świetle. Milczałam i czekałam, co będzie dalej.

Poczułam jego oddech na policzku i znieruchomiałam. Mijały sekundy. A potem: przywarł ustami do mojej brody - nie trafił w ciemności.

- Nie szkodzi - powiedziałam. Nie odpowiedział. Odchrząknął.

- Spróbujemy jeszcze raz? - zapytał. Ale stchórzyłam.

- Przecież właśnie trwa gra - powiedziałam.

Kiedy poczułam, że znowu się do mnie przysuwa, odsunęłam się.

- No chodź - szepnął. - Za parę lat i tak wszyscy umrzemy.

- Nikt nie wie, co nas czeka - powiedziałam. Nasłuchiwałam kroków Kaia i Michaeli, ale na próżno.

- Kiedy skończy nam się jedzenie, wybuchną wojny - dodał. - Wielkie wojny.

Jeszcze raz spróbował mnie pocałować, ale zerwałam się z miejsca, uderzając w jedną z półek z tyłu. Coś roztrzaskało się na podłodze. Jeśli nastąpi katastrofa, będą mieli jeden słoik dżemu mniej.

- W porządku - zniecierpliwił się. - Powinienem był się domyślić, że jesteś totalnie drętwa.

Usłyszałam, jak wstaje i szurając nogami, idzie w ciemności do drzwi. W powietrzu uniośł się zapach truskawek.

- Zresztą - dodał - Michaela zaprosiła cię tylko dlatego, że mama jej kazała. Nie chciała jej pozwolić zaprosić chłopaka, jeśli nie będzie, tu kogoś „odpowiedzialnego”.

Wiedziałam, że mówi prawdę - nagle cały ten wieczór, złudzenie optyczne, stał się jasny. Przez cały rok Michaela nigdzie mnie nie zapraszała.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i zamknęły. Znowu zostałam sama w ciemności.

Siedziałam tam jeszcze chwilę. Jedynym rozwiązaniem wydawało się dalsze ciągnięcie gry. Ale nikt inny się nie zjawił i wkrótce pod drzwiami magazynu pojawił się jasny prążek. W domu włączono światło - albo podniesiono okiennice.



W korytarzu musiałam zmrużyć powieki, żeby cokolwiek widzieć. Moje oczy wolno przyzwyczajały się do oświetlenia. Reszta znów oglądała telewizję: Michaela i Kai z nogami splecionymi na kanapie. Michaela jadła cukierki z kartonowego opakowania. Josha nie było w pokoju.

- No, jesteś - powiedziała Michaela. Miała na sobie tylko bikini. Jej włosy nie wyschły jeszcze po jacuzzi. - Nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć.

Niebieskie światło telewizora połyskiwało jej na twarzy. Kai nie odrywał wzroku od ekranu.

- Przestaliście szukać? — zapytałam.

- Nie mogliśmy cię znaleźć - powtórzyła. Odwróciła się z powrotem do telewizora. - Josh powiedział, że sprawdził w magazynie, ale cię tam nie było.

Później zasnęłam w dzinsach na kanapie. Budziłam się dwa razy: raz kiedy matka Michaeli i Harry beztrósco wrócili do domu - stukanie obcasów o kafelki, śmiech ich obojga - i drugi raz, później, na dźwięk torsji któregoś z chłopaków - chyba Josha - wymiotującego w łazience.

Rano wstałam jako pierwsza. Na blacie leżało otwarte pudełko po pizzy, a obok niego oklapnięte opakowanie z rozpuszczonymi lodami. Ale ktoś uprzątnął butelki po piwie.

W ciągu nocy zaszło słońce. Było ciemno i zimno i miało być ciemno przez cały dzień.

Zadzwoiłam do domu, matka wysłała ojca, żeby po mnie przyjechał. Wyszedł bez pożegnania. Ktoś musiał podnieść słuchawkę, kiedy zadzwonił strażnik z budki, bo wkrótce na kolistym podjeździe pojawił się samochód mojego ojca z włączonymi reflektorami.

- Dlaczego tak wcześnie? - zapytał, kiedy wsiadałam. - Coś się stało? Powietrze mocno pachniało dymem. Samoloty gaszące pożar nie mogły latać w ciemności, więc ogień szalał godzinami. Radio samochodowe przekazało wieść o jeszcze jednej dziwnej historii: wiejskie tereny Kansas nawiedziło trzęsienie ziemi. Pierwsze o takiej sile, jakie kiedykolwiek tam odnotowano.

- Po prostu miałam ochotę wrócić do domu - powiedziałam.

Dwa dni przed moimi dwunastymi urodzinami ocean wyrzucił na naszą plażę grupę walen. Pewnego dnia mieszkający w pobliżu ludzie obudzili się i ujrzeli je na piasku - bezwładne i obracające się resztkami sił, zostawione przez fale, które wycofywały się już bez nich. Dziesięć morskich stworzeń uwięzionych na lądzie.

Masowe zjawiska tego typu stawały się powszechne na całym świecie. W Australii dwa tysiące grindwali i tysiąc dwieście delfinów utknęło razem na jednej plaży. W Afryce Południowej podobny los spotkał orki. Na Cape Cod morze wyrzuciło osiemdziesiąt dziewięć fałdowców.

Mnożyły się teorie. Ale dowodów było niewiele. Ocean się zmieniał - tyle wiedzieliśmy. Zmieniały się prądy. Rozpasały się przyływy i odpływy. Przyływy sięgały coraz dalej. Odpływy coraz dalej się cofały. Łańcuch pokarmowy pękał i w niektórych wodach utworzyły się nowe martwe strefy. Możliwe, że głodujące wieloryby zapuszczały się na płyciznę w poszukiwaniu pożywienia.

Niektórzy wyznawali jednak bardziej konserwatywne poglądy.

- Takie rzeczy zdarzały się w różnych momentach historii - powiedziała pani Mosley, nasza nowa nauczycielka fizyki, kiedy wierciliśmy się na taboretach w laboratorium.

Pod opieką pani Mosley przestaliśmy aktualizować ścianę układu słonecznego stworzoną przez pana Jensena. Czarny papier do pakowania zaczął blaknąć. Papierowe planety wywijają się na krawędziach, a księżyc spadł z nieba. Etykieta pod Ziemią nadal wskazywała „28 godzin i 6 minut”, mimo że naturalne dni były już ponad dwukrotnie dłuższe.

Pani Mosley w szarej ołówkowej spódnicy i białej koszuli z kołnierzykiem pochyliła się nad laptopem z przodu laboratorium, żeby pokazać nam w internecie zdjęcia setek wielorybów wyrzuconych na plażę w XIX wieku.

- Widzicie? - powiedziała. - Te wieloryby, które ostatnio utknęły na plażach, wcale nie muszą mieć związku ze spowolnieniem.

Ale my jej nie wierzyliśmy. Wiedzieliśmy, co nadciąga.

Zacząłam spędzać przerwy na lunch w bibliotece, gdzie Trevor Watkins siedział przygarbiony przy komputerze, napędzając statek kosmiczny paliwem z prawidłowo rozwiązanych zadań z algebry, a Diane Kofsky czytała romans, pogryzając ukradkiem chrupki serowe wyjmowane z plecaka - w bibliotece nie było wolno jeść ani rozmawiać.

Jedynym dobrym usprawiedliwieniem dla siedzenia w bibliotece podczas przerwy na lunch była konieczność odrobienia pracy domowej na następną lekcję. Ale moja praca domowa była już odrobiona. Zamiast tego próbowałam czytać - wybrałam powieść o chłopcu, który utknął samotnie w kanadyjskiej

dziczy - lecz nie potrafiłam się skupić na słowach. Pani Marshall siedziała przy swoim biurku i czytała gazetę, od czasu do czasu podnosząc głowę, żeby poobserwować ruchy Jessego Schwartza. Pewnie wszyscy siedzieliśmy w bibliotece wbrew swojej woli, ale Jesse trafił tam za karę za jakieś nieznanne, ale łatwe do wyobrażenia wykroczenie. Siedział sam przy stole w głębi biblioteki, wiercąc się i gapiąc na szkolny dziedziniec, gdzie było jego prawdziwe miejsce, jego naturalne środowisko, i skąd dobiegały nas dźwięki stłumione do słabego podwodnego pomruku.

Mniej więcej w połowie przerwy rozsunęły się szklane drzwi biblioteki. Hałas z zewnątrz wdarł się do środka, lecz został szybko odcięty, kiedy drzwi zamknęły się z hukiem.

Gdy zobaczyłam, kto przyszedł, poczułam się tak, jakbym ściągnęła go tu myślami. Różnił się od reszty z nas siedzących w bibliotece - lepiej wyglądał, był bardziej lubiany. Seth Moreno: nigdy wcześniej nie widziałam go w bibliotece podczas przerwy na lunch.

Usiadł dwa krzesła ode mnie. Przez wiele minut zastanawiałam się, czy ta bliskość jest dziełem przypadku, czy może woli.

Oparł deskorolkę o krzesło. Dianę oderwała wzrok od książki. Nieczęsto widywało się deskorolki w bibliotece.

Wyciągnął z plecaka notes na spirali i automatyczny ołówek. Otworzył notes na czystej stronie i przyglądał ją dłonią.

Zaczął ostrożnie rysować na papierze w linie. Widziałam, jak spod koniuszka ołówka powoli wyłania się kształt ptaszka w locie, ze skrzydełkami przyciśniętymi do boków. Seth narysował drugiego ptaka, kilka centymetrów wyżej na niebie. Zaczął rysować trzeciego, wygumkował go, zaczął od nowa.

W bibliotece było słycać trzeszczenie krzesel przy każdym naszym oddechu, stukanie klawiatury pod palcami Trevora, stłumiony odgłos pęknięcia chrupków serowych pod zębami Dianę,

szelest przewracanych przeze mnie kartek - oraz ciche, przyjemne drapanie ołówka Setha o papier. Ktoś stuknął w okno od zewnątrz.

- Boże - szepnął do mnie Seth. - Nie mogę tam wytrzymać, wiesz?

Spojrzał na mnie, a potem znowu na swój rysunek. Kiedy mrugał, jego rzęsy tworzyły gęstą zasłonę.

- Wiem - powiedziałam w końcu.

Zadzwoił dzwonek. Zaczęliśmy się pakować. Diane męczyła się z zamkiem swojego plecaka. Trevor dalej garbił się przed komputerem.

- Trevor - odezwała się pani Marshall za biurkiem. - Zadzwoił dzwonek.

I wtedy nagle poczułam, że ktoś stoi obok mnie: to był Seth. Mówił coś. Seth coś do mnie mówił.

- Hej - powiedział.

Istnieje pewien rodzaj szoku możliwy wyłącznie wtedy, kiedy jest się młodym. Pomyślałam, że chyba mówi do kogoś innego.

- Dzięki za kartkę - dodał.

- A - powiedziałam. - Nie ma za co.

- Słyszałaś o walenkach? - zapytał.

Musiałam podnieść głowę, żeby zobaczyć jego oczy. Bałam się, że mogę powiedzieć coś złego, więc przez chwilę nie mówiłam nic.

- Tak - odparłam.

Czekał, aż coś dodam. Czuję, że robię się czerwona. Pod sufitem biblioteki wisiały flagi wszystkich krajów na świecie.

- Może komuś uda się im pomóc i wrócą do wody - powiedziałam.

Ale Seth przecząco pokręcił głową.

- Prawdopodobnie znowu wypłynęłyby na plażę - oznajmił. - Mój tata jest naukowcem. Mówi, że kiedy walenie wypływają na plażę, zawsze istnieje jakiś powód.

Do biblioteki zaczęły się schodzić inne dzieciaki - te, które miały wystawione przez lekarza zwolnienie z wuefu.

- Po szkole idę na plażę, żeby je zobaczyć - ciągnął Seth. Kółka jego deskorolki obróciły się powoli, kiedy przełożył ją do drugiej ręki. - Chcesz pójść ze mną?

- Co? - zapytałam.

Spośród wszystkich dziwnych zjawisk, które nawiedziły nas tamtego roku, chyba żadne nie zaskoczyło mnie bardziej niż to małe pytanie z ust Seta Moreno:

- Chcesz pójść ze mną?

Nadal pamiętam czerwone romby na bibliotecznej wykładzinie i łopotanie małych flag nad głowami wywołane otwieraniem i zamykaniem się drzwi.

- W porządku - powiedziałam.

- No to w porządku - powtórzył. I tyle. Odwrócił się i poszedł.

W drodze do domu usiedliśmy w autobusie osobno. Obydwoje wysiedliśmy na tym samym przystanku co zawsze, z tymi samymi ludźmi. W naszej dzielnicy było gorąco i mgliście. Na pustej parceli wzbijał się kurz. Pozostałe dzieciaki się rozeszły. Ruszyłam w stronę Seta. Myślałam, że rzuci deskorolkę na asfalt i zjedzie ze wzgórza beze mnie. Może źle go zrozumiałam. Może to był jakiś żart.

Ale zamiast tego odwrócił się i mrużąc oczy, powiedział:

- Po drodze możemy zostawić plecaki u mnie w domu.

Szliśmy w milczeniu. Komunikowaliśmy się za pośrednictwem stóp: moje szły za jego po połyskliwym chodniku prowadzącym do domu Seta.

Nie powiedziałam rodzicom, dokąd się wybieram. I tak mieli wrócić z pracy dopiero za kilka godzin.

Seth mieszkał dwie ulice od nas, w beżowym domu w stylu rancho, z zardzewiałą obręczą do koszykówki zawieszoną nad garażem. Podwórko przed domem pokrył piach. Rząd doniczek z terakoty stał pozbawiony kwiatów.

Drzwi nie były zamknięte na klucz i od razu weszliśmy do środka, żeby zostawić plecaki w korytarzu usłanym gazetami i rzeczami do prania. Grube narzuty pełniły funkcję prowizorycznych zasłon. Zbiornik z tlenem i towarzyszący mu przewód leżały w kącie splecione jak szczątki. W tym domu zmarła matka Setha.

- Chcesz coli? - zapytał. -No.

Wypiliśmy ją przy stole w kuchni.

Powiedział, że jego ojciec jest w pracy, że ciągle tam siedzi. Wyjaśnił, że pracuje jako bioinżynier i stara się stworzyć nowy rodzaj kukurydzy.

- Jeśli się uda - dodał - będzie ją można uprawiać bez światła.

Seth znał skrót przez kanion na plażę. Szlak był stromy i piaszczysty, usłany szyszkami i ocieniony skarpami z wapienia. Kanion pachniał tak samo jak zawsze, ziemią i szałwią, ale kolory Kalifornii robiły się surowsze. Wszystkie zielenie blakły. Prawie wszystko umierało. Mimo to w kanionie bzycały chrząszcze, moskity i muchy - to, co dawniej zjadały ptaki, nadal miało się dobrze, nieniepokozone przez nikogo.

- Uważaj na węże - ostrzegł mnie Seth.

Podobał mi się jego sposób chodzenia: odprężony i niespieszny krok chłopaka, który zna drogę. Byłam dziewczyną, która idzie razem z nim, więc szłam w taki sam sposób.

Szlak skręcił i ukazała się plaża. Był odpływ - jeszcze nigdy nie widziałam, żeby linia wody odsunęła się tak daleko. Spowolnienie



rozhuślało pływy. Dziesiątki metrów odsłoniętego morskiego dna były poznaczone czarnymi wstążkami żelaza - obnażone wnętrzości oceanu.

Na chwilę zatrzymaliśmy się na szlaku i patrzyliśmy na ocean, ramię przy ramieniu. Nasze dłonie były tak blisko, że prawie się dotykały.

Przeszliśmy na drugą *stronę* drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża, zanurkowaliśmy pod taśmą ostrzegawczą i przecięliśmy teren oddzielający dwie podupadłe rezydencje, jeszcze mokre po ubiegło-nocnym przyptywie. Jeden z domów oklapł jak tort. Do jego murów przyczepiły się pąkle. Schody przed drzwiami usłane były ukwiałami.

Pochyliłam się, żeby zdjąć buty.

- Patrz - powiedział Seth.

I wtedy je zobaczyłam: walenie, ciemne i nieruchome, o prehistorycznych rozmiarach.

Na plaży zebrał się mały tłum. Dobrzy samarytanie polewali zwierzęta słoną wodą. Inni ochotnicy wracali znad odległego brzegu, kołysząc się pod ciężarem wiader pełnych wody z oceanu.

Słyszeliśmy oddech waleni, powolne wznoszenie się i opadanie. Słuchaliśmy. Patrzyliśmy. Te stworzenia miały stadną naturę: cała grupa cierpiała z powodu niedoli jednego osobnika. Od razu było widać, że umierają. Ale nic nie mogliśmy na to poradzić: staliśmy jak zahipnotyzowani.

Seth podniósł z piasku dwa puste plastikowe kubki. Wchodziły w skład starych śmieci. Podał mi jeden z nich.

- Musimy coś zrobić - powiedział. - Chodź.

Boso pobieглиśmy nad wodę z kubkami w rękach. To był długi bieg. Błoto wsysało nam stopy. Jakieś niewidoczne stworzenia pełzły mi pod palcami. Martwe ryby połyskiwały w słońcu, a wiatr szarpał mnie za *włosy*. Kiedy w końcu dotarliśmy do

pluskającej wody i odwróciliśmy się, ludzie na plaży byli ledwie widoczni. Ich cieniutkie ręce i cieniutkie nogi bezdźwięcznie łopotą wokół wielorybów. Słyszeć było jedynie huk oceanu.

Szybko napełniliśmy kubki wodą, a potem pobiegliśmy z powrotem przez gruby pas błota. Rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu najbardziej wyschniętego walenia, najbardziej potrzebującego. Znaleźliśmy go na końcu grupy i pomyśleliśmy, że jest starszy od pozostałych. Skórę miał poznaczoną białymi bliznami. Odgoniłam muchy od jego oczu, najpierw od jednego, potem od drugiego. Seth wylał nasze skromne zapasy wody na jego głowę i usta. Pogładził go po boku. Wyglądało to jak nagła potrzeba, jak miłość.

- Hej, dzieciaki - zawołał ktoś za naszymi plecami. Był to mężczyzna w słomkowym kapeluszu, w ręku kołysało mu się puste białe wiadro. Podmuch wiatru stłumił jego słowa, więc krzyknął jeszcze raz: - Ten już nie żyje.

Ponuro wspinaliśmy się z powrotem przez kanion. Byliśmy zgrzani i wycieńczeni. Słońce świeciło od dwudziestu trzech godzin. I nic nie wskazywało na to, żeby miało niedługo zejść.

- To wszystko wina pola magnetycznego - powiedział Seth.

- Jak to?

W kanionie wiał silny wiatr, wzbijając w górę pył i uschnięte liście.

- To dlatego walenie wypływają na plaże. Wykorzystują pole magnetyczne do nawigacji, a ono teraz słabnie z powodu spowolnienia.

Spojrzałam na niebo, na gładki, nieskalany błękit.

- Nie zobaczysz go - wyjaśnił Seth. - jest niewidzialne.

To były dopiero pierwsze walenie. Wkrótce na plażach Kalifornii miały się pojawić setki następnych. Potem tysiące. Dziesiątki

tysięcy. I jeszcze więcej. W końcu ludzie przestali próbować je ratować.

- Nie tylko walenie potrzebują pola magnetycznego - dodał Seth, kiedy dotarliśmy na skraj kanionu i wyszliśmy na chodnik. - My też. Mój tata mówi, że bez niego umrą wszyscy ludzie.

Ale tamtego dnia prawie go nie słuchałam. Myślami błądziłam gdzieś indziej. Byłam trochę zakochana. Spędziłam z Sethem Moreno całe popołudnie.

Eukaliptusy trafiły do Kalifornii w latach pięćdziesiątych XIX wieku. Przywieziono je z Australii, nasiona przebyły pięć tysięcy mil oceanu, zanim dotarły do gleby naszego stanu. Pnie miały dawać cudowne drewno, idealne do setek różnych celów, zwłaszcza na podkłady kolejowe. Ale okazało się bezużyteczne. Zwijało się podczas suszenia i rozwidlało pod gwoździem. Stanowy przemysł eukaliptusowy upadł, zanim zdążył rozkwitnąć.

Ale drzewa pozostały - i się rozrastały. W latach mojej młodości były wszędzie, podobnie jak w latach młodości mojego dziadka. Ich smukłe sylwetki łopotały kiedyś wzdłuż nadbrzeżnych kanionów, na skarpach przy plaży, wokół boisk do piłki nożnej. Ich długie liście unosiły się w basenach i rynsztokach. Sunęły wzdłuż brzegów słonowodnych lagun. Przez ponad sto pięćdziesiąt lat eukaliptusy czuły się w Kalifornii doskonale i przetrwały wszelkie plagi: trzęsienia ziemi, susze, wynalezienie samochodu. Ale teraz masowo cierpiały. Liście traciły kolor. Z otworów w korze sączyły się pomarańczowe soki. Drzewa powoli umierały.

Rankiem w dniu swoich dwunastych urodzin leżałam obudzona w ciemności, wspominając szczegółowo wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia: sposób, w jaki Seth mrużył oczy, kiedy szliśmy przez kanion, delikatność jego dłoni, kiedy głaskał grzbiety wielorybów, dźwięk jego głosu pod koniec dnia i te słowa - „do zobaczenia później” - kiedy się odwrócił i wskoczył na deskorolkę, by po chwili odepchnąć się mocno stopą i spłynąć bokiem ze wzgórza, łopocząc białą koszulką na wietrze. Ciągle musiałam sobie powtarzać, że to się stało naprawdę: że to właśnie on zaprosił właśnie mnie.

W moim pokoju było ciemno. W domu - cicho.

Za kilka godzin miałam zobaczyć Seta na przystanku i chciałam wtedy powiedzieć dokładnie to, co należy, odgadnąć słowa, które doprowadzą do następnego popołudnia u jego boku.

Właśnie wtedy to usłyszałam: głośny trzask za oknem. Pamiętam brzęk szkła i wycie alarmów samochodowych. Podbiegłam do okna: najwyższy eukaliptus przy naszej ulicy rozłupał dach Sylvii i zmiażdżył róg jej domu.

Z czasem zaczęłam wierzyć w znaki. Zastanawiałam się jednak, czy gdybym żyła przed spowolnieniem, mój umysł stałby się bardziej racjonalny. Być może w jakiejś innej epoce wystarczyłaby mi nauka i nie potrzebowałabym przesądów.

Rodzice wybiegli z domu, matka w szlafroku, ojciec bez koszuli. Była ciemna noc, pochmurna, bez gwiazd. Drzewo leżało ukośnie na podwórku, blokując dostęp do drzwi Sylvii. Odsłonięte korzenie wisiały w powietrzu jak ząb trzonowy wyrwany z dziąsła. Jedna część dachu Sylvii się zapadła.

W sypialniach wzdłuż całej ulicy rozbłyły światła, drzwi otwierały się i z podwórek dobiegały głosy sąsiadów. Ale w domu Sylvii nadal było ciemno i cicho. Niektórzy mężczyźni podbiegli

do niego w piżamach, ale mój ojciec dotarł tam pierwszy, wpadł bocznym wejściem i zniknął nam z oczu. Matka stała na środku ulicy z rękami splecionymi na piersi. Stałam obok niej, dygocząc w koszuli nocnej.

- Powinna była ściąć to drzewo - powiedziała matka. Dwa nasze zostały już usunięte. W całej dzielnicy widać było

pnie, a ekipy mężczyzn w odblaskowych kombinezonach bezustannie pracowały wzdłuż dróg, ścinając drzewa jedno po drugim, a potem wywożąc je w kawałkach.

- Powinniśmy wyciąć resztę naszych - dodała matka. Zrobiła kilka kroków w stronę domu Sylvii i stanęła na palcach, żeby lepiej widzieć.

- Gdzie on się podział? - zapytała.

Kiedyś myślałam, że matka wiedziała o ojcu i Sylvii co najmniej tyle ile ja, że każde zadawane przez nią pytanie miało ukryte znaczenie. Ale może tylko coś podejrzewała.

Ona też miała swoje tajemnice. Ukrywała nowe ogromne zapasy w szafie w pokoju gościnnym. Gromadziła setki puszek z jedzeniem i chowała je przed ojcem. Poza tym bez jego wiedzy złożyła zamówienie na szklarnię.

Wreszcie bocznymi drzwiami wyszedł ojciec. Była z nim Sylvia, opierała się o jego ramię, ale jakoś szła, bosą w krótkiej białej koszuli nocnej.

Ojciec zaprowadził ją na naszą werandę, gdzie usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

- Nic jej się nie stało - powiedział. - Jest po prostu roztrzęsiona.

Matka przyniosła jej szklankę wody, choć podając ją, zachowywała dystans.

Koszula nocna Sylvii odsłaniała całe plecy. Z przodu przez cienką bawełnę widać było zarys małych piersi. Długo siedziała przycupnięta na naszych schodach jak dziewczynka. Rzadko

widuje się dorosłych ludzi, którzy płaczą tak jak ona tamtej nocy: otwarcie, bez końca, bezwstydnie.<sup>1</sup>

- Drzewo uderzyło w fortepian - powiedział cicho ojciec.

- To nie był wypadek - odezwała się Sylvia, wycierając nos grzbietem dłoni.

Pozostali sąsiedzi rozeszli się do domów. Światła gasły. Była piąta tano podczas ciemnej nocy.

- Drzewo chorowało - przekonywał ojciec.

- Nie - powiedziała Sylvia. Pokręciła głową. Miała bardzo cienką, łabędią szyję. Kiedy kręciła głową, ukazywały się kręgi jej kręgosłupa. - Ktoś to zrobił celowo.

Sylvia była ostatnią zwolenniczką czasu prawdziwego na naszej ulicy. Kapłanowie wyjechali. Tom i Carlotta się wyprowadzili. Jakaś młoda rodzina kupiła ich dom i zaczęła remont.

- Mówię ci, Joel - powiedziała Sylvia.

Sposób, w jaki wymówiła imię swojego ojca, nie przypominał sposobu, w jaki sąsiadka zwraca się do sąsiada. Matka też to usłyszała. Spojrzała na ojca i mocniej owinęła szyję szlafrokiem.

- Próbuję mnie stąd wykurzyć - dodała Sylvia.

Później usiłowałam zasnąć i przespać ostatnią godzinę przed dźwiękiem budzika, ale mi się nie udało. Tymczasem rodzice kłócili się za drzwiami sypialni. Nie słyszałam, co mówią, ale wiedziałam, co wyrażają ich słowa: przez drzwi przebijała złość.

Wśród dziewczyn w mojej szkole panowała tradycja nakazująca obdarowywać balonem tą, która akurat ma urodziny. Balon zawsze był taki sam: lśniący, z błyszczącej folii, kupowany w sklepie z akcesoriami na imprezy. Nosiło się go przez cały dzień przywiązanego do plecaka, pozwalając, by unosił się z tyłu, pękaty

i uroczy, przez całą matematykę, angielski, biologię i wuef. Obciążony małym woreczkiem z fasolą, balon podskakiwał nad morzem głów w korytarzu niczym boja wskazująca dokładną lokalizację szczęśliwej, lubianej dziewczyny. Spowolnienie nie zakłóciło tej tradycji.

Rok wcześniej dostałam balon od Hanny - ale to było w poprzednim życiu, albo w życiu kogoś innego, we wcześniejszej, nieskomplikowanej wiosnie.

W tym roku byłam pewna, że moje urodziny przejdą w szkole niezauważone. Starłam się w ogóle o nich nie myśleć, ale nie potrafiłam opanować smutku, kiedy rano zobaczyłam na przystanku Hannę siedzącą pod płótnem z telefonem przyciśniętym do ucha. Nawet się ze mną nie przywitała.

Stałam na skraju tłumu na przystanku autobusowym, czekając w ciemności na przybycie Seta. Długo się zastanawiałam, w co się ubrać, i w końcu zdecydowałam się na kremowy moherowy sweterek, który miałam na sobie w dniu robienia zdjęć, i na dzinsową spódnicę do kolan.

Mrugały gwiazdy. Świeciły reflektory samochodów. Dzieciaki wlokły się piechotą z różnych stron. Niektóre wysiadały z samochodów pracujących na jałowym biegu, z plecakami przewieszonymi przez ramię. Seta wśród nich nie było.

Mijały minuty. Zaczęłam się trząść.

Przestępowałam z nogi na nogę, a potem ku swojemu przerażeniu zauważyłam, że włosy na moich nogach połyskują w świetle latarni. Poczulałam nagłe zakłopotanie, stojąc zaledwie kilka kroków od gładko ogolonych łydek Michaeli, które akurat w tej chwili atrakcyjnie przesuwają się w czarnych sandałkach na obcasie, kiedy ich właścicielka śmiała się do ucha jednemu z chłopaków z ósmej klasy.



Wreszcie w oddali rozległ się dźwięk wydawany przez plastikowe kółka na asfalcie, szurnięcie deski o krawężnik. Moje serce zaczęło galopować. Zjawił się Seth Moreno.

Zszedł z deskorolki. Wsadził ją sobie pod pachę.

Chciałam mu powiedzieć, że słyszałam o następnej grupie waleni wyrzuconych na brzeg kilka kilometrów dalej. Ale nie wiedziałam, jak zacząć. To było dla mnie coś nowego: specjalny rodzaj komunikacji łączący chłopaków z dziewczynami.

Autobus dobił do krawężnika i dzieciaki zaczęły wchodzić po schodkach, ale ja ociągałam się na chodniku, czekając, aż Seth mi pokaże, jak między nami będzie. Nasze spojrzenia się spotkały. Seth lekko skinął głową.

Ćwiczyłam tę chwilę godzinami, przerobiłam sto różnych scenariuszy. Kiedyś pan Jensen próbował nam uzmysłwić, że gdzieś tam istnieją równoległe wszechświaty, nieosiągalne, lecz prawdziwe, a w nich realizują się wszystkie możliwości; to, co nie dzieje się tutaj, następuje gdzieś indziej, każda wersja rozgrywa się w osobnym wszechświecie. Ale w moim rzeczywistości zredukowały się tamtego ranka do jednej:

Seth przez chwilę stał na chodniku, odwracając ode mnie wzrok. Nie uśmiechnął się. Nic nie powiedział. A potem mnie ominął i poszedł dalej, jakbyśmy byli sobie obcy: dwoje dzieciaków, które wcale się nie znają. Wszedł do autobusu i nawet się nie obejrzał.

Nie wiem, ile minęło potem czasu - trzydzieści sekund, może więcej - ale w końcu zdałam sobie sprawę, że kierowca autobusu wrzeszczy do mnie ze swojego siedzenia.

- Hej, ty! - wołał, przekrzykując warkot silnika. - Wsiadasz?

Wszyscy siedzieli już w autobusie. Kilka osób gapiło się na mnie przez upačkane okna i ich usta wykrzywiały się w pogardliwych uśmieszkach. Byłam dziewczyną, która stoi sama na

piachu ubrana w kremowy moherowy sweterek i głupią dżinsową spódnicę. Ledwie mogłam oddychać.

Zbyt późno - dopiero kiedy już w końcu weszłam do autobusu i usiadłam z przodu, piętnaście rzędów od Setha - uświadomiłam sobie, że mogłam zniknąć w kanionie i nikt by tego nie zauważył.

Przerwę między lekcjami spędziłam w toalecie. Kolejną, tę na lunch, przesiedziałam w bibliotece. Dianę jak zwykle też tam była, złoty krzyżyk na jej szyi połyskiwał w świetle jarzeniówek. Trevor stukał w klawiaturę komputera, zajęty grą, w którą zawsze grał. Uzyskiwał w niej najlepsze wyniki. Pani Marshall odkładała książki na półki - słyszeliśmy skrzypienie jej wózka, kiedy popychała go po wykładzinie, i szelest celofanowych okładek, kiedy wsuwała książki na ich miejsce. Za każdym razem, gdy rozlegało się skrzypnięcie otwieranych drzwi, miałam nadzieję, że to Seth Moreno - że przyszedł mnie przeprosić albo się wytłumaczyć.

W mojej głowie zaczęła kiełkować ponura myśl: może nie chciał, żeby widywano nas razem w szkole.

Przez okna wsączały się stłumione piski innych dzieciaków biegających po boisku. Te dzieciaki nigdy nie chodziły same.

Za oknem biblioteki jak gdyby nigdy nic przeszła Christy Castañeda - ona też miała dziś urodziny i nie jeden, lecz dwa balony kołysały się nad jej delikatnym nadgarstkiem, każdy podpisany na pustej srebrnej stronie zamaszystą, czułą kursywą.

Na pierwszej lekcji matematyki dla zaawansowanych w tamtym roku szkolnym pani Pinsky narysowała na białej tablicy wykres w kształcie lejka, mający pokazać, że rozpoczął się proces odsiewania.

- Na razie wszyscy jesteście na lekcjach dla zaawansowanych — powiedziała - ale liczba uczniów, którzy są w stanie zrozumieć matematykę, będzie topniała z każdym rokiem.

Nastał ten okres w życiu, w którym talenty zaczynały wypływać na powierzchnię, uwidaczniały się słabości, dowiadywaliśmy się, jakimi będziemy ludźmi. Niektórzy mieli się okazać piękni, inni zabawni, jeszcze inni nieśmiali. Niektórzy mieli być bystrzy, inni nawet bardziej. Ci puciołowaci prawdopodobnie mieli tacy pozostać. Czułam, że ci kochani będą kochani do końca życia. I martwiłam się, że samotność działa w podobny sposób. Może była zapisana w moich genach, przez lata leżała uśpiona, a teraz szykowała się do rozkwitu.

Udawałam, że czytam. Zegar tykał. Seth się nie pojawił.

W takie ciemne dni jak tamten okna biblioteki były rozświetlone jak akwarium, a siedzący w środku ludzie widoczni z zewnątrz jak na dłoni: najbardziej egzotyczne ryby, samotne, niekochane, dziwne.

Wieczorem eukaliptus Sylvii był już pocięty na kawałki, które leżały na podjeździe jak obgryzione kości. Dziurę w dachu zakryła biała folia szeleszcząca przy każdym podmuchu wiatru. Słońce jeszcze nie wzeszło.

Tamtego wieczoru ojciec długo oglądał ostatniego eukaliptusa na naszym podwórku. Połowa drzewa nadal wypuszczała liście, ale druga połowa uschła i ta martwica zdawała się rozprzestrzeniać. Zanim wyruszyliśmy na moją urodzinową kolację, ojciec wezwał specjalistów od wycinania drzew.

Matka wróciła do domu, przynosząc mi urodzinowy prezent: parę złotych baletek z ozdobnym marszczeniem. Dziewczyny

w szkole nosiły takie od miesięcy. Wsunęłam je na nogi. Skrzypiały na kafelkach.

Ojciec dał mi książkę.

- To była moja ulubiona książka, kiedy miałem mniej więcej tyle lat co ty teraz - powiedział. Na okładce zobaczyłam góry, dolinę, księżyc. Strony pachniały kurzem i pleśnią. - Opowiada o chłopcu, który jest sam na świecie. Przez dłuższy czas czuje się naprawdę samotny. Ale potem, no cóż, sama się przekonasz.

Pamiętam, że ta książka krążyła w naszej klasie dwa albo trzy lata wcześniej. Nie czytałam jej, ale teraz byłam już na nią za duża.

- Dzięki - powiedziałam i położyłam ją na kolanach. Ścisnął mnie za ramię. Wyruszyliśmy na kolację.

- Dobrze, że w twoje urodziny nie poczułam się źle - powiedziała matka, kiedy jechaliśmy na wschód, w stronę domu dziadka.

Mieliśmy go zabrać po drodze do mojej ulubionej restauracji. Nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę. Jego głos potrafił się przebić przez wszystkie smutki.

- Nadal uważam, że powinniśmy byli zorganizować przyjęcie — ciągnęła matka. - Trzeba świętować dobre chwile.

- Świętujemy - powiedział ojciec. Spojrzał na mnie we wstecznym lusterku. - Właśnie tego chciała.

Z każdym razem, kiedy tamtędy jechaliśmy, krajobraz wydawał się bardziej pozbawiony życia. Nie chodziło jedynie o trawę

i eukaliptusy. Widzieliśmy też subtelniejsze zmiany. Byłam pewna, że brzeg laguny jest bardziej brązowy niż kiedyś, pałki i trzciny nie rosły już tak bujnie jak dawniej. Unikaliśmy mówienia o tym na głos - na razie mieliśmy szklarnie i kwarcówki, które zapewniały nam pożywienie - ale trudno było ignorować to, że rośliny po cichu znikwały w toku postępującej dewastacji.

Bóg jeden wie, co się działo na mniej szczęśliwych kontynentach. Za to pole golfowe z każdym dniem wyglądało lepiej, trawa była bujniejsza i czystsza niż kiedykolwiek. Cała dawna zieleń została zastąpiona wysokogatunkową sztuczną darnią, a po wzgórzach powoli toczyły się wózki golfowe: życie pozagrobowe pola golfowego.

— Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy zaprosić Hanny -powiedziała matka. Odwróciła się do mnie i pas bezpieczeństwa wbił jej się w szyję. - Kiedyś byliście takimi dobrymi przyjaciółkami.

- Ale już nie jesteśmy - odparłam.

Posiadłość dziadka wyglądała gorzej niż zwykle. Odmówił ścięcia eukaliptusów. Niektóre z nich straciły liście i ponuro malowały się na tle nieba. Inne runęły na ziemię. Na szczęście przynajmniej sosny przetrwały i nadal odgradzały dom od drogi i otaczającego go osiedla.

Wjechaliśmy na podjazd. Wskoczyłam na żwir i podbiegłam do drzwi. Rodzice czekali w samochodzie, silnik cały czas pracował.

Dziadek nie otworzył, więc zadzwoniłam jeszcze raz. Zapukałam. Kilka komarów fruwało wokół lampy na werandzie. Za mną czarne niebo w końcu blakło, leciutko jaśniejąc. Rozpoczął się powolny wschód słońca. Złapałam za gałkę w drzwiach. Były zamknięte.

Wróciłam do samochodu. Pod moimi baletkami głośno chrzęścił żwir.

- Nie otwiera - powiedziałam.

— Może zapomniał włożyć aparat słuchowy - odparł ojciec. Zgasił silnik i poszedł za mną z powrotem pod dom. Matka

uchyliła drzwi, żeby wpuścić do samochodu trochę powietrza. Ojciec miał klucz. Otworzył i weszliśmy do środka.

- Tato? - zawołał mój ojciec. W domu było gorąco i cicho. Słysząc było jedynie tykanie zegarów. Paliło się tylko światło w kuchni. - Przyjechaliśmy.

Okna były pozamykane, a półki równie puste jak podczas mojej ostatniej wizyty.

- Gdzie się podziały wszystkie rzeczy? - zdziwił się ojciec.

Przesunął palcem po ogołoczonej półce. Zjrzał do przeszklonego mahoniowego kredensu, z którego zniknęły porcelanowe i kryształowe wnętrzości.

- W Nowy Rok tak jakby to wszystko segregował - powiedziałam.

- O czym ty mówisz? - zapytał ojciec.

W niedzielę przeważnie zabieraliśmy dziadka na kolację. Zwykle czekał na nas na werandzie, gotowy od razu wsiąść do samochodu, i przekonywał nas, że jesteśmy spóźnieni.

- A niektóre rzeczy wkładał do pudeł - dodałam.

- Co? - Przez twarz ojca przemknął niepokój. - Przecież wczoraj wieczorem z nim rozmawiałem.

Pudła zniknęły. Na stole było pusto. Zniknęły wszystkie wartościowe rzeczy. Zjrzeliliśmy do sypialni dziadka i znaleźliśmy tylko puste, niezaścielone łóżko. Otworzyliśmy szafę: brakowało co najmniej połowy ubrań, może także kilku par butów.

W kuchni odkryliśmy stos tajemniczych broszur i ulotek. Na pierwszej stronie małej gazetki dominował nagłówek: „Chcą to przed tobą zataić. Cała prawda o czasie zegarowym”. Na lodówce wisiał rysunek ukazujący ludzi snujących się po ulicy ze szklistym wzrokiem. Podpisano go: „Zegarowe zombie”.

Matka też weszła do domu.

- Gdzie on jest? - zapytała.

- Nie wiem - powiedział ojciec.

- O Boże - wystraszyła się matka. - To miejsce wygląda tak, jakby ktoś je obrabował.

- Julia mówi, że widziała, jak się pakował.

W moim ojcu coś bulgotało, szybki prąd płynący pod lodem.

- Niezupełnie pakował - uściśliłam.

Matka odwróciła się do mnie, okropnie zdenerwowana.

- Powinnaś przestać mieć przed nami tajemnice, młoda damo!

Za domem ojciec wołał dziadka, krzycząc w świetle poranka:

- Tato, jesteś tu?

Patrzyłam przez okno, jak zagląda do starej stajni, na podwórze za domem, do usychającego zagajnika na skraju działki.

Dziadek nie mógł już prowadzić. Nawet nie miał samochodu. Nie dałby rady wyjechać sam. Był zależny od nas albo od Chipa, nastolatka mieszkającego kawalek dalej, który pomagał mu z zakupami i czasami gdzieś go podwoził.

- Jest za stary, żeby mieszkać sam - powiedziała matka. - Powinniśmy byli o tym wiedzieć.

Czułam, że do oczu napływają mi łzy.

Ojciec pobiegł do domu Chipa, jednego z tych nowych budynków na osiedlu.

Matka zaczęła dzwonić pod numery telefonu przyłączone do lodówki dziadka. Były to głównie numery członków jego kościoła, znajomych, osób oferujących podwózki. Dom nadal pachniał dziadkiem: listerine i starym papierem. Zabytkowy zegar w salonie wybił siódmą. Matce załamywał się głos, kiedy dyktowała numer swojej komórki, na wypadek gdyby dziadek się pojawił.

Wkrótce wrócił ojciec i przekazał nam nowinę: Chip rzucił szkołę i postanowił się wyprowadzić.

- Dokąd? - zapytała matka.

Ojciec potarł czoło, powoli zamknął i otworzył powieki. Czubek słońca wychylił się zza horyzontu i jaśniał za oknami,

oświetlając kurz unoszący się w całym domu. W tamtym okresie pojawieniu się słońca towarzyszyła zazwyczaj pewna euforia -po tylu godzinach ciemności - ale tym razem prawie go nie zauważyliśmy. Po prostu mrużyliśmy oczy w jasnym świetle.

- Jego matka mówi, że pojechał w to miejsce na pustyni - powiedział ojciec. - Do Okołodobowa. Wyruszył wczoraj w nocy.



Okołodobowo nie istniało na żadnej mapie. Na stronie popularnego przewodnika, na której podobno miało się znajdować, zobaczyliśmy jedynie kawałek pustej przestrzeni, lekko zmarszczony papier, cienką powłoczkę beżu symbolizującego pustynię. Dlatego czuliśmy się tak, jakbyśmy jechali do jakiegoś fikcyjnego miejsca, wyimaginowanej krainy, wyśnionej albo zmyślonej. I w pewnym sensie tak było. Gdy dotarliśmy na pustynię, zjechaliśmy z dwupasmowej autostrady na wąską drogę, która na mapie się urywała, ale w rzeczywistości prowadziła do drugiej drogi, nieutwardzonej i zbyt nowej, aby mogła zostać uwzględniona na mapach. W taki sposób dotarliśmy do Około-dobowa.

- Myślisz, że on naprawdę tam jest? - zapytała matka. Słońce wlewało się przez przednią szybę. Matka opuściła osłonę znajdującą się nad głową.

- Możliwe - powiedział ojciec. Mrużył oczy, patrząc na wschodzące słońce. Była dziewiąta wieczorem. - Albo i nie.

Z domu dziadka zadzwoniliśmy na policję, ale nie uznano dziadka za osobę zaginioną. Był stary i ekscentryczny, lecz nie cierpiał na demencję. Przed wyjazdem spakował swoje rzeczy.

Natychmiast ruszyliśmy na pustynię, rezygnując z kolacji. Autostrada wiała się między wzgórzami, niektóre z nich były przy-czernione od niedawnych pożarów. Temperatura rosła z każdym kilometrem. Na pustyni rośliny zawsze musiały walczyć o przetrwanie, więc okolica wyglądała na mniej zniszczoną niż regiony przybrzeżne. Na skalistych zboczach zostało kilka marnych krzaków, bardziej tyczkowatych niż zwykle.

- Po prostu trudno sobie wyobrazić, że twój ojciec mógłby się przyłączyć do jakiejś grupy - wyjaśniła matka.

- Należy do kościoła - wtrąciłam z tylnego siedzenia. Wzdłuż drogi kołysały się linie energetyczne i falując, biegły od słupa do słupa.

- Nie uważasz, że trudno to sobie wyobrazić? - upierała się matka.

- Helen - zniecierpliwiał się ojciec. Siedział sztywno w fotelu z obiema rękami na kierownicy i ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. - Po prostu nie wiem.

Kiedy minęliśmy najdalsze przedmieścia, radio przeszło w szum. Ruch na drodze zmalął. Teren się spłaszczył. Wokół nas rozpostarła się pustynia, a błękitne niebo zawisło nisko nad ziemią. Słońce godzinami tkwiło nad horyzontem.

Powierzchnia drogi rozmywała się w upale i poczułam zapach skóry na siedzeniach. Ich powierzchnia się prażyła. Matka zwiększyła nawiew.

Mijała godzina za godziną i wszyscy zaczęliśmy ziewać. Ojciec potarł brodę, która od poranka zdążyła się pokryć warstwą szczeciny.

Minęliśmy ruiny starej stacji benzynowej, gdzie została jedna pompa, zardzewiała do czerwoności. Obok niej stała skromna spalona słońcem struktura ciężko przechylona na jedną stronę i pozbawiona dachu. Coś w tej scenie chwyciło za serce. Ktoś zbudował te mury. Ktoś kiedyś wiązał z tym miejscem jakieś nadzieje. Ale teraz przez szczeliny w ścianach można było zobaczyć niebo po drugiej stronie.

W końcu zasnąłam z głową opartą o okno. Śniło mi się, że przeprowadziliśmy się do Okołodobowa, ale zabraliśmy ze sobą nasz dom - zmienił się tylko widok z okna i sąsiedzi.

Po dziesiątej wieczorem obudziło mnie podskakiwanie samochodu na piachu.

-Jedź wolniej - powiedziała matka. Zaciskała dłoń na uchwycie pod sufitem.

Jechaliśmy prosto na słońce.

Za mgłą, w oddali, zobaczyłam zarys dachów, zgrabne rzędy białych domów ogrodzone oceanem wydm falujących na pustyni.

Przy wjeździe nadal stała reklama dewelopera: ciężka bryła granitu, a przed nią wyschnięta fontanna i skrawek pożółkłego trawnika. Grubą kursywą wyryto słowa: „Domy Ranczo Domingo del Sol”. Nad tym wszystkim łopotał prowizoryczny transparent rozciągnięty między dwoma słupkami: „Witamy w Okołodobowie”. Poniżej ktoś dopisał: „W krainie wolności”.

W głębi ducha byłam zachwycona. Gabby zaszczepiła mi myśl, że tutaj życie może być bardziej sprawiedliwe.

Ulice miały nazwy nawiązujące do pustynnej róży albo wydm. Niektóre były wybrukowane. Inne nie. Ulica Czystego Nieba była utwardzona na odcinku kilkudziesięciu metrów, a potem

wyskakiwała na piach, jakby chciała dokładnie utrwalić chwilę, w której deweloperowi skończyła się gotówka.

-Wyobrażasz sobie, że można tutaj mieszkać? - zapytała matka.

Domy stały w różnych stadiach wykończenia. Niektórym brakowało garaży. Innym dachów. Część była jedynie drewnianymi szkieletami pozbawionymi wypełnienia i sztukaterii, a ich kikuty zaczynały niszczeć w gorącym i suchym powietrzu. Ale było widać, do czego zmierzał deweloper: dwanaście ulic aspirowało do miana przedmieścia. Najbliższy sklep spożywczy był oddalony o godzinę drogi.

Wybiła dziesiąta trzydzieści wieczorem, ale Okołodobowo właśnie się budziło. Czekają nas dwadzieścia pięć godzin światła dziennego. W oddali odbijało się echem stukanie młotków. Gdzieś warczała piła.

Mężczyzna w wyblakłej niebieskiej koszulce i kapeluszu z szerokim rondem kucał na żwirowym podjeździe, wylewając na tacę białą farbę. Za nim stała drabina oparta o dom.

Ojciec zwolnił i opuścił szybę. Trudno było oddychać pustynnym powietrzem.

- Przepraszam - zawołał do tego człowieka, nie wysiadając z samochodu.

Mężczyzna odwrócił się, zmrużył oczy.

- Szukam ojca. Ma na imię Gene i jest po osiemdziesiątce. Widział go pan?

Mężczyzna podszedł. Miał mocno spaloną twarz, a policzki i broda zaczynały się pokrywać czarnym zarostem.

- Mówił, że się tu wybiera? - zapytał, kiedy stanął przy drzwiach od strony kierowcy.

Wyobrażałam sobie, że mieszkańcy Okołodobowa nie tylko uciekli od zegarów, ale jakimś cudem uwolnili się od samego

czasu. Na twarzy tego mężczyzny szukałam dowodów świadczących o tym, że jest inny niż my, że uległ jakiejś przemianie. Ale podejrzewałam, że przemiana może być głębsza, molekularna, jakby każdy atom w jego ciele obracał się w nieco wolniejszym tempie niż atomy w naszych ciałach. Po czole spływał mu pot. Wilgoć przesiąkała przez koszulkę.

- Prawdopodobnie przyjechał wczoraj w nocy - powiedział ojciec, który nadal miał na sobie białą koszulkę. Jego zegarek połyskiwał w słońcu. Klimatyzacja zmagala się z falami gorąca.

Mężczyzna zerknął na mnie przez szybę. Przygryzł dolną wargę. Byłam świadoma tykania zegara na naszej desce rozdzielczej - rejestrował neonowo upływ kolejnej minuty, nasze volvo było osobnym wszechświatem, w którym czas pędził do przodu.

- Możliwe, że przyjechał z nim siedemnastolatek - dodała matka, przechylając się na stronę kierowcy. - Ma na imię Chip.

Mężczyzna potarł czoło nadgarstkiem. Dotknął runda kapelusza.

- Skoro wam nie powiedział, że ma zamiar tu przyjechać - odparł - to może nie chciał, żebyście o tym wiedzieli.

Poddaliśmy się i pojechaliśmy dalej, ale mężczyzna przez chwilę stał na podjeździe z rękami opartymi na biodrach i patrzył, jak nasz samochód sunie ulicą.

Dotarliśmy do rozwidlenia i odbiliśmy w prawo, gdzie zobaczyliśmy kobietę z biszkoptowym labradorem.

- Przykro mi - powiedziała. - Nie widziałam ich. Poszła dalej.

- Niezbyt przyjazne grono - zauważyła matka. Minęliśmy szklarnie. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, na sznurach

łopotwały prześcieradła.

Na końcu jednej ze ślepych uliczek dotarliśmy do czegoś, co najwidoczniej miało pełnić funkcję osiedlowego basenu i bez

wątpienia było największą atrakcją w broszurach. Ale teraz została po tym tylko sucha dziura w ziemi, głębsza na jednym końcu, płytsza na drugim, jeszcze niewycementowana.

Obok basenu był mały plac zabaw. Na jednej z huśtawek siedziała dziewczynka w zielonej sukience. Jej brązowe włosy targał wiatr. Rozpoznałam ją z treningów: Molly Kopachek.

- Zatrzymaj się - powiedziałam do ojca. Opuściłam szybę. -Molly? - zagadnęłam.

Podniosła głowę, odgarnęła włosy z twarzy i zwinęła je w prowizoryczny kok. Któregoś roku grałyśmy razem w obronie, ale nie lubiła rywalizować. Podczas meczów zrywała dmuchawce na polu karnym.

Teraz zeskoczyła z huśtawki i podeszła do samochodu, chrzęszcząc piachem pod sandałami.

- Też się tutaj przeprowadzasz? - zapytała mnie.

Za nią stała struktura przypominająca szkielet, drewniana rama sugerująca dom.

- Tylko szukamy dziadka - wyjaśniłam.

Nie widziała go, ale kiedy wymieniłam imię Chipa, wskazała dom po drugiej stronie ulicy.

- Wydaje mi się, że tam mieszka jakiś Chip - powiedziała. Ojciec zaciągnął hamulec ręczny.

Fasada domu była pokryta szarą, niedokończoną sztukaterią. Obok walały się puszki z farbą.

Jakaś wychudzona dziewczyna w białej koszulce na ramiączkach stała przed budynkiem i paliła papierosa. Była tyczkowata i blada, miała krótko obcięte włosy, a kiedy zbliżyliśmy się do domu, gapiała się na nas zza szkieł przerośniętych okularów przeciwsłonecznych. Widziałam niebo odbijające się w soczewkach. To niebo było wszędzie, jakimś cudem na pustyni stawało się szersze, bardziej widoczne niż gdziekolwiek indziej na Ziemi.

- Jesteście jego rodzicami? - zapytała, kiedy ojciec zapytał o Chipa. Z domu dobiegały nas falami gitarowe akordy. Ktoś śpiewał. Było tak gorąco, że z trudem oddychałam.

- Chcemy z nim tylko porozmawiać ~ zapewniła matka.

Dziewczyna wzięła długi, powolny wdech i wypuściła powietrze. Trzymała papierosa dwoma palcami niedaleko biodra. Dym pachniał inaczej niż zwykle: goździkami.

- Chyba jest z tyłu - powiedziała. Skinęła w stronę drzwi, ale poza tym się nie ruszyła. - Otwarte.

W środku znaleźliśmy salon bez mebli, za to usłany śpiworami, z których przynajmniej w jednym ktoś leżał. Wentylator pod sufitem obracał się nieskutecznie, przeganiając gorące powietrze.

- Halo? - odezwał się ojciec.

Rozejrzył się. Najwyraźniej nie wiedział, gdzie stanąć. Z kubła w korytarzu wysypywały się śmieci. Puste butelki po winie leżały na drewnianej podłodze jak kręgle.

Muzyka dobiegała z kuchni, gdzie dwie dziewczyny - obie równie smukłe jak ta przed domem - siedziały na krzesłach z dwóch różnych kompletów, a chłopak bez koszuli grał na gitarze.

On zauważył nas jako pierwszy. Muzyka ucichła.

- Tak? - powiedział.

Dziewczyny leniwie odwróciły się w naszą stronę. Miały załzawione, przekrwione oczy. Na nasz widok parsknęły śmiechem. Moja mała rodzina znalazła się w kuchni obcych ludzi.

- Szukamy Chipa - powiedział ojciec.

Jego słowa, rzeczowe i zwięzłe, krępująco przecięły powietrze. Odniosłam wrażenie, że czuję powolność tego domu, ospałe tempo, w jakim płynął w nim czas.

Dziewczyny spojrzały w stronę podwórka za domem.

- Hej, Chip - zawołał chłopak. - Przyjechał twój ojciec.

Dziewczyny się roześmiały, a chłopak znowu zaczął grać.

To byli ludzie z *college u*, przynajmniej do niedawna. Słyszałam, że tysiące z nich porzucają studia, kradną zegary z sal wykładowych, a potem roztrzaskują je na ulicach.

Chip był na zewnątrz i wyglądał tak samo jak zawsze: czarna koszulka i czarne szorty z obciętych dżinsów, czarne tenisówki, ufarbowane na czarno włosy. W cieniu wystrzępionej parasolki czytał książkę, leżąc na spłowiełym leżaku.

Nasz widok go zaskoczył.

- Co państwo tutaj robią? - zapytał.

- Przyjechał z tobą mój ojciec? - zapytał ojciec.

Tyle że teraz to pytanie brzmiało śmiesznie. Dziadka na pewno nie było w tym domu.

- Nie — odpowiedział. Położył otwartą książkę na kolanach.  
-Dlaczego?

Kilka metrów dalej młoda para leżała spleciona na leżaku. Nie zauważyła nas albo się nami nie przejmowała. Długo się całowała, a moja matka ostentacyjnie przystawiła dłoń do boku twarzy, żeby zasłonić sobie widok.

Ojciec pokazał Chipowi jedną z ulotek, które znaleźliśmy w domu dziadka.

- Byliśmy zgodni co do tego, że czas zegarowy to kompletna głupota - przyznał Chip. - Ale jeśli nie ma go w domu, to nie wiem, gdzie jest.

Tylna weranda nie miała barierki. Nie było żadnego podwórka. Po prostu otwierała się na pustynię, gdzie szerokie pole baterii słonecznych połyskiwało w słońcu.

- Tak pozyskujemy energię - wyjaśnił Chip, widząc, że się gapię.

Sieć energetyczna tu nie docierała. Wodę też trzeba było dowozić.



- Powinni państwo pomyśleć o tym, żeby do nas dołączyć — powiedział Chip. - No, wiedzą państwo: wykręcić się i wpaść.

- Chyba raczej nakręcić się i paść - poprawiła go matka. Teatralnym gestem wachlowała się wyjętym z torebki magazynem. -Chodźmy - powiedziała.

Ojciec zapisał swój numer telefonu na kawałku kartki i podał ją Chipowi.

- Jeśli go zobaczysz albo się do ciebie odezwie - powiedział -to proszę, zadzwoń.

Chip odprowadził nas przez dom do wyjścia. Kiedy przechodziliśmy przez salon, dziewczyny nadal się śmiały. Jakby nie potrafiły przestać.

- Pewnie państwo myślą, że jesteśmy zgrają amatorów fajkowych snów - powiedział Chip. Dziewczyna obok niego zapaliła następnego papierosa. - Ale jest dokładnie odwrotnie. To nie my zaprzeczamy rzeczywistości.

Wiatr się wzmaczał, ganiając w kółko ziarenka piasku i śmieci na ulicy. Już wkrótce mieliśmy opuścić to miejsce, a wtedy ja miałam się wsłuchać w bicie swojego serca, próbując uchwycić moment, w którym przyspieszy.

- My jesteśmy realistami - dodał Chip. - To wy bujacie w obłokach.

Dziadek miał kiedyś wujka, który zaginął na Alasce. Był rok 1970, początek lata niedaleko koła podbiegunowego, dwadzieścia dwie godziny słońca dziennie. Wujek był rybakiem, który przybył na Alaskę z Norwegii trzydzieści lat wcześniej i na pewnym odcinku wybrzeża stał się legendą, zasłynąwszy zdolnością przewidywania, gdzie jest najwięcej łososi składających ikrę. Mieszkał sam na maleńkiej wysepce kilka kilometrów od wybrzeża. Żył skromnie. Spał w chatce, w której było jedno pomieszczenie, brakowało prądu i bieżącej wody, a zarobione pieniądze zakopywał w tajemniczym miejscu na wyspie. Dziadek przepracował z wujkiem dwa łososiowe sezony, a potem przez dziesiątki lat przechowywał małe zdjęcie przedstawiające wujka w woderach i czarnej wełnianej czapce, ze splątaną siecią udrapowaną na grubych knykciach.

Pewnego dnia ten wujek wypłynął samotnie w morze. Miał przed sobą krótką podróż, z portu na wyspę. Niebo było bezchmurne. Nigdy więcej go nie widziano.

- Mieliśmy wtedy czerwiec - wspominał dziadek, jakby przy tym był. W 1970 roku znowu mieszkał w Kalifornii, ale za każdym razem, kiedy opowiadał tę historię, wykonywał zamaszysty gest dłonią, który miał pokazać płaską taflę oceanu w dniu zniknięcia jego wujka.

- Woda była idealna - mówił. - Ani śladu wiatru.

Wujek został uznany za zaginionego na morzu. Ale dziadek nigdy nie wierzył w to zaginięcie. Na wysepce kilkakrotnie przeprowadzono poszukiwania, lecz nie udało się odnaleźć ukrytej fortuny.

- Rolf dałby sobie radę na morzu w każdych warunkach -powtarzał często dziadek. - Łódź nie mogła zatonać.

Minęło piętnaście lat. Wujek nie dał znaku życia.

I wtedy dziadek z babcią wybrali się do Norwegii - wiele lat przed moim narodzeniem. Jechali autobusem na północy kraju, gdzie mieszkali krewni dziadka. Gdy autobus zatrzymał się w małej wiosce rybackiej, wsiadł stary człowiek.

- Gdy tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że to on - mówił mi dziadek.

W tym miejscu zawsze powoli kręcił głową, zamykał oczy i cichutko gwizdał, zadowolony z namacalnego dowodu długo przeczuwanej prawdy.

- Zawsze wiedziałem, że on żyje — powtarzał. — Zawsze wiedziałem.

Pewnego razu dziadek zgubił obrączkę - zsunęła mu się z palca i spadła na zaśnieżony brzeg Alaski - ale kilka miesięcy później, wiosną, ją odnalazł. Śnieg stopniał. Złota obrączka leżała na ziemi. Na nowo zjednoczyła się z palcem. Dziadek uwielbiał wszystkie historie, w których to, co nieprawdopodobne, okazywało się prawdziwe.

- Ale dlaczego Rolf w ogóle zniknął? - pytałam zawsze. Dla dziadka nie była to jednak najważniejsza część historii.

A może powody, dla których mężczyzna porzuca swoje życie, były dla niego zbyt oczywiste, by w ogóle je nazywać.

- Wiem, że mnie rozpoznał w tamtym autobusie - wspominał dziadek.  
- Ale nic nie powiedział. Na następnym przystanku po prostu wstał i wyszedł. Nawet się nie odwrócił.

Dziadek nigdy więcej nie widział wujka. Wujek zwyczajnie zniknął w lesie przy drodze.

- Cały Rolf - mówił dziadek z pewnym podziwem szeleszczącym w głosie. - Cały Rolf.

Kiedy wróciliśmy do domu z Okołodobowa, minęła już północ. Na ulicy było jasno i cicho, prawie wszyscy spali. Nastął pozbawiony życia środek widnej białej nocy. Nasza ślepa uliczka wyglądała jak po ewakuacji. Nie było widać nawet Sylvii. Trzaśnięcia drzwi naszego samochodu odbiły się echem od sztukaterii. Dwie chmury mknęły na zachód popychane bryzą. Jedyłą oznaką życia był wychudzony kot syjamski, który mrużył oczy w słońcu, snując się po sztucznym trawniku Petersonów.

Rodzice nie spali całą noc, obdzwaniając szpitale.

Zaciągnęłam zasłony i próbowałam zasnąć. Słońce wdzierało się przez szczeliny i padało na dywan. Budzik tykał na toalecie i na nowo poczułam jego szybkość: tyk, tyk, tyk. Pędziła minuta za minutą. Pływały godziny. Spałam niewiele. Śniłam niepokojące sny. Dni, miesiące, lata, całe życia - wszystko gnało ku końcowi. O wyznaczonej godzinie mój budzik eksplodował: nastał czas, aby wstać do szkoły. Obudziłam się z łomoczącym sercem, bez tchu i w przepoconej pościeli.

Później tego samego ranka zadzwoniła policja, informując, że starszy mężczyzna został znaleziony w pobliskim sklepie spożywczym, po którym błąkał się zupełnie zdezorientowany. Ojciec pojechał na komisariat, żeby potwierdzić to, co już wiedzieliśmy: to nie był dziadek.

Minęły trzy dni. Dziadek się nie odezwał.

Miałam wrażenie, że z mojego życia zniknął też Seth Moreno. Codziennie rano zjawiał się na przystanku trochę później. Nie rozmawiał ze mną w szkole. Nie zamieniliśmy ani jednego słowa od dnia, w którym poszliśmy patrzeć na walenie. Na lekcjach często się zastanawiałam, co zrobiłam nie tak.

Tymczasem dni nadal się wydłużały, a noce rozciągały. Mówiono o punktach przesilenia, spirali sprzężenia zwrotnego, drogach bez odwrotu.

Pod koniec tamtego tygodnia NASA ogłosiła, że astronauci wracają - pomimo ryzyka. Nikt do końca nie wiedział, jak spowolnienie wpłynie na ich wejście w atmosferę, ale astronautom skończyło się jedzenie w stacji kosmicznej. Przeprowadzono tysiąc obliczeń, sformułowano konieczne przewidywania. Poinformowano nas, że Orion przemknie przez niebo nad południową Kalifornią trzy minuty po czwartej, w drodze do bazy sił powietrznych Edwards.

Zamierzałam obserwować to przez teleskop, sama.

Kiedy tamtego popołudnia wyszłam z autobusu, było jasno i gorąco. Słońce świeciło od dwudziestu kilku godzin. Asfalt połyskiwał. Ciepła bryza wprawiała w ruch liście i śmieci w całej dzielnicy.

Idąc do domu, myślałam o astronautach: nie było ich od ośmiu miesięcy, stali się ostatnimi ludźmi, którzy jeszcze nie doświadczyli dnia dłuższego niż dwadzieścia cztery godziny.

Kiedy przecięłam opuszczoną parcelę, ze zdziwieniem zobaczyłam Seta na deskorolce. Od razu zniknął z przystanku, ale kawałek dalej się zatrzymał i wykorzystywał krawężnik do robienia skoków niedaleko hydrantu.

Szłam, opierając się pokusie spojrzenia w jego stronę. Słyszałam dźwięczne stukanie deskorolki raz po raz uderzającej w krawężnik. Nie zatrzymywałam się.

Ale gdy skręciłam w stronę swojej ulicy, dźwięki ustały. Zamiast nich usłyszałam najbardziej niewiarygodny odgłos: dwie sylaby mojego imienia wykrzyczane na wietrze.

- Tak? - powiedziałam.

W gardle urosła mi niespodziewana gula. Pozostałe dzieciaki już się rozeszły. Zostaliśmy tylko my dwoje i pył z pustej parceli unoszony przez wiatr po całej ulicy.

- Będiesz obserwowała raketę? - zapytał Seth.

Jedną ręką osłonił oczy przed słońcem. Nasze cienie połączyły się na chodniku.

- Może - powiedziałam. Byłam spłoszona i onieśmielona.

- Ja obejrzę ją z dachu - oznajmił. Wiała bryza. Mijały sekundy. - Chodź.

Chyba powinnam była być na niego zła za to, jak się zachowywał, ale pamiętam tylko ruch jego dłoni, kiedy dawał mi znak, żebym za nim poszła, oraz to, że wypowiadał dokładnie te słowa, które moje uszy pragnęły usłyszeć najbardziej.

Wyciągnęliśmy z jego zagraconego garażu dwa zardzewiałe leżaki, przywlekliśmy je do domu, a potem wnieśliśmy po drabinie przez strych i na dach. Ustawiliśmy je obok siebie na płaskim kawałku pokrytym czarną papą, kablami oraz górami starych ptasich odchodów. Seth przyniósł dwie coli i jakieś precele, a potem rozłożyliśmy się i czekaliśmy, aż Orion przemknie nam nad głowami. Niebo było bezchmurne. Powietrze ciepłe. Leżaki pachniały kremem do opalania i solą. Czułam przy sobie obecność Setha. Słyszałam jego oddech. Długo milczeliśmy.

Seth przerwał ciszę.

- Dlaczego tamtego dnia tak dziwnie się zachowałam? - zapytał.

Poczułam przyływ paniki.

- To znaczy jak?

Nie spojrzał na mnie. Pociągnął łyk coli i postawił ją na papie. Słyszeliśmy warkot samochodów dobiegający z autostrady w oddali.

- Sam nie wiem - powiedział. - W ubiegłym tygodniu na przystanku zachowywałaś się jakoś dziwnie.

Poczułam ucisk w żołądku. Zacisnęłam dłoń na metalowym podłokietniku leżaka.

- Wcale nie - zaprzeczyłam. - W przeciwieństwie do ciebie. Starał się nie patrzeć w moją stronę. Widziałam jego nos

z profilu, lewą krawędź szczęki, jedno ucho, jedno oko, kiedy patrzył prosto przed siebie, na góry wznoszące się na wschodzie. Wyglądał lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Odchrząknął i dodał:

- Wyglądałaś trochę tak, jakbyś nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

- Nieprawda - powiedziałam. - Wcale tak nie było. Podobno ludzie potrafią się porozumieć na setki subtelnych sposobów, wykrywając wiadomości zawarte w najdrobniejszych



ruchach ciała, w najbardziej ulotnych wyrazach twarzy, ale widocznie tamtego dnia jakimś cudem z zadziwiającą skutecznością przekazałam dokładną odwrotność tego, czego pragnęłam najbardziej na świecie.

- Poza tym byłaś cała wystrojona i w ogóle - ciągnął. - Dlaczego się tak wystroiłaś?

Ledwie mogłam oddychać, ale poczułam lekki dreszczyk. Dostałam dowód na to, że trochę o mnie myślał.

- To ty się dziwnie zachowywałaś - powiedziałam. - Nawet się nie przywitałaś.

Odwrócił się i spojrzał na mnie po raz pierwszy od kilku minut. Miał ciemnobrązowe oczy, gęstą zasłonę rzęs, skórę bez piegów.

- Ty też się nie odezwałaś - zauważył.

I wtedy jego usta rozszerzyły się w szerokim, niespodziewanym uśmiechu: zauważyłam, że z przodu jego zęby są trochę krzywe.

- Tamtego dnia miałam urodziny - powiedziałam.

- Aha. No to wszystkiego najlepszego.

Nikt nie mógł wiedzieć, co przyniesie przyszłość, ale tymczasem byliśmy razem, sączyliśmy colę i patrzyliśmy na niebo.

- Zaczekaj - powiedział Seth, siadając na leżaku. - Która godzina?

Zauważył to pierwszy: Orion się spóźnił.

- Coś jest nie tak - dodał.

Jego ciemne oczy, zmrużone, lustrowały puste niebo.

Czekaliśmy jeszcze kilka długich minut, ale niebo nadal było idealnie błękitne, złowrogo pozbawione statków powietrznych i pozostawianych przez nie smug.

Zupełnie jakbyśmy już wtedy wiedzieli, co się stało.

Telewizor Seta przekazał nam szczegóły feralnego ostatniego lotu Oriona. Statek wybuchł trzysta dwadzieścia kilometrów od wybrzeża Kalifornii. Przyczyna była nieznana. Ośmiu astronautów na pokładzie zginęło.

Seth i ja siedzieliśmy sztywno na dwóch końcach kanapy, patrząc, jak strumień wiadomości wpływa do salonu.

Sieci telewizyjne pokazywały zdjęcia astronautów sprzed dziesięciu miesięcy, zrobione w dniu, w którym opuścili Ziemię. Mieli świeże, szczęśliwe twarze, ich białe kombinezony jaśniały w promieniach słońca, olbrzymie hełmy lśniły im pod pachami, gdy machali na pożegnanie - wyglądali zupełnie inaczej niż na niedawnych transmisjach wideo: w kosmosie tak bardzo schudli i osłabli, że gdy pozbawieni ciężaru rozmawiali z Houston przez satelitę, ich unoszenie się w powietrzu wydawało się niemal naturalne.

Przez chwilę milczeliśmy. Poruszyłam się na kanapie. Zaskrzypiała. W skórze były dziury. Pierwszy odezwał się Seth.

- Wolałabyś zginąć w wybuchu - zapytał - czy w wyniku choroby?

Pozwoliłam pytaniu zawisnąć w powietrzu. W tym domu zmarła jego matka. Nie chciałam powiedzieć niczego niewłaściwego.

- Z wybuchami jest tak - powiedział - że trwają tylko sekundę.

Potem często spotykałam się z Sethem.

Połączyła nas nagła więź możliwa jedynie u młodych albo w sytuacji zagrożenia. Tamtej wiosny czas płynął dla nas inaczej: sznur długich popołudni był równie dobry jak rok.

Przestaliśmy spędzać przerwy na lunch w bibliotece i zamiast tego wyciągaliśmy się pod dwiema uschniętymi sosnami na skraju boiska, skąd patrzeliśmy na sunące po niebie chmury. Codziennie rano i po południu Seth zajmował dla mnie miejsce w autobusie.

Na początku czułam na sobie wzrok innych dzieciaków. Wiedziałam, że ciągle się na nas gapią. Domyślałam się, że plotkują. Ale wkrótce przestałam cokolwiek zauważać. Przestało mnie obchodzić, co myślą.

- Sprawia wrażenie miłego chłopca - powiedziała moja matka. - Zaprośmy go na kolację.

Ale ja chciałam być z Sethem sam na sam. Nie potrzebowałam niczyjego towarzystwa.

Byłam z nim tamtego dnia, kiedy przekroczyliśmy punkt pszenicy. Teraz już wiadomo: pszenica nie może rosnąć bez wsparcia w postaci sztucznego światła. Ze zbocza wzgórza patrzyliśmy, jak wózki na zakupy jeżdżą zygzakiem po parkingu przed sklepem, wyładowane jedzeniem w puszkach. Wróciła panika. Wyczuwało się ją w powietrzu: koniec, mrowienie, coś jak niewyraźny smak na końcu języka.

- Wolałabyś umrzeć z głodu - zapytał Seth - czy z pragnienia? To się stało naszą grą. Byliśmy poważnymi dziećmi, które

w tamtych okolicznościach stały się jeszcze poważniejsze.

- Z głodu - powiedziałam. - A ty?

- Z pragnienia. - Kopnął kamień, który stoczył się ze zbocza. Za kamieniem wzbil się kurz, a on sam zniknął w płataninie delospermy. Seth zawsze wybierał najszybszą śmierć.

Seth był u mnie w domu, kiedy matce dostarczono szklarnię. Patrzyliśmy, jak robotnicy wznoszą konstrukcję za domem. Szkło połyskiwało, a oni montowali kwarcówki i wysypywali ziemię. Patrzyliśmy, jak rozwijają pomarańczowy kabel, a potem wkładają do zewnętrznego gniazdka grubą wtyczkę. Byliśmy jedną z ostatnich rodzin przy naszej ulicy, które kupiły szklarnię. Matka zamówiła ją bez porozumienia z ojcem, a gdy wkładała w ziemię różne małe roślinki, on obserwował ją z domu z rękami skrzyżowanymi na stole w jadalni. Potem poszedł na górę. Pod koniec dnia w naszej szklarni rosły dwa rzędy zielonej fasolki i trzy rzędy truskawek.

- Truskawki są bez sensu - powiedział ojciec. - Jeśli mamy cokolwiek uprawiać, to powinniśmy się skupić na grzybach. One nie są aż tak uzależnione od światła.

W nasze miasto uderzyła fala białonocnej przestępczości. Winą obarczano prawdziwoczasowców. Kto inny wychodziłby z domu o tak późnej porze? Ktoś wybił szyby w samochodzie

Sylvii. Niedługo potem na bramie jej garażu pojawiło się grube, ociekające farbą w sprayu słowo: „Wypierdalaj”.

Zastanawiałam się, co o tym myśli mój ojciec, ale nie pytałam, a on nie powiedział.

Miałam wrażenie, że tamtej wiosny czas płynął szybko. Sethowi znowu urosły włosy i zaczęły mu opadać na oczy. Ja zapuściłam grzywkę i Seth powiedział, że mu się podoba. Zaczęłam golić nogi i kupiłam prawdziwy stanik - tym razem taki, który pasował. Pewnego ciemnego popołudnia Seth nauczył mnie jeździć na deskorolce i nadal pamiętam dotyk jego lewej ręki na moich plecach, kiedy biegł obok w świetle latarni, a ja, zadowolona, chybotalam się na pęknięciach w asfalcie.

Po szkole chodziliśmy po kanionach, szukając szkieletów ptaków - były wszędzie, obfitość kości i piór dorównująca obfitości muszli. Szukaliśmy ostatniego żywego eukaliptusa, który w końcu znaleźliśmy - byliśmy tego pewni - usychający na skraju skarpy piaskowca nad oceanem. Kolekcjonowaliśmy ostatnie źdźbła trawy w dzielnicy. Utrwalaliśmy ostatnie kwitnienie stokrotek, nagietków i wiciokrzewu. Ściskaliśmy płatki między kartkami słowników. Układaliśmy na półkach relikty naszych czasów - wyobrażaliśmy sobie, że pewnego dnia powiemy: „Spójrz: to był klon, to magnolia, to osika, a to dąb”. Podczas ciemnych dni Seth rysował mapy konstelacji, jakby ciała niebieskie też miały niedługo zniknąć.

Ojciec Setha często był w laboratorium. Wychodził z domu wcześnie. Wracał późno. Był kubkiem po kawie w zlewozmywaku, papierosami w popielniczce za domem, laboratoryjnym fartuchem przewieszonym przez poręcz. Był imieniem na piętrzących się kopertach, nieotwieranych i tworzących ogromną stertę

przy drzwiach, głosem w słuchawce nakazującym Sethowi, żeby zamówił pizzę i zjadł bez niego. Moi rodzice nie mieli pojęcia, jak rzadko ojciec Setha bywał w domu, kiedy ja tam przychodziłam.

W dniu, w którym zabrakło prądu, byliśmy u Setha sami.

Telewizor nagle zgasł, światło też. W ciemności złapałam Setha za rękę. Była czwarta po południu. Dom zalała cisza, jakby była odmianą ciemności. Do ponownego wschodu słońca zostało szesnaście godzin, może więcej. Po omacku doszliśmy do frontowych drzwi i otworzyliśmy je: na zewnątrz też panowała ciemność, jej prehistoryczna wersja, bezgłośnie mruganie gwiazd.

Matka zadzwoniła do mnie z pracy na komórkę.

- Nigdzie się nie ruszaj - powiedziała. - Pozamykaj drzwi i nikogo nie wpuszczaj.

Przeczesałaliśmy dom w poszukiwaniu latarek. Oślepli, objaliśmy się o siebie i wpadaliśmy na ściany. Stukaliśmy lampę i długo się śmialiśmy. Seth zapalił świeczki jedną z zapalniczek swojego ojca. Nosiliśmy je jak pochodnie, na naszych twarzach błędziły cienie powstałe dzięki światłu płomienia. Zastanawialiśmy się, czy ta epoka bez elektryczności może potrwać wiecznie.

W końcu usiedliśmy na drewnianej podłodze w salonie, otoczeni migoczącymi świecami. Seth wyciągnął talię kart.

- Popatrz - powiedział.

Zaczął budować wieżę, układając po trzy karty naraz.

W ciemności dom tak ucichł, że słyszałam odgłos ocierających się o siebie kart. W świetle świec Seth wyglądał na starszego. Długo mu się przyglądałam.

- Spróbuj sama - zaproponował.

Wyciągnął do mnie dwie karty. Zalśniły mu oczy.

Ale moja ręka zaczęła drżeć. Bałam się, że wszystko zepsuję.

- Nic nie szkodzi - uspokoił mnie. - Drugi poziom jest o wiele trudniejszy od pierwszego.

Od tygodni chciałam powiedzieć Sethowi o ojcu i Sylvii -i w końcu, w tym słabym świetle, wypowiedzenie tych słów na głos wydało mi się możliwe.

Wciągnęłam powietrze i głośno przełknęłam ślinę.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - zaczęłam. Seth znieruchomiał i spojrzał na mnie.

- Widziałam mojego ojca w domu Sylvii.

Byłam świadoma ciszy, która zapadła, milczenia lodówki, ciemności na wyświetlaczu dekodera, cyfrowych zegarków, które przestały tykać.

- Co masz na myśli? - zapytał.

-Widziałam ich, no wiesz... - Na chwilę zamilkłam. -Razem.

Teraz, kiedy to powiedziałam, cała ta historia wydała mi się prawdziwsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Na początku Seth nic nie mówił. Czekałam. Potem po prostu pokiwał głową, jakby spodziewał się od życia takich rzeczy. Nigdy nie wspominał o swojej matce - a ja się nauczyłam, że nie należy pytać - ale czasami czułam jej brak w jego reakcjach na niektóre zdarzenia, jakby wiedział - już wtedy - że wszystko jest podszyte jakimś uniwersalnym smutkiem.

- Czy twoja matka wie? - zapytał w końcu.

- Nie wydaje mi się - powiedziałam. - Nie jestem pewna.

Wsunął na wieżę dwie nowe karty. W odpowiedzi cała struktura lekko się poruszyła, a wtedy Seth na kilka sekund zatrzymał ręce w powietrzu, jakby rozkazywał jakiejś niewidzialnej sile, która jest w stanie utrzymać karty na miejscu. Najwyraźniej podziałało: domek z kart stał nadal.

- To nie w porządku wobec twojej mamy - powiedział. - Nie cierpię rzeczy, które są nie w porządku.

Pokiwałam głową.

- Ja też.

Nic więcej nie dodaliśmy, ale ten sekret buzował między nami. Dobrze było go wyjawić. Dobrze było być kimś, kto zna tego chłopaka. Potem, kiedy karty upadły na podłogę, a świece wypaliły się do cna, włożyliśmy stroje kąpielowe i wskoczyliśmy do czarnej jak smoła wody w jacuzzi Setha. Nie widzieliśmy niczego z wyjątkiem gwiazd. Nasze nogi muskały się nawzajem pod powierzchnią. Seth się przysunął i pocałował mnie. Ja też go pocałowałam. Od dawna nie byłam taka szczęśliwa.

Dwie godziny później przywrócono prąd.

Urzednicy obarczali winą za zaciemnienie kwarcówki i szklarnie, które nadwyreżały sieć energetyczną. Właśnie wtedy zaczęło się racjonowanie prądu.

Koniec ze światłem po dziesiątej wieczorem. Koniec z klimatyzacją, chyba że temperatura przekroczy trzydzieści jeden stopni. Ale przemysłowe szklarnie nadal pożerały energię. Wszystkie dostawy żywności karmiły się światłem z lamp sodowych. Wszystkie gospodarstwa w kraju były już uzależnione od sztucznego słońca.

Pewnego dnia w środku tamtej wiosny w naszych skrzynkach pocztowych pojawiły się grube różowe koperty obwieszczające brokatem szczegóły przyjęcia organizowanego w hotelu Roosevelt z okazji dwunastych urodzin Michaeli. Po raz pierwszy zostałam zaproszona na jedną z tych wielkich zabaw i zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie dzięki Sethowi. Gdybym otworzyła taką kopertę zaledwie kilka miesięcy wcześniej, czułabym się wdzięczna i szczęśliwa.

Ale od razu postanowiliśmy, że nie pójdziemy.



- Nie cierpię tych imprez - powiedział Seth. - A Michaela działa mi na nerwy. Zamiast tego możemy pooglądać u mnie filmy.

- Nie przyjdiesz? - zapytała mnie Michaela następnego dnia w szkole. - Chyba żartujesz?

Zaprosiła sto innych dzieciaków, na imprezie miało być mnóstwo ludzi.

- To po prostu nie w moim stylu - powiedziałam. Zacisnęła usta.

- Czy to oznacza, że Seta też nie będzie?

Poczułam przyływ dumy: uważała, że jesteśmy ze sobą związani.

- Raczej nie - odparłam.

Mocno przygryzła wargę i oparła dłonie na biodrach.

- Dobra - warknęła. - Jak sobie chcecie. Nie obchodzi mnie, czy takie dwie ofiary jak wy przyjdą, czy nie.

A mnie nie obchodziło, co myśli Michaela, która z szelestem oddalała się w swojej minispódniczce, stukając połyskliwymi japonkami o cement.

W niektóre dni upał stawał się niebezpieczny. Był dopiero kwiecień, ale zostaliśmy ostrzeżeni, żeby nie wychodzić na dwór, jeśli słońce świeci ponad dwadzieścia pięć godzin. W tamtym okresie często odnotowywano rekordowe temperatury.

Ale pogoda potrafiła gwałtownie odbić w przeciwną stronę. Pewnego ciemnego poranka obudziłam się i zobaczyłam cudowny widok.

- A niech mnie - powiedziała moja matka ubrana w zielony szlafrok.

Spojrzałam przez okno: padał śnieg.

Byliśmy w Kalifornii, na poziomie morza, i mieliśmy wiosnę.

Kiedy spaliśmy, spadło trzynaście centymetrów i śnieg nadal prószył. W miarę rozciągania się okresów ciemności temperatury coraz bardziej spadały. Teraz dzielnica skrzyła się, niebieskawa w świetle księżyca: polukrowane samochody, zamrożone na białe płoty, dachy z terakoty pokryte skorupą śniegu. Chodniki wyglądały jak wyłożone nowymi płytkami. W ciągu nocy sztuczne trawniki pochłonęła jedna gładka płachta czystej kremowej bieli. Nasza ulica połyskiwała od mrozu.

Seth zjawił się na mojej werandzie w czerwonej kurtce narciarskiej, której nigdy wcześniej nie widziałam, i w postrzępionej wełnianej czapce przekrzywionej na głowie. Na ramionach topniały mu płatki śniegu.

- Musimy iść na sanki - powiedział.

Uniósł niebieską krótką deskę surfingową, którą przyniósł z domu.

Chwyciłam płaszcz i wyszłam za nim na pobieloną ulicę.

- Zaczekaj - zawołała matka, stając na progu. - Nie wiem, czy chcę, żebyś wychodziła.

- Helen - odezwał się ojciec. - To tylko śnieg.

Byliśmy dziećmi plaży, dziećmi słońca. Nie znaleźliśmy właściwości śniegu. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak prószy, nigdy nie czułam jego początkowej miękkości, zapadania się pod stopami, ani nie słyszałam jego charakterystycznego skrzypienia. Aż do tamtego dnia nie wiedziałam, że śnieg wszystko tłumi, że jakimś cudem ucisza cały hałas świata.

W naszych garażach nie było szufli do śniegu ani dmuchaw do odśnieżania. Naszym samochodom brakowało opon zimowych. Najbliższy pług śnieżny stał zaparkowany w górach sto pięćdziesiąt kilometrów dalej. Tak więc zostaliśmy przysypani. Odwołano lekcje, a ojciec dostał wolny dzień. Nie pozostawało

nic innego, jak tylko rzucić się na ziemię i robić śnieżne anioły, lepić bałwany albo zjeżdżać z najbliższego wzgórza na czymkolwiek. Wszystkie dzieciaki z dzielnicy wyległy na ulice. Łapaliśmy płatki śniegu na języki i rzęsy, pozwalaliśmy im topnieć na otwartych dłoniach. Patrzyliśmy, jak Tony, nasz południowo-kalifornijski kot, odkrywa śnieg - nie był zachwycony: potrząsnął łapą i wycofał się do domu.

Mój ojciec roześmiał się na ten widok, chyba po raz pierwszy, odkąd zniknął dziadek. Co weekend jeździł po różnych koloniach zamieszkałych przez prawdziwoczasowców i szukał swojego ojca. Wizyta w jednej kolonii często prowadziła do następnej, jeszcze głębiej na pustyni albo gdzieś wysoko w górach. W całym stanie były dziesiątki takich rozproszonych osad. Gdziekolwiek ojciec się znalazł, rozdawał ulotki ze zdjęciem zaginionego. Minęło sześć tygodni, ale nie było żadnych wieści. Trudno było sobie wyobrazić, że dziadek tak długo nie pisze — zaczęłam się martwić, że spotkało go coś złego, ale zachowałam te obawy dla siebie.

- Mam nadzieję, że to widzi - powiedział ojciec, pochylając się, żeby dotknąć śniegu. - Gdziekolwiek jest.

Nabrał garść i rzucił we mnie kulką. Potem pomógł nam ulepić bałwana na podwórku.

Cały śnieg stopniał dwa dni później, gdy tylko wróciło słońce. Ale tamtego dnia nasz świat na chwilę odzyskał piękno.

Przez ten jeden poranek rzadko myślałam o matce, była tylko niewyraźnym zarysem na peryferiach moich zmartwień.

- To nie jest normalne - powtarzała głosem ledwie dosłyszalnym wśród pisków rozbawionych dzieci. Nie chciała się zbliżyć do śniegu. - Mieszkamy w Kalifornii - powiedziała. - To nie jest normalne.

Pewnego dnia na niebie rozległ się dziwny dźwięk: szelest, odgłos darcia, coś jakby celofan na wietrze.

Dobiegał ze wszystkich stron. Trwało to trzy minuty. Słyszano go — niektórzy mówią, że odczuwano — od Mexico City po Seattle. Niczego nie było widać. Cokolwiek wirowało tamtego dnia w atmosferze, było niewidoczne dla ludzkiego oka.

W ciemności, która nastąpiła później, zauważono wielki strumień zieleni falujący na horyzoncie. Tysiące kamer uwieczniło jego ruch przywodzący na myśl płomienie. W tym samym czasie przestały działać systemy nawigacji. Niektóre satelity zgasły. A moja matka przeżyła najgorszy jak dotąd atak: osunęła się na podłogę w kuchni, żeby utrzymać równowagę, jakby stała na pokładzie rozkołysanego statku. Przez chwilę nie była w stanie utrzymać się na nogach.

Zanim znowu rozblęsnęło słońce, przekazano oficjalną informację: coś złego działo się z ziemskim polem magnetycznym.

W czasie spowolnienia niewiele wiedzieliśmy o efekcie dynama. Była to raczej teoria niż fakt: zaledwie elegancki matematyczny domysł, który wisiał niczym teoria strun nad skrzyżowaniem nauki z wiarą. Niefalsyfikowana i niefalsyfikowalna teoria dynama była fantazyjną spekulacją, według której pole magnetyczne Ziemi mogło w jakimś sensie zależeć od miarowego obracania się planety.

Od milionów lat pole magnetyczne osłaniało Ziemię przed promieniowaniem słońca, ale w osiemnastym miesiącu po rozpoczęciu spowolnienia zaczęło słabnąć. Nad zachodnią połową naszego kontynentu doszło do potężnego pęknięcia, do północnoamerykańskiej anomalii.

Nie po raz pierwszy słyszałam o promieniowaniu, ale gdyby przedtem poproszono mnie o zdefiniowanie tego słowa, powiątałabym je z historią, z bombą atomową i wojnami ubiegłego wieku.

Teraz oznajmiono, że promieniowanie przenika do stratosfery.

Zmieniono trasy samolotów i satelitów, które dotąd poruszały się w tym regionie. Rząd uparcie twierdził, że zagrożenie dla ludzi jest minimalne, ale poradzono nam unikać ekspozycji na słońce - na wszelki wypadek. Ocena faktycznego zagrożenia wymagała czasu.

Tak więc gdy dni rozciągnęły się do sześćdziesięciu godzin, wesołe miasteczka i centra handlowe zaczęły zamykać podwoje na czas świecenia słońca. Niektóre imprezy sportowe były odwoływane albo przenoszone na kryte stadiony. Przemysłowe szklarnie osłonięto namiotami - promieniowanie mogło zabijać komórki roślin równie łatwo jak nasze. Potem uprawy żyły już wyłącznie dzięki sztucznemu światłu.

Wtedy mieliśmy oczywiście nadzieję, że te środki są tylko tymczasowe. Wszyscy urzędnicy powtarzali to samo zgrabne sformułowanie: mówili o „jak najdalej posuniętej ostrożności”. Dopiero

później zaczęłam myśleć o tej zmianie nie jak o kolejnym dziwnym zjawisku, lecz jak o czymś innym, o ostatecznym przewrocie.

Moja matka potraktowała ostrzeżenia przed promieniowaniem poważnie, podobnie jak ojciec. I podobnie jak szkoły. Nasze podróże w świetle dnia natychmiast zostały ograniczone do przejazdu szkolnym autobusem, który wyposażono w ciemne rolety. Zastony były nieustannie zaciągnięte. Wszystkie sprawy do załatwienia zostawialiśmy na okres ciemności. Za każdym razem, gdy niebo zaczynało jaśnieć, pędziliśmy do domu i zatrzaskiwaliśmy drzwi przed promieniowaniem słońca.

Łykaliśmy witaminę D w tabletkach, żeby nadrobić braki powstałe wskutek izolacji od słońca. Chowaliśmy się w domach i czekaliśmy na odwołanie alarmu.

Te słoneczne dni były ponure. Czas biegł wtedy powoli. Matka nie pozwalała mi wychodzić z domu, jeździłam tylko do szkoły, więc w jasne dni znacznie rzadziej widywałam się z Sethem. Spędzałam czas sama w swoim pokoju, tęskniąc za swobodą ciemności.

Zachód słońca nabrał dla mnie nowego znaczenia, bez względu na to, kiedy następował. Gdy tylko słońce zsuwało się za horyzont, po kilku minutach rozlegało się pukanie do moich drzwi i na progu zjawiał się Seth, stojący w półmroku na werandzie.

- Cześć — mówił.

- Cześć - odpowiadałam, a potem machałam ręką, zapraszając go do środka.

W ciemne dni prawie cały wolny czas spędzaliśmy razem.

Nie widziałam Sylvii od tygodni. W tamtych dniach jej zastony były wiecznie zaciągnięte. Mój teleskop okazał się bezużyteczny.

Nie jestem w stanie powiedzieć, co się działo w jej domu. Jej róże, tak jak wszystkie inne, uschły, ale nie podjęła wysiłku, żeby usunąć to, co po nich zostało. Krzewy stały niedaleko podjazdu jak szkielety. W przeciwieństwie do innych sąsiadów, nie kiwnęła palcem w sprawie trawnika. Jej domu nie otoczyła sztuczna darń. Drobnym piach nieustannie zasypywał jej podjazd. Miałam wrażenie, że Sylvia w ogóle nie wychodzi. Graffiti zostało pospiesznie zakryte plamą brązowej farby, która odznaczała się na tle białej bramy. W dachu nadal ziała dziura, na której powoli brązowiła biała foliowa płachta.

Wśród młodszych dzieci mnożyły się przesady związane z Sylwią: maluchy przechodziły na drugą stronę ulicy, żeby ominąć jej dom, albo rzucały sobie nawzajem wyzwania, namawiając się do naciśnięcia dzwonka u jej drzwi, choć nikt nie okazał się wystarczająco odważny, żeby to zrobić. Raz widziałam, jak dwoje świadków Jehowy obserwowało dom Sylvii z chodnika. Poszli dalej bez pukania, zachowując swoje przesłanie dla siebie. Jeśli mój ojciec kiedykolwiek tam jeszcze bywał, to ja go nie widziałam. Z tego, co zauważyłam, do domu Sylvii nie wchodził już nikt. I wyglądało na to, że nikt z niego nie wychodzi.

- Może opuszcza dom tylko w białe noce - powiedział Seth. - Kiedy wszyscy śpią.

Leżeliśmy rozłożeni na dwóch różnych kanapach w jego salonie, jedliśmy lody z metalowych miseczek i cieszyliśmy się kilkoma ostatnimi godzinami ciemności. Patrzyliśmy przez okna na rozbłyskujące niebo - zorza polarna zsunęła się prawie nad równik, co było kolejnym skutkiem zmian w polu magnetycznym. Powstała nowa nazwa dla tego nowego zjawiska: „zorza środkowa”.

- Może - powiedziałam.

- Na jej miejscu właśnie tak bym robił - oświadczył Seth.

- A może się wyprowadziła - zastanawiałam się.

Seth rozważył taką możliwość. Jego łyżeczka do lodów stukała o przednie zęby.

- Bez samochodu? - zapytał.

Zauważyliśmy, że gazety Sylvii znikają z werandy, zanim zdążą utworzyć wysoką stertę. Ze skrzynki nigdy nie wysypywały się listy.

- Myślę, że ona nadal tam jest - podsumował.

Światło w salonie Setha zamrugało. Coraz częściej się tak działo. Zużywaliśmy coraz więcej energii.

- Wiem, co powinniśmy zrobić - ożywił się Seth.

Szybko usiadł i postawił pustą miseczkę na stoliku do kawy. Kiedy się poruszył, mignął mi kawałek jego opalonego brzucha. Podobał mi się sposób, w jaki jego kość biodrowa wystawała nad paskiem.

- Wymkniemy się w środku białej nocy i zobaczymy, czy ona w ogóle wychodzi.

Gdy tylko to powiedział, wiedziałam, że zrealizujemy plan jeszcze tej samej nocy. Nie sposób było mu się oprzeć. Sylvia stała się jeszcze jednym rzadkim okazem, który mogliśmy obserwować: ostatnią zwolenniczką czasu prawdziwego w naszej dzielnicy.

Zadzwoiłam do matki i powiedziałam, że przenocuję u Hanny. Kłamstwo przychodziło mi coraz łatwiej.

-Aha, dobrze - odparła matka. Wydawała się zaspana. -Wiedziałam, że w końcu się pogodzicie.

Po sekundach gromadzących się między jej słowami poznałam, że dochodzi do siebie po kolejnej fali oszołomienia. Gdyby czuła się dobrze, nigdy by mi nie uwierzyła. Nie bywałam u Hanny od miesięcy.

- Ale, Julio - dodała - trzymaj się z dala od słońca.

- Dobrze - powiedziałam. - Obiecuję.



Lecz tamtej nocy zlekceważyliśmy ostrzeżenia.

Spędziliśmy wieczór we dwoje nad basenem, patrząc, jak słońce wspina się nad wzgórzami - od tygodni nie obserwowałam go w tak bezpośredni sposób. Dawne wschody nigdy nie dawały tak wielkiej przyjemności, ale te nowe, rzadsze - a teraz zakazane - przybywały jak zbawienie, wyzwalając reakcje chemiczne: euforię naturalnego światła. Ojciec Setha wrócił do domu około dziewiątej.

- Chyba powinnaś już wracać do domu, Julio - powiedział, idąc do sypialni.

- Julia zaraz wychodzi - zapewnił go Seth. Przytaknęłam. Ojciec Setha zatrzymał się w drzwiach i podrapał po brodzie. Wyglądał na wycieńczonego.

- W takim razie dobranoc - pożegnał się i zniknął w sypialni. Ale wcale nie wyszłam.

Zamiast tego położyliśmy się z Sethem na leżakach i w półmroku czekaliśmy, czekaliśmy, czekaliśmy, aż słońce dotknie naszej skóry. Kiedy w końcu jej dotknęło, pozwoliliśmy mu rozgrzać nasze ciała do granicy omdlenia, a potem, odurzeni radością, chwiejnym krokiem usunęliśmy się w cień.

Później się dowiedziałam, że promieniowanie jest bardziej szkodliwe dla dzieci niż dla dorosłych. Nasze ciała były mniejsze, niekompletne. Mieliśmy więcej czasu, żeby zniszczenie komórek dojrzało i stało się rakiem. Nasze mózgi nadal się rozwijały. Całe rejony były jeszcze nie do końca ukształtowane - zwłaszcza, jak zrozumieliśmy później, kora czołowa, królestwo podejmowania decyzji i przezorności, ważenia kosztów i konsekwencji.

W innych domach chorzy cierpieli jeszcze bardziej. W całym regionie mnożyły się przypadki choroby grawitacyjnej. Prognozy na przyszłość były coraz bardziej złowieszcze. Ale ja i Seth czuliśmy się dobrze. Lepiej niż dobrze. Czasami śmierć bywa

dowodem życia. Czasami rozpad oznacza pewną energię. Byliśmy młodzi i głodni. Byliśmy silni i coraz silniejsi, tak zdrowi, że aż nas rozsadzało.

O dwunastej wyszliśmy z domu Setha. To była promienna noc. W mojej pamięci zapisała się jako jaśniejsza niż zwykle, ale to przecież niemożliwe - promieniowanie pozostawało niewidoczne dla ludzkiego oka.

Pięćset kilometrów na północ płonął park narodowy Yosemite. Suche drzewa to dobra rozpałka. Dym płynął na południe, w naszą stronę, rozrzedzając się do białawej mgiełki, która utworzyła na niebie nad nami nieznaną światłość: nadał jasną, ale rozproszoną.

Na ulicach było cicho. Nic się nie ruszało. Wszystkie okna we wszystkich domach zostały zasłonięte przed słońcem i o tej późnej porze na zewnątrz nie było nikogo oprócz nas. Tamtej nocy zapomnieliśmy o chodnikach - szliśmy samym środkiem drogi. Czuliśmy się tak, jakby epoka samochodów przeminęła.

- Teraz możemy robić, co nam się podoba - powiedział Seth.

Ukląkł na środku ulicy, a potem położył się na plecach z twarzą zwróconą do północnego słońca. Położyłam się obok niego, włosy okalały mi twarz, a na skórze czułam rozgrzany asfalt.

- Zamknij oczy - szepnął, a ja posłuchałam.

Leżeliśmy na ulicy wiele minut, ślepi i bezbronni. Gryzący zapach asfaltu miał w sobie pewien romantyzm, przyjemny dreszczyk zagrożenia. W końcu rozległ się jakiś hałas i zerwaliśmy się na równe nogi. Gwałtownie otworzyłam oczy - okazało się, że to tylko kot, który przebiegł chodnikiem.

Minęliśmy przystanek autobusowy, zakurzony i opuszczony, a potem centrum handlowe z okiennicami zatrzaśniętymi na noc. Snuliśmy się po parkingu, najcichszym parkingu na świecie - bo pozbawionym samochodów - i wyobrażaliśmy sobie, że

jesteśmy gośćmi na tej dziwnej ziemi: do czego służy ta otwarta przestrzeń, te rzędy białych linii?

Potem zbiegliśmy ze wzgórza w stronę mojej ulicy. Nasze cienie wydłużyły się we wczesnym świetle.

Wkrótce dotarliśmy pod dom Sylvii. Ojciec pracował na nocną zmianę, ale matka była w domu. Spała - albo nie spała - po drugiej stronie ulicy. Bałam się, że mnie przyłapie, więc przykucnęliśmy i podkradliśmy się za zaparkowanym samochodem.

Z bliska nadal mogłam przeczytać napis pod plamą farby na bramie garażu Sylvii, niechlujne litery nadal krzyczały: „Wypierdalaj”. Zastanawiałam się, jak wygląda dom od wewnątrz: usunęła fortepian czy został na podłodze, połamany na kawałki? Wyobrażałam sobie, że wszystko obróciło się w ruinę: podłogi się zapadły, półki runęły, makrama już dawno się wystrzepiła. Jedyнным dźwiękiem było ciche skwierczenie linii energetycznych biegnących nad dachem.

Zauważyliśmy, że boczna furtka jest otwarta i odsłania ciernistą płataninę suchych krzewów na podwórzu za domem.

- Wejźmy tamtędy — szepnął Seth.

Zanim zdążyłam się sprzeciwić, wbiegł przez furtkę. Podobało mi się, jak wygląda w jasnym świetle, pędząc na tle sztukaterii. Potem odwrócił głowę, zmrużył oczy i dał mi znak, żebym pobiegła za nim, co oczywiście zrobiłam. Opierając się o dom Sylvii, śmialiśmy się najciszej, jak umieliśmy. Drżały nam ramiona i nie mogliśmy złapać tchu. Byliśmy dziećmi i mieliśmy lato. Wtargnęliśmy na cudzy teren, na wpół zakochani.

Próbowaliśmy zajrzeć przez okno, ale zasłony zostały zaciągnięte. Nigdzie nie było ani śladu Sylvii.

Naturalne doby rozciągnęły się do sześćdziesięciu godzin: trzydzieści godzin ciemności, potem tyle samo słońca. Jeśli Sylvia nadal tu mieszkała, nie zdołałaby przecież spać zawsze, kiedy

było ciemno, ani wytrzymywać bez snu, kiedy było widno, choć oczywiście nie mogliśmy mieć co do tego pewności. A chcieliśmy zyskać pewność - chcieliśmy wiedzieć wszystko, czego można było się dowiedzieć.

W innych okolicznościach czekaliibyśmy na tym podwórku godzinami, a i tak byśmy jej nie zobaczyli, lecz tym razem boczne drzwi nagle się otworzyły i z domu wyszła Sylvia, chudsza niż kiedykolwiek wcześniej, w pomarańczowej lnianej sukience, bez butów. Schowaliśmy się za rzędem kubłów na śmieci i patrzyliśmy, jak idzie w stronę podjazdu. Spojrzała w prawo i w lewo, potem jeszcze raz. Wymykała się jak złodziej. Niosła dwa kartonowe pudła zaklejone taśmą. Postawiła je na podjeździe, a potem wróciła do domu.

- Miałaś rację - szepnęłam. - Chyba cały czas tutaj była. Seth pokiwał głową. Zbliżył palec do ust.

Sylvia wróciła z dwoma następnymi kartonami i jeszcze raz ruszyła w stronę podjazdu. Zniknęła nam z oczu, ale usłyszeliśmy brzęk kluczyków, a potem odgłos otwierania i zamykania bagażnika.

Seth cicho zakaszłał. Zasłonił usta dłonią, próbując powstrzymać następny atak, ale kaszel wyrwał się z nich dokładnie w chwili, kiedy Sylvia wróciła na boczne podwórko. Spojrzała w naszą stronę.

- Jezu Chryste - powiedziała, przyciskając dłoń do piersi. - Wystraszyliście mnie. Co wy tutaj robicie?

Wstaliśmy, ale żadne z nas się nie odezwało. Zostaliśmy przyłapani.

Sylvia spojrzała na boczne drzwi. Zwyczajna zamaszystość jej gestów, dawniej pełna wdzięku, ustąpiła miejsca nerwowemu spleceni rąk na piersi i lęklivemu przygryzieniu dolnej wargi.

- No więc? - zapytała.

Milczeliśmy.

- Chyba obydwójce powinniście wracać do domu - powiedziała. - Natychmiast.

Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła w taki sposób. Jako nauczycielka była nieskończenie cierpliwa i spokojna.

- Nie powinniście tu być - dodała podniesionym głosem. Za jej plecami rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Sylvia zamknęła oczy.

I wtedy go zobaczyłam: mojego ojca niosącego dwie brązowe walizki, po jednej w każdej ręce.

Być może widok ojca wyłaniającego się z jej domu w taki sposób nie powinien był mnie zaskoczyć, ale zaskoczył. Zobaczył nas i zatrzymał się. Usłyszałam, jak szybko wciąga powietrze. Postawił walizki na chodniku.

- Co wy tutaj robicie? - zapytał.

Spojrzał na Setha, potem znowu na mnie. Na jego koszuli dyndała para okularów przeciwsłonecznych. Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby odpowiedzieć.

- Myślałem, że jesteś u Hanny - ciągnął ojciec. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Seth mu przerwał.

- A ona myślała, że pan jest w pracy - odpyskował. Seth wyglądał na wkurzonego, był gotowy do kłótni.

- Nie mów do mnie tym tonem - ostrzegł go ojciec. - Rozmawiam z Julią.

Nagle zauważył otwartą furtkę i wystraszył się: gdyby matka nie spała i wyjrzała przez okno, z łatwością mogłaby nas zobaczyć.

- Cholera - zaklął.

Wtedy zobaczyłam to po raz pierwszy: nieuniknioną przepaść między ojcem a mężczyzną. Na chodniku przede mną stał sfrustrowany mężczyzna. Obca osoba zauważyłaby oznaki z daleka,

kiedy pobiegł, żeby zamknąć furtkę, wykonując gwałtowne ruchy wściekłej istoty.

- Dokąd się wybierasz? - zapytałam.

- Donikąd - odparł.

Ale walizki były w oczy jak twarde dowody świadczące przeciwko niemu.

- Powiedz mi prawdę - zażądałam.

Sylvia zaczęła się wycofywać. Ledwie zauważalnie płynęła z powrotem w stronę bocznych drzwi.

- Masz natychmiast wracać do domu - rozkazał mi ojciec.

Wyciągnął palec w stronę budynku widocznego nad krawędzią bramy, wyglądającego tak smutno i zarazem uroczo po drugiej stronie ulicy, z prostą białą sztukaterią, która prawie lśniła w słońcu. W stronę naszego domu.

- Nie - powiedziałam.

Sylvia była już w środku. Usłyszałam, jak cicho zamyka za sobą drzwi.

- W tej chwili! - warknął ojciec.

Ale nie ruszyłam się z miejsca. Może była to zasługa Setha, który przy mnie stał, a może słońca - podobno w świetle dnia stajemy się bardziej impulsywni niż w ciemności.

- Nigdzie nie pójdę - oświadczyłam. Seth złapał mnie za rękę.

- Nie może ci rozkazywać - poparł mnie. - Mogłabyś od razu powiedzieć o wszystkim matce.

Po twarzy mojego ojca przemknęła złość - złość i niedowierzenie.

- Ja i twoja matka już o tym rozmawialiśmy - zapewnił.

- Nie wierzę - odparłam.

Z oczu popłynęły mi łzy wściekłości. Poczulałam na plecach dłoń Setha.

- Jeśli nie chcesz wrócić do domu, idź do Setha - nalegał ojciec. Tym razem błagał. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby to robił. - Proszę - dodał. - Przebywanie na zewnątrz o tej porze jest niebezpieczne, nie powinniście być na słońcu.

Po krótkim sporze zgodziliśmy się, ale nie pozwoliliśmy, żeby nas podwiózł. Jechał za nami samochodem, poruszając się w wolnym tempie naszych kroków. Seth przez cały czas trzymał mnie za rękę. Kiedy tak szliśmy, miałam wrażenie, że patrzę na żywy obraz kogoś starszego, na obce dramaty, które rozgrywają się jedynie w środku nocy.

Gdy dotarliśmy do podjazdu przed domem Setha, ojciec mnie zawołał.

- Julio - powiedział - nie powiem matce, że skłamałaś na temat nocowania u Hanny. - Zamilkł. Włączył się wentylator pod maską samochodu. - Dobrze?

- To ty jesteś kłamcą - odparłam.

- Julio - powtórzył, ale więcej się do niego nie odezwałam. Nie wiedziałam, kiedy znów go zobaczę.

Trzymając się za rękę, przeszliśmy z Sethem po piachu, na którym kiedyś rosła trawa. Wspięliśmy się po schodach przed frontowymi drzwiami i wślizgnęliśmy do środka, żeby nie obudzić jego ojca.

Siedzieliśmy przez chwilę na kanapach w salonie. Dzięki zasłonom panował tam półmrok. Było późno, zbliżała się druga.

- Powinnaś powiedzieć matce - odezwał się Seth. Ziewnął i wyciągnął się na dywanie.

Ja położyłam się na kanapie i spojrzałam na sufit. Minęło kilka minut. Gdzieś przeciekał kran. Szumiała lodówka. Na zewnątrz słońce prażyło ziemię.

- I tak się dowie - westchnęłam.

Kiedy się odwróciłam i spojrzałam na Seta, zobaczyłam, że zasnął. Leżał skulony na podłodze w koszulce i szortach. Przez chwilę wsłuchiwałam się w pokrzepiający oddech spoczywającego obok chłopaka. Obserwowałam leciutkie drganie jego powiek, kiedy śnił. Nie wystarczyło mi samo bycie przy nim. Żałowałam, że nie wiem, co mu się śni. Poszłabym za nim nawet tam.



Dopiero nazajutrz zauważyliśmy oparzenia. Oparzenia słoneczne - najgorsze w naszym życiu.

Mieliśmy gorączkę i chciało nam się pić, nasze ciała płonęły czerwienią. Bolało nawet zginanie nóg w kolanach. Obracanie głową. Seth pobiegł do łazienki i zwymiotował. Nadal pamiętam, jak potem wyglądał: leżał na kanapie i kaszłał. W jego oczach zobaczyłam początki łez i coś jeszcze: strach.

Kiedy wróciłam do domu, matka była przerażona. Skóra z policzków schodziła mi już białymi płatami.

- Jezu - powiedziała. - Mówiłam ci, żebyś nie wychodziła na słońce.

Tamtego dnia ożyła, jakby moje oparzenia były jej lekarstwem. Długo wsmarowywała mi w twarz krem z aloesem. Pod dotykiem jej palców - pod terapeutycznym kluciem - poczułam się jak mała dziewczynka.

- To był twój pomysł? - dopytywała się. — A może Hanny? I gdzie byli wtedy jej rodzice, do diabła?

Nie potrafiłam jej spojrzeć w oczy.

- Kiedy tylko przyjedzie ojciec, każe mu to obejrzeć - oświadczyła. Maleńkie płatki skóry spadały jej z rąk. W świetle lampy widziałam całą ich lawinę. - Wróci z pracy za godzinę.

Miałam nadzieję, że ma rację, ale wiedziałam, że tamtej nocy nastąpił jakiś gwałtowny zwrot, dokonała się ostateczna zmiana, która w końcu doprowadziła do spakowania dwóch walizek i załadowania bagażnika samochodu Sylvii. Ojciec i Sylvia mogli już być w Nevadzie albo w połowie wybrzeża Kalifornii. Ale nie powiedziałam o tym matce. Po prostu czekałam, aż prawda sama się objawi.

Matka pochyliła się nade mną, obejrzała moje policzki. Z bliska wyglądała starzej, zmarszczki wokół jej oczu były głębsze, cała twarz przypominała suszone płatki kwiatów, które zebraliśmy z Sethem tamtej wiosny.

Odwróciła mnie na brzuch, uniosła koszulkę. Miałam na sobie prosty biały stanik sportowy, który potajemnie kupiłam podczas drugiej, bardziej przemyślanej wyprawy do sklepu. Zamknęłam oczy i czekałam, aż matka coś o nim powie. Ale nawet nie wspomniała o staniku. Zamiast tego usłyszałam tylko, jak gwałtownie wciąga powietrze na widok mojej skóry:

- Mój Boże - powiedziała. - Nie miałaś na sobie koszulki? Ale słońce opanowało nową, niepokojącą sztuczkę - nauczyło się przenikać przez nasze ubrania.

Tego samego ranka przed dom Sylvii zajechała furgonetka do przeprowadzek. Patrzyłam zza zasłony, jak pudło po pudle podskakuje nad ziemią, niesione przez dwóch pracowników firmy. Wynosili lampy stojące, dywany, dwa kosze przedzy, długie metry makramy. Potem przyszła kolej na meble: rustykalny stół

z jadalni, kanapę obitą brązowym aksamitem, dwa wyściełane fotele, ramę łóżka i pustą klatkę dla ptaków. Załadunek trwał przez cały ranek, ale Sylvia się nie pojawiła. Jej samochód już zniknął. Na podjeździe schła plama oleju.

Po jakimś czasie furgonetka z meblami odjechała.

Dwunasta nadeszła i minęła, ale ojciec się nie zjawił. Matka próbowała się dodzwonić na jego komórkę. Nie odpowiadał.

- Jego zmiana powinna być już skończona - powiedziała.

Milczałam, ale wiedza wzbierała we mnie jak morze w czasie sztormu - widziałam przyszłość: ojciec nie wróci. A ten jeden fakt zdawał się prowadzić do następnych i kolejnych: miłość się kończy, ludzie zawodzą, czas płynie, epoki przemijają.

Okolo wpół do pierwszej zamrugalo światło. Kilka minut później zgasło.

- Cholera - przeklęła matka. - Znowu to samo.

Wszystkie okna w naszym domu były zasłonięte czarnymi kotarami, ale i tak przesączała się przez nie odrobina światła, więc w kuchni, gdzie oboje siedzieliśmy, czekając i martwiąc się jak kobiety z dawniejszych czasów oraz paląc świece w półmroku, nie było całkiem ciemno.

Potałam twarz rękami. Małe płatki spalonej skóry opadły na ziemię.

- Nie rób tak - powiedziała matka. - Bo będzie jeszcze gorzej. Wkrótce po awarii prądu zaczęły miauczeć koty. Nigdy nie

słyszałam, żeby wydawały takie odgłosy. Chloe zawodziła. Sierść na jej kręgosłupie stała nastroszona. Tony chodził po kuchni, niespokojnie poruszając uszami. Wydawał z siebie niskie pomruki. Kiedy wyciągnęłam do niego rękę, syknął.

Po chwili psy w dzielnicy zaczęły szczekać. Wyły bez końca, ich głosy wzbierały jak fala. Naszą ulicą przegalopował dog niemiecki,

ciągnąc za sobą smycz. Na pobliskich terenach wiejskich było szturmowało zagrody, konie przeskakiwały przez ogrodzenia.

My, ludzie, niczego nie czuliśmy. Niebo było błękitne i zwyczajne.

Kiedy spróbowaliśmy włączyć radio, z głośników popłynął szum. Na żadnej częstotliwości nie było słycać głosu. Dopiero później pojęliśmy to, co z perspektywy czasu wydaje się takie oczywiste: nastąpiła pierwsza olbrzymia burza słoneczna wywołana słabnięciem pola magnetycznego.

Matka znowu zadzwoniła do ojca. Na próżno.

Zawodzenie Chloe stało się rozpaczliwe, przeszło w nieustający, rozedrgany akord. Matka zamknęła kotkę w pokoju gościnnym i pozamykała okna, żeby odgrodzić nas od hałasu.

Jeszcze raz zadzwoniła do ojca. Od razu włączyła się poczta głosowa.

- Gdzie on się podziewa? - powiedziała.

Chyba wiedziała, że to coś więcej niż spóźnienie. Coś się zmieniło i matka to czuła.

- Może lepiej oszczędzać baterię - podsunęłam. Wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

Minęła godzina, potem druga. Ojciec nie dawał znaku życia. Matka zadzwoniła do szpitala. Nie było go tam.

Znowu spróbowała się dodzwonić na komórkę. Pamiętam szybkie piknięcia klawiszy, powtarzane bez końca, za każdym razem z większym niepokojem - ciche odgłosy przegranej sprawy.

Przed spowolnieniem nikt by nie przypuszczał, że mój ojciec okaże się mężczyzną zdolnym opuścić żonę i dziecko. Wtedy był człowiekiem, który zawsze zjawiał się na czas, wykonywał swoją pracę i co wieczór wracał do domu. Był kimś, kto przezwycieżał kryzysy i płacił rachunki w terminie. Fizycznym skutkiem choroby grawitacyjnej poświęcono mnóstwo badań, ale więcej

losów, niż odnotowała historia, uległo zmianie w wyniku subtelniejszych zmian w psychice, które także towarzyszyły spowolnieniu. Z przyczyn, których nie udało nam się w pełni zrozumieć, spowolnienie - albo jego skutki - zmieniło dynamikę związków chemicznych w mózгах niektórych osób, najbardziej zaburzając kruchą równowagę między impulsem a samokontrolą.

Pięćdziesiąt kilometrów dalej rozgrywał się inny dramat. Zaczął się od golden retrievera — choć można by powiedzieć, że historia ta rozpoczęła się wcześniej, znacznie wcześniej, przed sześćdziesięcioma laty, w 1961 roku, kiedy Amerykanie otrzymali instrukcje budowy podwórkowego schronu przeciwbombowego i wszyscy wiedzieli, ile centymetrów cementu potrzeba, żeby osłonić istotę ludzką przed opadem promieniotwórczym.

Ale wydarzenia tamtego dnia rozpoczynają się od golden retrievera. Jak wszystkie zwierzęta w naszej dzielnicy wystraszył się burzy słonecznej — i to bardzo. Przeskoczył przez płot za domem i pobiegł przed siebie.

Pędził przez dziesięć przecznic, mijał podjazdy, kikuty drzew, plastikowe namiastki trawników. Mieszkaliśmy na uporządkowanym osiedlu, które w czasie spowolnienia nadal jeszcze było nowe i starało się sprawiać wrażenie jak najmniej zmienionego. Zbocza wzgórz zostały oczywiście ogołoczone z drzew, ale w zamian domy oferowały widoki na daleki ocean, niezakłócone

żadną przeszkodą na przestrzeni wielu kilometrów. W końcu golden retriever wbiegł na wzgórze i wpadł na działkę leżącą tuż za osiedlem, na płat spalonej słońcem ziemi, która przypadkiem należała do mojego dziadka. Zanim psa dogonili właściciele, zwierzę zdążyło odkopać kawałek metalu do połowy przykryty piachem za stertą drewna. Były to zardzewiałe uchylne drzwi wciśnięte w ziemię.

Właściciele psa natychmiast zadzwonili na policję.

Niektórzy mówią, że miłość to najśłodsze uczucie, najczystsza forma radości, ale to nieprawda: do takiego opisu pasuje nie miłość, lecz ulga.

Doskonale pamiętam ton głosu matki, kiedy zawołała mnie z dołu.

- Jest - powiedziała. - Jest.

Cała nasza przyszłość została napisana na nowo krótkim warknięciem silnika w samochodzie ojca, który właśnie zaparkował na podjeździe.

- Przepraszam - powiedział ojciec, potrząsając telefonem w powietrzu. - Próbowałem się dodzwonić.

Dopiero później odkryliśmy, że burza słoneczna zmiotła satelity obsługujące nasze telefony komórkowe. Milion rozpaczliwych połączeń poleciało tamtego dnia w przestrzeń, lecz nigdzie nie wylądowało.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała matka.

Ale mnie to już nie obchodziło. Wrócił do domu. Był z nami. Od razu mu wybaczyłam.

Nie od razu jednak zauważyłam zakłopotany wyraz jego twarzy. Powinnam była już wiedzieć, że ostatecznie zdarzają się nie

te katastrofy, których oczekujemy, lecz te, których wcale się nie spodziewamy. Tamtego dnia ojciec nie spóźnił się bez powodu. Był w domu swojego ojca.

Za stertą drewna na działce dziadka — tam gdzie kiedyś rosły dzikie kwiaty - tkwiły stare uchylne drzwi, płaskie i zardzewiałe. Prowadziły do podziemnego schronu zbudowanego przez dziadka sześćdziesiąt lat wcześniej na wypadek wojny nuklearnej.

Nie wiedziałam o istnieniu tego schronu. Ojciec pamiętał go z młodości, ale ledwie sobie przypominał, gdzie dokładnie się znajdował. Jak powiedział później, zakładał, że schron zapadł się wiele lat temu. Okazało się jednak, że w miesiącach poprzedzających swoje zniknięcie mój dziadek w tajemnicy przystosował tę przestrzeń do niepokoju nowej ery.

Schron miał trzy i pół metra na cztery i ściany wzmocnione trzydziestoma dwoma centymetrami cementu. W środku stały skrzynki z butelkowaną wodą, rzędy konserw, dwie śrutówki i radio na korbkę. Były tam cztery śpiwory i cztery posłania - po jednym dla każdego z nas. Zobaczyłam kilka opakowań moich ulubionych zbożowych batoników. Większość tego, co zniknęło z domu, znalazło się w schronie. W jednym kącie stało kilka kartonów ze zdjęciami i cennymi przedmiotami, pudełka po butach pełne sztabek złota, które widziałam w jadalni. Na ścianie wisiał kalendarz na dwa lata. Schron był wyrwą w ziemi zaprojektowaną po to, by przeczekać rozpad społeczeństwa oraz to wszystko, co po nim nastąpi. Zaprojektowaną nie tylko dla dziadka, ale i dla nas, dla moich rodziców i dla mnie. Chyba ostatecznie dziadkowi nie spieszyło się aż tak bardzo do ucieczki z ram tej rzeczywistości.

Na podłodze leżała rozsypana zawartość jego ostatniego tobołka: talia kart, stara edycja Monopolu, szachownica i figury



szachowe. Wszystko rozrzucone na cemencie. Na podłodze schronu pod nienaturalnym kątem leżała drewniana drabina. W raporcie policyjnym napisano, że to właśnie tam znaleziono ciało mojego dziadka.

Kiedyś' był silnym mężczyzną, ale gdy usłyszałam, co się stało, od razu pomyślałam o tym, jak delikatna stała się jego skóra, jak łatwo i często uwalniała krew.

Później spędziłam mnóstwo czasu na obsesyjnym roztrząsaniu zasad rządzących przyczyną i skutkiem, o tym, że przewrócenie się tamtej drabiny było elementem długiego łańcucha zdarzeń. A gdyby podłoga schronu była pokryta dywanem, a nie cementem? A gdyby producent drabiny podbił jej nóżki gumą, żeby lepiej trzymała się podłoża? Może wtedy drabina nie poślizgnęłaby się tak łatwo. Gdyby w 1962 roku Sowieci postanowili zrezygnować z transportu głowic nuklearnych na Kubę, dziadek nigdy nie zbudowałby schronu. Gdyby ruch obrotowy Ziemi utrzymał stałe tempo, dziadek nigdy by tego schronu nie odkopał. W nocy leżałam i tropiłam tysiące innych rzeczy, które mogły zapobiec śmierci dziadka, ale w chwili, w której zachwiała się drabina, możliwości się zawężyły: głowa dziadka uderzyła o cement, krew z żył trysnęła do mózgu, serce przestało bić i dziadek opuścił tę ziemię na dobre.

Później ustalono, że zmarł tego samego dnia, w którym zniknął, dwa miesiące wcześniej, w moje urodziny. W chwili upadku miał na sobie szare spodnie, skórzane buty i sztruksowy sportowy płaszcz. Ubrał się tak z myślą o naszej kolacji. Policja przypuszczała, że zszedł do schronu niespełna godzinę przed naszym przyjazdem i że prawdopodobnie zamierzał jedynie zanieść do schronu ostatnią partię zapasów, zanim pojedzie z nami do restauracji. W kieszeni jego płaszcza znaleziono bladoniebieską kopertę opatrzoną moim imieniem napisanym drżącą ręką dziadka.

W środku była kartka urodzinowa, a w niej złożony dwudziestodolarowy banknot z krótkimi, napisanymi odręcznie życzeniami: „Wszystkiego najlepszego, Julio. Bóg z Tobą”.

Jeden szczegół nadal wyciska mi łzy z oczu: kiedy tamtego wieczoru dziadek padał na podłogę, ścisnął w ramionach moje ulubione gry planszowe.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, nigdy nie padał deszcz, ale w dniu pogrzebu dziadka lało. Ceremonia odbyła się w chłodzie bezpiecznej ciemności. Na cmentarzu ojciec był bardziej przygaszony niż kiedykolwiek. Matka stała za mną i cicho płakała. Czarna trumna lśniła w świetle reflektorów, krople deszczu spływały po jej bokach, a ja nie mogłam uwierzyć, że on tam jest, mój dziadek, martwy. W uszach nadal słyszałam jego głos. Nadal widziałam jego twarz. Nigdy wcześniej nie byłam na pogrzebie.

Wkrótce piach zmienił się w błoto, a deszcz w deszcz ze śniegiem. Gdzieś po drugiej stronie planety świeciło słońce i ludzie chowali się przed jego promieniami. Pamiętam, jak tamtego dnia trzęsłam się w płaszczu, rozmyślając o różnicy między zbiegiem okoliczności a losem.

Szybko doszłam do siebie po poparzeniu słonecznym, ale Seth chorował wiele tygodni. Skóra na jego rękach pokryła się bąblami i zeszała. Przez jego ciało przetaczały się kolejne gorączki. Nie było do końca wiadomo, czy to skutek poparzenia, czy czegoś innego.

Nie chodził do szkoły. Siedziałam przy nim popołudniami, ale rzadko się odzywał i często spał. Dawne godziny otworzyły się jak blizny - znowu spędzałam przerwy na lunch w bibliotece, zalękniona i samotna. Coraz mniej uczniów przychodziło do szkoły.

W końcu Seth odżył, ale nawet wtedy martwiłam się, że jego organizm doznał jakichś zniszczeń. Część tego, co przydarza się w młodości, niesiemy w późniejsze życie. Niektórzy eksperci już prognozowali nadciągającą falę nowotworów.

Kwiecień szybko rozpuścił się w maju, a w maju zaczęły się trzęsienia ziemi - wtedy były jeszcze łagodne, ale za to częste: prawie codzienne pomruki. W tym samym miesiącu zbudowaliśmy za domem drugą szklarnię i zabezpieczyliśmy okna przed słońcem. Matka kupiła kłódki do wszystkich drzwi w domu. Ojciec kupił pistolet.

Siedem zachodów słońca później był już czerwiec.

Ostatni dzień szkoły w tamtym roku był najcichszym ostatnim dniem, jaki pamiętam. Nie udało nam się wykrzesać tradycyjnej radości. Po części uciszyła nas ciemność, cienki sierp księżyca, ale chodziło o coś jeszcze: chyba o nowe poczucie czasu - o to, jak szybko uciekał. Później próbowałam wytłumaczyć Sethowi, jak się czułam tamtego dnia - Seth nadal chorował i siedział w domu - ale trudno było ująć ten nastrój w słowa. Tamtego ostatniego dnia szkoły, kiedy zapinaliśmy plecaki i układaliśmy książki w przechowalni, mieliśmy poczucie, że możemy już nigdy nie wrócić na te korytarze. Wrzesień czaił się zaledwie trzy miesiące dalej, ale przestaliśmy snuć prognozy na przyszłość. W tamtym roku z większą powagą podchodzono do podpisywania ksiąg pamiątkowych. Z każdego długopisu płynęła nostalgia. Nie rozmawiałam z Hanną od miesięcy, ale ona i tak się

uparła, żeby podpisać stronę w mojej księdze obok swojego zdjęcia, pstrykniętego w czasie, kiedy jeszcze byliśmy przyjaciółkami. Nigdy więcej nie zobaczyłam Hanny. Wyjechała z rodziną z powrotem do Utah, żeby czekać na to, co się wydarzy.

Popołudnie dobiegało końca. Księżyc zniknął z pola widzenia. Nauczyciele angielskiego rozdali listę lektur na lato: *Folwark zwierzęcy*, *Tomka Sawyera*, *Dziennik Anny Frank*. Nigdy wcześniej nie czuliśmy się tak podniesieni na duchu przez skrzypienie krzeseł na linoleum, popiskiwanie flamastra na białej tablicy. Ale zegary tykały z normalną prędkością i koniec dnia nadszedł o czasie. Szkolne autobusy stękały przy krawężniku, reflektory świeciły we mgle. Zadzwonił dzwonek. Niektórzy ściskali się na pożegnanie. Inni płakali. Rozchodziliśmy się. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak mało spragnieni wakacji.

Burze na słońcu szalały przez całe lato. Ja i Seth bacznie je śledziliśmy. Nigdy nie czuliśmy, kiedy uderzają, ale niszczyły sieć elektryczną na całym świecie, wzniecając częste pożary linii energetycznych. Do atmosfery przedostawało się coraz więcej promieniowania. Mogliśmy śledzić jego obecność w szalonych łukach zórz, które wystrzelały w niebo, gdy robiło się ciemno. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy może zabraknąć prądu. Nagła fala cząstek magnetycznych potrafiła wyłączyć sieć energetyczną o dowolnej porze, więc nie rozstawaliśmy się z latarkami i trzymaliśmy świeczki w pogotowiu. Nadal unikaliśmy słońca.

Duża część tego, co wychodziło z ust naukowców, była już niezrozumiała dla reszty z nas. Ale rozumieliśmy pewne nagie fakty. Ten sam wiatr słoneczny, który teraz nękał nasze niebo, kiedyś, dawno temu, zdmuchnął oceany i atmosferę Marsa.

- Obserwowaliśmy już takie zjawiska w polu magnetycznym - powiedział pewien naukowiec - ale nigdy na tak wielką skalę. Normalnie tego typu zniszczenia dokonują się w ciągu tysięcy lat.

Oświadczenia naukowców czasami ocierały się o poezję. Popuszczali wodze fantazji. Niektórzy spekulowali, że w to wszystko zamieszana jest jakaś trzecia siła, na razie nieznana.

- Mamy tu do czynienia z czymś - powiedział inny badacz - co podważa całe nasze pojęcie o fizyce.

Choroba mojej matki nasilała się i słabła, ale matka nauczyła się przewidywać nadejście gorszych chwil na podstawie lekkiego metalicznego posmaku w ustach, będącego kolejnym objawem, którego jej lekarz nie był w stanie wytłumaczyć.

Zauważyłam, że ojciec zaczął o nią dbać w nowy, czuły sposób. Obserwowałam ich interakcje z daleka, ale dostrzegałam między nimi nową bliskość. Coś się zmieniło, lecz przyczyna tej zmiany pozostawała dla mnie zagadką. Tamtego lata przyglądałam im się z pewnej odległości, tak jak - jak mówiono nam w szkole - astronomowie, którym czasami udaje się odkryć daleką planetę, choć jej nie widzą, lecz jedynie mierzą wywołane przez nią zagięcie ścieżki światła gwiazd. Wskazówki tkwiły w łuku ramienia ojca otaczającego ramiona matki, w miększym tonie jej głosu. Czasami, kiedy mijały mdłości, matka była prawie radosna i wtedy przez chwilę graliśmy w Monopol albo w warcaby, a rodzice sączyli piwo. Raz czuła się dobrze przez cały tydzień. Wtedy co wieczór siedzieli razem do późna, cicho rozmawiali i od czasu do czasu się śmiali.

- Widzisz - mówił ojciec - będziesz zdrowa.

Im więcej mijało czasu, tym mniej rozumiałam łączącą ich więź, ale zaczęłam podejrzewać, że tamto przewrócenie się

drabiny w schronie przeciwbombowym dziadka zmieniło kurs małżeństwa moich rodziców. Nigdy nie poznam dokładnej kolejności zdarzeń i nie dowiem się, kiedy podjęto poszczególne decyzje. Nigdy nie odkryję, czy tamtego dnia ojciec naprawdę planował wyjechać z Sylwią. Wiem tylko, że nie wyjechał. Wiem tylko, że został.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Sylvii. Nie wiem, czy ojciec jeszcze kiedyś się z nią spotkał. Tamtego lata i później zdarzało mi się usłyszeć, jak późno w nocy rozmawia przez telefon, ale nigdy się nie dowiem z kim ani o czym.

Kiedy nie był w pracy, godzinami katalogował rzeczy należące do dziadka. Stary dębowy zegar tykał teraz w naszym salonie. Miniaturowe łyżeczki babci kołysały się na żółtej ścianie w naszej kuchni. Buciki, które dziadek nosił w dzieciństwie - zakonserwowane srebrem osiemdziesiąt lat wcześniej - stały na półce w salonie.

Ojciec nigdy nie wspomniał wprost o Sylvii. Tamtego lata obydwójce bardzo pragnęliśmy poczuć, że pewne zdarzenia w ogóle nie miały miejsca. Umysł posiada potężną moc - a tym bardziej dwa umysły.

Któregoś czerwcowego dnia do naszej skrzynki pocztowej trafił policyjny raport dotyczący wypadku mojej matki. Zapewne wspomniano w nim o losie pieszego - o tym, że zmarł - ale widziałam ten dokument tylko przez ułamek sekundy, bo ojciec pogniótł go i wrzucił do kominka między gazety, które miały mu posłużyć za rozpałkę. Zupełnie jakbyśmy nauczyli się podróżować w czasie do jakiegoś łatwiejszego okresu, w którym zasady chronologii i skutków, akcji i reakcji, wyglądały inaczej, mniej konkretnie, mniej pewnie. Ojciec wspomniał o Sylvii tylko raz.

Była bezchmurna ciemna noc, trzecia kwarta księżyca. Szliśmy do szkoły podstawowej - pomysł ojca - żeby przez chwilę pokopać na boisku piłkę.

- Wiem, że nie wszystko wydaje ci się zrozumiałe - powiedział po drodze.

Kilka latarni wskazywało nam kierunek. Bałam się tego, co mogę za chwilę usłyszeć.

- Wiesz, co to jest paradoks? - zapytał.

Zamilkł i potarł czoło. W pobliżu na tle ciemnego nieba jaśniał zarys rzędu domów.

- Nie bardzo — powiedziałam.

Pamiętam swoje dłonie tamtego wieczoru, ciasno zwinięte w rękawach płaszcza. Nadal nie mogłam przywyknąć do tego, jak zimno bywa w długich okresach ciemności.

- Paradoks - podjął - jest wtedy, kiedy dwie sprzeczne rzeczy są prawdziwe.

Odchylił głowę i spojrzał na niebo. W jego włosach pokazywał się maleńki placek łysiny. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że twarde dowody na upływ czasu otaczają mnie ze wszystkich stron.

- Pamiętaj o tym, dobrze? - dodał. - Nie wszystko jest jednoznaczne.

Doszliśmy do parkingu i znalazłam dziurę w płocie z siatki. Pamiętam chrzęst sztucznej darni pod korkami. Wszystkie rośliny w okolicy, które rosły pod gołym niebem, już dawno uschły.

Piłka lśniła w blasku zórz. Ojciec stał na bramce, a ja kopałam. Z upływem miesiący kopanie piłki dawało mi coraz mniej satysfakcji. Trzeba było coraz więcej siły, żeby doleciała na koniec boiska - tak naprawdę nie nasilała się grawitacja, lecz siła odśrodkowa. Piłka ciążyła mi na nodze.

- Słyszałaś, że odkryto nową planetę, która może się okazać podobna do Ziemi? - zapytał ojciec, kiedy szliśmy z powrotem w stronę ulicy. ,



- Naprawdę? - zdziwiłam się. - Gdzie?

- Daleko stąd - powiedział. - Dwadzieścia pięć lat świetlnych. Sznur samochodów płynął ulicą, ich światła co chwila ukazywały rząd kikutów drzew przed szkołą.

- Więc nam to nie pomoże - zauważyłam.

- Nie - przyznał. - Nam nie.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Zapięłam płaszcz pod samą szyję. Korki stuknęły o asfalt.

- Założę się, że w tym roku dostaniesz się do reprezentacji - powiedział ojciec.

Na niebie rozbłyskiwały pasma zieleni i fioletu.

- Może - odparłam.

Ale chyba obydwójce wiedzieliśmy, że w tym roku nie będzie żadnej reprezentacji.

Ze wszystkich stron dobiegały nas echa uderzeń młotków, warkot pił motorowych, odgłosy cięcia stali. Pod ziemią powstawały setki schronów na wypadek promieniowania.

A doby nadal się wydłużały. 4 lipca miały już siedemdziesiąt dwie godziny.

Tamtego lata w ciemne dni nadal spacerowaliśmy z Sethem w świetle latarni - blade istoty, ciągle jeszcze rosnące. Seth znowu wydawał się zdrowy. Wyglądał w porządku. Na zmianę zjeżdżaliśmy na deskorolce ze wzgórz w dzielnicy. Kupowaliśmy cukierki w sklepie monopolowym, piliśmy oranżadę na klifach przy plaży. Czuwaliśmy przy umierających waleniach.

Pewnego popołudnia Seth zaczął krwawić z nosa. Kilka kropli wylądowało mu na koszulce.

- To nic - powiedział, wycierając nos wierzchem dłoni i wyciągając z kieszeni chusteczkę.

Szliśmy niedaleko oceanu, ciemnego i głośnego w dole. Seth odchylił głowę i ścisnął nasadę nosa. Krew szybko przebiła przez chusteczkę.

- Czasem mi się to zdarza - dodał.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. - Może powinien to obejrzeć mój ojciec?

- To nic wielkiego - zapewnił.

Po kilku minutach krwawienie ustało. Niczego innego nie zauważyłam. Dobrze ukrywał objawy.

Dom Sylvii nadal stał pusty. Na podwórku tkwiła tabliczka z napisem: „Na sprzedaż”, a część dachu w dalszym ciągu była zapadnięta i przykryta folią. Nikt nie przyszedł go obejrzeć. Podczas jednego z naszych spacerów zajrzeliśmy z Sethem przez okno. Drewniana podłoga była trochę ciemniejsza w miejscu, gdzie kiedyś stał fortepian, a dzwoneczki wietrzne z muszelek cicho postukiwały poruszone bryzą. Były to jedyne ślady, jakie pozostawiła po sobie Sylvia.

Czasami zastanawiałam się, dokąd wyjechała. W tamtym roku jedna ze stacji telewizyjnych wyemitowała program specjalny o koloniach żyjących według czasu prawdziwego i o ich mieszkańcach. Prześledziłam go scena po scenie, wypatrując Sylvii na kolejnych ujęciach, ale jej nie znalazłam.

Tego samego lata w Okołodobowie trzy osoby zmarły na udar w ciągu jednego dnia, po tym jak czterdzieści jeden godzin słońca na pustyni podniosło temperaturę do pięćdziesięciu siedmiu stopni. W końcu wszystkie kolonie zostały zamknięte. Dni coraz bardziej się wydłużały i ciału człowieka coraz trudniej było się do tego przystosować. Obietnica powolnego upływu czasu w zasadzie się nie spełniła. Skutki długich okresów bezsenności zaczęły być widoczne w niektórych funkcjach poznawczych. Część prawdziwoczasowców się poddała i dołączyła do

reszty z nas, przestawiając się na czas zegarowy. Wielu spośród tych, którzy wytrwali w koloniach, popadło w obłąd. W Idaho znaleziono grupę osób na skraju śmierci głodowej, nękanych delirium i halucynacjami - wszyscy przestali jeść, mimo że w szafkach mieli mnóstwo konserw.

To było także lato niedoborów żywności i samobójczych sekt.

Miałam wrażenie, że codziennie słyszę o jakiejś grupie martwych ludzi z trucizną płynącą we krwi.

Coraz trudniej było znaleźć świeże produkty. W lipcu rząd rozpoczął kampanię „Ogród Życia”, żeby zachęcić obywateli do uprawy roślin w szklarniach. Rozesłano materiały instruktażowe oraz paczuszki z najbardziej odpornymi nasionami. Próbowaliśmy uprawiać marchewkę, ale okazała się słabowita i mała. Docierało do niej jedynie światło z naszych lamp. Tylko grzybów mieliśmy w bród.

Łykaliśmy garście witamin, żeby nadrobić braki. Ale wkrótce zabrakło również tabletek. Tamtego lata mamina kolekcja konserw gwałtownie urosła. Sterta puszek zajęła jadalnię.

Razem z Sethem często wyobrażaliśmy sobie, jak będzie wyglądał świat, kiedy znikną ludzie. Słyszeliśmy, że plastik przetrwa najdłużej, więc przed oczami stawały nam domy przy mojej ulicy zredukowane do stert rur PCV i klocków Lego, plastikowych pojemników i plażowych wiader, komputerowych chipów, telefonów komórkowych i maszynek do golenia. Nad wszystkim górowały rozmaite plastikowe butelki, ich etykiety blakły, a plastik trzaskał pod naporem ostrego, bezdusznego słońca.

— Pomyśl o tych wszystkich szczoteczkach do zębów - powiedział Seth.

Pewnego razu podziwialiśmy komara, który wylądował na lampie na werandzie.

- Popatrz - odezwał się Seth. Miał duże, załzawione oczy.

Komar odfrunął. W locie wydawał nam się delikatny i elegancki.

- Patrz! Patrz! - powtórzył Seth.

Przez chwilę byliśmy przekonani, że to ostatnie dzikie stworzenie na ziemi.

Pewnej nocy łaziliśmy z latarkami po kanionach. Czasami odchylaliśmy zasłony, żeby spojrzeć na słońce. Leżeliśmy w ciemności na plecach i patrzyliśmy na zorze, tak jak kiedyś inne dzieciaki patrzyły na chmury.

Czasami w nocy całowaliśmy się na moim podjeździe. Nadal pamiętam dotyk ust Seta, cukrowy smak jego truskawkowej gumy.

Czasami mieliśmy wrażenie, że pamięć nas zawodzi. Odkryłam, że nie potrafię już sobie przypomnieć dokładnych rysów twarzy dziadka ani wyglądu matki przed chorobą - byłam pewna, że jej skóra trochę wyblakła, stała się bardziej szorstka, ale trudno było to stwierdzić z całą pewnością. Dźwięk fortepianu Sylvii zupełnie uleciał mi z głowy. Podobny los spotkał wspomnienie promieni słońca na twarzy, smaku truskawek, pękających w ustach winogron. Coraz trudniej było sobie przypomnieć tamte dawne poranki, podczas których słońce wschodziło jak w zegarku, warstwy mgły powoli się unosiły i pojawiało się cudowne światło, początek dnia.

Ale czasami odrobina wiatru albo jakiś zapach przypominał mi o tym, jak było kiedyś. Nagle horyzont wydawał się nagi i przez krótką chwilę zastanawiałam się, co się stało z drzewami. Niespodziewanie zauważałam ciszę wokół i przypominałam sobie, co straciliśmy: śpiew ptaków.

Na wszystkich kontynentach rozprzestrzenił się głód. Powtarzaliśmy sobie, że mamy więcej szczęścia niż inni.

W sierpniu tamtego roku pracownicy zakładu energetycznego rozkopali naszą ulicę. Miało to coś wspólnego z trzęsieniami ziemi, instalacja wymagała naprawy. Robotnicy w pomarańczowych kamizelkach rozpruli kawałek chodnika młotami pneumatycznymi, żeby osiągnąć kabli wijących się pod ulicą. Kilka godzin później, kiedy zakończyli pracę, zalali dwie kwadratowe dziury świeżym cementem, który miał zastąpić zniszczone płyty. Kiedy odjechali, cement był jeszcze mokry. Zabezpieczyli go jedynie dwoma pomarańczowymi pachołkami i paskiem żółtej taśmy.

Seth i ja ukłękliśmy obok. Pragnęliśmy zostawić swój ślad, ale nie byliśmy pewni, co napisać. Czułam bliskość jego ciała, kiedy się naradzaliśmy, przykucnąwszy pod latarnią.

- Bez względu na to, co napiszemy, przetrwa długo - powiedział Seth.

W skupieniu wpatrywał się w cement i przygryzał wargę. To był jeden z jego nawyków. Wtedy znałam już je wszystkie. Spojrzał na mnie i dodał:

- Może nawet do końca naszego życia.

Poczułam wtedy niewyraźny smutek, zapowiedź przyszłego doznania.

Powierzchnia mokrego cementu była gładka jak świeży śnieg i pachniała solą morską. Długo się zastanawialiśmy, co napisać, myśląc z tylko odrobinę większą prędkością niż cement wysycha na powietrzu.

A Ziemia nadal się obracała, dni mijały, po niebie przesuwały się konstelacje. Stopniowo nauczyliśmy się przesypiać białe noce w schronach wykopanych na podwórkach na wypadek promieniowania, w których powietrze pachniało glebą i kamieniami, przypominając nam, że jesteśmy pod ziemią.

Powoli - a potem nagle - minęło całe lato.

To, co wydarzyło się później, zostało dobrze odnotowane. Ale wątpię, aby imię Setha pojawiło się w którejś z relacji, oprócz mojej.

Nie był w stanie ukrywać tego wiecznie. Pewnego popołudnia wracaliśmy do domu z plaży, przyświecając sobie latarkami. Szliśmy w niemal całkowitej ciemności, a księżyc świecił nisko na niebie, ledwie widoczny nad dachami w dzielnicy.

Idąc, dzieliliśmy się torebką kwaśnych cukierków. Seth patrzył na gwiazdy.

- Gdybyśmy naprawdę mogli polecieć na Marsa - zaczął - chciałabyś tam zamieszkać?

Uwielbiałam to, że myśli o takich sprawach.

- Raczej nie - powiedziałam. - Za bardzo bym się bała.

- Ja bym poleciał - odparł. - Wspaniale byłoby zrobić coś takiego.

Zaledwie kilka sekund później usłyszałam szelest torebki wysuwającej się z dłoni Setha. Pamiętam ciche uderzenie folii o chodnik. Cukierki wysypały się na ulicę.

Kiedy się odwróciłam, poczułam, jak jego ciało osuwa mi się na ramię. Potem runął na chodnik.

Chyba już wtedy wiedziałam, że nic już nie będzie takie jak dawniej.

Wykrzyknęłam jego imię. Spojrzałam mu w oczy: były przymknięte i puste. Jego głowa turlała się na boki. Całe ciało trzęsło się na chodniku.

Biegiem pokonałam z pozoru długi odcinek dzielący mnie od drzwi najbliższego domu, poruszając się w tempie przypominającym mi się we śnie częstym w tamtym okresie i teraz też -w którym przy każdym kroku ziemia osuwa mi się spod nóg. Już wkrótce waliłam pięściami w drzwi nieznaney osoby. Wkrótce krzyczałam do kobiety, która mi otworzyła. Potem ona dzwoniła na pogotowie, mówiąc głosem równie przerażonym jak mój.

- O mój Boże - zawołała w słuchawkę. - Na ulicy jakiś chłopiec ma atak.

Byłam wdzięczna tej kobiecie przez kilka pierwszych sekund, ale potem chciałam, żeby zostawiła nas w spokoju i nie klęczała obok mnie, kiedy Seth tarzał się po chodniku, potrząsając głową, moje młode ręce nie były w stanie unieruchomić jego ciała, a umysł był jeszcze bardziej bezużyteczny - w tych minutach zbyt intymnych dla obcej osoby.

Atak w końcu minął, lecz Seth spędził tamtą noc w szpitalu. Kiedy nazajutrz wrócił do domu, zadzwonił do mnie i powiedział coś, czego już się domyślałam:

- Uważają, że to syndrom - powiedział. Czułam, jak te słowa miażdżą mi pierś.

- Wiem - odparłam.

Przez chwilę milczałam. Słyszałam jego oddech w słuchawce.

- Ale wcale mnie to aż tak nie martwi - dodał. Nie wierzyłam mu.

- Przecież twoja matka często czuje się w porządku, prawda?

- Tak jakby - przyznałam.

Nie zdradziłam mu wtedy, że jego przypadek już na tym etapie wydawał się znacznie gorszy od choroby mojej matki.

Potem Seth gwałtownie osłabł. Wkrótce większość czasu zaczął spędzać w łóżku. Po szkole biegłam do niego do domu, oglądaliśmy razem filmy, graliśmy w karty albo po prostu patrzyliśmy na gwiazdy przez okna w jego pokoju.

- Kiedy wyzdrowieję - mówił - zbudujemy na podwórku fort i ustawimy w nim twój teleskop.

- Dobrze - odpowiadałam, energicznie potakując.

Ale przerażał mnie widok jego wychudzonej, zmizerniałej twarzy. Czasami na kilka sekund zamykał oczy, żeby przeczekać

nagły ból głowy. Ciągłe leciała mu krew z nosa. Coraz mniej mówił. Jego deskorolka tkwiła nieruchomo w kącie pokoju.

Wkrótce potem prawie przestał chodzić. Czułam, że się oddala, jak kra na morzu.

Ojcu Setha nie udało się stworzyć kukurydzy, nad którą pracował, tej mogącej przeżyć bez światła. Poddał się i zamknął laboratorium. Pewnego jesiennego dnia postanowił, że się wyprowadzą - do Meksyku, gdzie promieniowanie było rzekomo słabsze.

Nadal pamiętam tamto popołudnie, kiedy Seth powiedział mi o wyjeździe, oraz to, jak rozpaczliwie uczepiłam się słów wypowiedzianych przez niego potem:

- Ale założę się, że wrócimy.

Pamiętam dzień, w którym spakowali furgonetkę i ojciec zaniósł do niej Setha, pamiętam, jak Sethowi dyndały przy tym nogi - tyczkowate, choć kiedyś były silne. Pomogłam mu spakować rzeczy, a on oddał mi swoją deskorolkę. Sam nie mógł już na niej jeździć.

- Przechowaj ją dla mnie - powiedział z miejsca pasażera. Przez te ostatnie minuty płakałam tak bardzo, że nie mogłam mówić. Pamiętam, jak ojciec Setha odwracał ode mnie wzrok, pakując rzeczy do samochodu.

- Wyjeżdżamy tylko na kilka miesięcy - pocieszył mnie Seth, dotykając dłonią mojej twarzy. Jego skóra straciła kolor, ale oczy jeszcze nigdy nie były tak ciemne. - Zobaczysz, wrócimy.

Pamiętam, jak ich samochód był coraz dalej ode mnie, a twarz Setha znikwała w oddali. Potem długo stałam na ciemnej ulicy, przyciskając deskorolkę do piersi i czekając, jakby istniała choćby najmniejsza szansa, że samochód zmieni kierunek i zamiast jechać naprzód, zacznie się cofać w czasie, choć wszystko wokół mnie nadal podążało tylko w jedną stronę.



Następnego dnia Seth przysłał mi krótki e-mail, kilka cennych słów: „Meksyk jest dziwny i gorący! Tęsknię za tobą!”.

Przeczytałam je wiele razy tamtego dnia i następnego też. Słyszałam pobrzmiwające w nich echo jego głosu.

Dwa dni później w całej Ameryce Północnej zapadła ciemność, nastąpiła największa w historii awaria prądu. Przez siedemdziesiąt dwie godziny żyliśmy przy świetle świec i racjonowaliśmy zapasy. Na całym kontynencie uprawy zostały pozbawione sztucznego oświetlenia. Baliśmy się, że zabraknie jedzenia. Szabrownicy plądrowali miasta i centra handlowe. Po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, ojciec nie poszedł do pracy i został w domu. Wszyscy troje przycupnęliśmy w naszym schronie. Ojciec zamknął drzwi na łańcuch. Matka bała się, że mamy za mało wody, więc sączyliśmy ją najwolniej, jak się dało. Odliczaliśmy godziny, potem dni. W środku drugiej nocy usłyszeliśmy dalekie strzały w ciemności. W ogóle nie spaliśmy.

Wreszcie, trzeciego dnia, znowu rozbłysło światło.

Ale nie wszystko było jak dawniej. Ogromne serwery zasilające nasze sieci komputerowe i systemy poczty elektronicznej oraz większość najważniejszych stron internetowych zostały tymczasowo wyłączone, żeby oszczędzać energię. Wszystkie nonsensowne sposoby wykorzystania elektryczności zostały wyeliminowane.

I jak wszyscy dobrze wiemy, serwery już nigdy nie zostały włączone.

Nie tylko ja straciłam kontakt z ukochaną osobą. Nadał pamiętam ulotki, które pokazywały się na pocztach i w sklepach spożywczych; nazwiska i zdjęcia ludzi wkrótce zawisły na tych samych słupach ogłoszeniowych, na których wcześniej wieszano

informacje o zaginionych zwierzętach. „Jeśli ktoś zobaczy tę kobietę, proszę jej powiedzieć, że szuka jej Daniel. Jeśli gdzieś tam jesteś, J.T., oto mój numer”. Najświeższe związki miały najmniejsze szanse na przetrwanie - miliony nowych relacji ucięto w fazie rozkwitu. Tylko pomyślcie o tych wszystkich potencjalnych ukochanych zgubionych na planecie obcych ludzi. Nie miałam numeru telefonu Setha, ale podał mi adres w Baji.

Zaczęłam słać listy. Pisałam jeden dziennie - codziennie, tygodniami. Może miałam zły adres. Może coś było nie tak z pocztą. Czasami najtrudniejsze historie potrzebują najmniej słów: Seth Moreno nigdy nie dał znaku życia.

Nadal mnie zdumiewa, jak mało tak naprawdę wiedzieliśmy.

Mieliśmy rakiety, satelity i nanotechnologię. Mieliśmy sztuczne ręce i dłonie, roboty jeżdżące po powierzchni Marsa. Nasze bez-załogowe samoloty, zdalnie kontrolowane, potrafiły usłyszeć ludzki głos z odległości pięciu kilometrów. Umieliśmy produkować skórę, klonować owce. Mogliśmy sprawić, by serce martwego człowieka pompowało krew w ciele obcej mu osoby. Robiliśmy wielkie postępy w dziedzinach miłości i smutku - mieliśmy leki zwiększające pożądanie, stępiające ból. Dokonywaliśmy przeróżnych cudów: dzięki nam ślepi zaczęli widzieć, a głusi słyszeć, lekarze codziennie wyczarowywali dzieci w łonach bezpłodnych kobiet. Na początku spowolnienia badacze komórek macierzystych byli o krok od wyleczenia paraliżu - chromi z pewnością niebawem zaczęliby chodzić.

A mimo to niewiedza nadal górowała nad wiedzą. Nigdy nie znaleźliśmy przyczyny spowolnienia. Źródło naszego cierpienia na zawsze pozostało tajemnicą.

Miałam dwadzieścia trzy lata, kiedy ogłoszono plan Explorera. Jako nowy rodzaj rakiety, zaprojektowany do podróży z wielką prędkością, Explorer nie mógł przewozić ludzi. To była wiadomość w butelce, pamiątka z Ziemi, być może nasz ostatni komunikat. Explorer miał zabrać w podróż złoty dysk zawierający informację o naszej planecie i jej mieszkańcach, na wypadek gdyby w jakiejś odległej krainie w kosmosie natrafił na istoty obdarzone inteligencją.

Powołano specjalny zespół, który miał zdecydować, co zawrzeć na tym dysku. Ostatecznie znalazł się na nim między innymi odgłos fal rozbijających się na plaży, głosy ludzi z całego świata przesyłające pozdrowienia, obrazy wymarłej flory i fauny, schemat położenia Ziemi we wszechświecie. Po drugiej stronie dysku wyryto pewne podstawowe dane, zapisując hieroglifami całą historię XXI wieku, przekazując w jak najmniejszej liczbie znaków opowieść o naszych czasach.

Nie wspomniano o zapachu świeżo skoszonej trawy w środku lata, o smaku pomarańczy na ustach, o dotyku piasku pod bosymi stopami, o naszej definicji miłości i przyjaźni, o naszych zmartwieniach i marzeniach, naszych łaskach, uprzejmościach i kłamstwach.

Explorer miał pokonać drogę tak daleką, że mógł ją zmierzyć jedynie czas. Odrobina uranu pośrodku dysku miała pełnić funkcję radioaktywnego zegara, aby pewnego dnia - może za sześćdziesiąt tysięcy lat, kiedy Explorer dotrze do drugiej najbliższej gwiazdy - jakieś obce istoty mogły określić wiek statku kosmicznego.

Dzięki dyskowi dowiedzą się także tego, że w chwili startu Explorera nasze zapasy żywności były zagrożone, a ciemność się pogłębiała. Z upływem lat tempo spowolnienia spadło, ale nigdy

nie ustało. Dokonało się wiele zniszczeń i zaczęliśmy podejrzewać, że umieramy. Ale być może dyskami im także, że dawaliśmy sobie radę. Przetrwaliśmy, mimo że większość ekspertów dawała nam jedynie kilka lat życia. Opowiadaliśmy historie i zakochiwaliśmy się. Walczyliśmy i przebaczyliśmy. Nadal rodziły się dzieci. Nadal mieliśmy nadzieję, że świat się jeszcze naprawi.

Choroba mojej matki nie postępowała tak jak choroba Setha. Matka nadal uczyła, pracując na pół etatu w liceum, dopóki kilka lat temu szkoła nie została zamknięta, po tym jak zbyt wielu uczniów przestało do niej przychodzić. Ojciec nadal pracuje w szpitalu.

Mieszkają w tym samym domu, w którym dorastałam, choć wygląda on zupełnie inaczej niż dom z moich wspomnień. Oczywiście trawy i bugenwilli już dawno nie ma, a ściany osłonięto grubym stalowym pancernem chroniącym przed promieniowaniem. Nieprzezroczyste okiennice zasłaniają widok, który dawniej podziwiałam ze swojego pokoju. Stojący naprzeciwko dom Sylvii został zburzony. W miejscu jej dawnej werandy ziele pustka.

Matka mówi, że za często rozmyślam o przeszłości. Mówi, że powinniśmy patrzeć w przyszłość, na czas, który nam pozostał. Ale przeszłość jest długa, a przyszłość krótka. Kiedy spisuję te wspomnienia, jedno zwyczajne życie, nasze dni są już długie jak *tygodnie* i trudno powiedzieć, co jest bardziej niebezpieczne: tygodnie mroźnej ciemności czy światła. Wyczerpanie się paliwa, które trzyma nas przy życiu, to tylko kwestia czasu.

Naprawdę staram się żyć dalej i udawać, że mamy przed sobą dziesiątki lat. Postanowiłam spróbować zostać lekarką, mimo że część uniwersytetów zamknięto. Nikt nie wie, jak będzie wyglądał świat, kiedy skończę studia.

Trudno nie myśleć o lepszych czasach. W niektóre jasne noce, podczas długich tygodni światła, późną porą leżę rozbudzona i nie mogę zasnąć. Moje myśli błądzą i wspominam Seta. Czasami przyłapuję się na wierze, że pewnego dnia wróci. Zostałam kolekcjonerką historii o nieprawdopodobnych powrotach: o niespodziewanym zjawieniu się dawno zaginionego syna, o odnalezionym ojcu, o kochankach połączonych po czterdziestu latach. Bo przecież raz na jakiś czas list spada z biurka na pocztę i leży na podłodze latami, zanim w końcu ktoś go zauważy i dostarczy pod wskazany adres. Ludzie, których mózg rzekomo umarł, czasami się budzą i zaczynają mówić. Ciągle szukam dowodów, że to, co się stało, czasami można cofnąć.

Kiedyś lubiliśmy z Sethem fantazjować o tym, jak pewnego dnia będzie wyglądał nasz świat w oczach obcych przybyszów, być może za tysiąc lat, kiedy ludzie poumierają, a cały asfalt pokruszy się i zniknie. Zastanawialiśmy się, co wtedy znajdą. Zgadywaliśmy, co przetrwa najdłużej. Tutaj wgłębienia w ziemi sugerujące rozległą sieć dróg. Tam sterty żelaza w miejscach, gdzie kiedyś ramię w ramię stały stalowe konstrukcje, miasto. A jeszcze gdzie indziej pozostałości ubrań i ceramiki, cmentarze, góry ziemi, które dawniej były czyimiś domami.

Wśród wytworów, które prawdopodobnie nigdy nie zostaną odnalezione - wśród przedmiotów, które rozpadną się na długo przed przybyciem kogoś z zewnątrz - jest pewien kawałek chodnika przy kalifornijskiej ulicy, gdzie kiedyś, w mroczne letnie popołudnie pod koniec roku, w którym rozpoczęło się spowolnienie, dwoje dzieciaków uklęknęło razem na zimnej ziemi. Zanurzyliśmy palce w mokrym cemencie i napisaliśmy najprawdziwsze, najprostsze słowa, jakie znaleźliśmy - nasze imiona, datę oraz zdanie: „Byliśmy tu”.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję moim niezastąpionym nauczycielom: Aimee Bender, Nathanowi Englanderowi, Mary Gordon, Samowi Lipsyte, Dani Shapiro, Monie Simpson i Markowi Slouka.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec Aleny Gradeon, Nellie Hermann, Nathana Ihary i Maggie Pouncey, którzy przez jakąś dekadę z przyjaznym nastawieniem, wnikliwością i życzliwością czytali mój tekst, co ukształtowało mnie równie silnie jak sama praca nad książką.

Dziękuję Colinowi Harrisonowi za wszystkie mądre rady o życiu i literaturze.

Wielkie dzięki za krytyczną lekturę i rozstrzygające sugestie dla Rivki Galchen, Tanii James, Susanny Kohn i Karen Russell. Dziękuję Ericowi Simonoffowi za wiarę we mnie, cierpliwość i inwencję, a także Laurze Bonner i Cathryn Summernayes za to, że tak wspaniale reprezentowały mnie w świecie. Słowa podziękowania należą się również Trący Fisher, Alicii Gordon, Britton Schey i Kate Hutchison z agencji WME.

Dziękuję mojej wspaniałej redaktorce z Random Housea Katie Medinie, która na każdym etapie prac nad stronami tej książki zadziwiała mnie swoim zapałem i wnikliwością. Dziękuję całej ekipie Randoma, a zwłaszcza Ginie Centerello, Susan Kamil, Londonowi Kingowi, Lindsey Schwoeri i Annie Pitoniak.

Za niewyczerpany entuzjazm składam podziękowania Suzanne Baboneau, Ianowi Chapmanowi, Jessice Leeke i pozostałym członkom ekipy brytyjskiego Simon & Schustera.

Za nieocenioną pomoc, której udzielano mi w różnych momentach i w różnych sytuacjach, dziękuję Johnatanowi Karpowi, Alice Mayhew, Carolyn Reidy, Danowi Scolnicowi, Michaelowi Marenowi, Hannah Tinti, Antonio Sersale i Carli Sersale. Z kolei za konsekwentne i konstruktywne uwagi na temat kształtu mojej powieści podziękowania zechcą przyjąć następujące osoby: Brittany Banta, Jenny Blackman, Meena Hartenstein, Paul Lucas, Finn Smith, Pitchaya Sudbanthad oraz Devin McKnight.

Za wieloletnią przyjaźń i moralne wsparcie wielkie dzięki dla: Kate Ankofski, Shiloh Beckerley, Kelly Haas, Heather Saucedo Hannon, Sary Irwin, Samantha Martin, Carrie Loewenthal Massey i Heather Jue Northover.